25

NOMINA SUNT ODIOSA.

NOMINA SUNT ODIOSA.

EPIZOD Z DZIEJÓW SWATANIA

opowiedział

P. Jaxa Bykowski.

WARSZAWA.

1872.

Własność Autora.

Дозволено цензурою.—Одесса 4-го мая 1872 годъ.

Drukiem Ulricha i Schultze w Odessie.

Coś nakształt prologu.

Działo się roku pańskiego 18 . . podczas pełni wrześniowéj, koło północy—a to w niżej opisany sposób:

W ogrodzie przed dużym pałacem, w którego jedném tylko dolném oknie przez gęstą firankę przeglądało słabe światełko, przechadzała się kobiéta owinięta ciepłym szalem. Dobra jéj tusza znamionowała porę życia dążącą ku jesieni, jednak nie onéj słotnéj i mglistej, lecz jasnej i pogodnéj; twarz zaś jéj rumiana i czerstwa dobrze zachowała niestarte dotąd ślady niepospolitych wdzięków. Stąpanie téj niewiasty zdradzało niecierpliwość. Czujność zaś wytężona, ukrywanie się za drzewami na każdy szmer i baczne oglądanie miejscowości przekonywały, iż niebyła to zwyczajna przechadzka przy świetle księżyca.

Po pewnym czasie téj, że tak nazwiemy, nerwowéj przechadzki, w bocznej furtce ogrodu dał się słyszeć

chrzęst klucza w zamku; od razu kobiéta jakby mimowolnie biedz chciała w tę stronę, lecz zmiarkowawszy przez chwilę, ukryła się w altanie otoczonéj gęstym chmielem i słuch wytężyła. Tymczasem, w otwartéj furtce, księżyc bladym promieniem oświecił żydowską jarmułkę i dwa rude pejsy, kiwające się na wszystkie strony jakby dla zbadania miejscowości. Nakoniec po długiém wahaniu, za próg furtki wystąpiła jedna noga w pantoflu i głos przytłumiony, pianissimo niby szmer, dał się słyszeć:

— To ja Szmul! — Na ten szmer kobiéta opuściła altanę i śmiałym krokiem zbliżając się do furtki, głośniéj odpowiedziała:

— A chodź-że nudziarzu, chyba przysiągłeś żeby mię dziś nabawić kataru. No co tam?

— Czy tam nie ma nikogo, ja się *dużo* boję — wyszeptał żyd drżącym głosem.

— Chodź prędzéj tchórzu, widzisz że jestem sama — niecierpliwie odpowiedziała kobiéta, a wziąwszy drżącego żyda za rękę, odprowadziła od furtki.

— Dobrze to jasnéj pani powiedzieć, ale czy niema tu pan Gondziorek z wielkim nożem? — szeptał z trwogą żyd ciągniony ku środkowi, nakoniec obejrzawszy dokoła pusty ogród, z jakimś niezwykłym ferworem dodał niecierpliwie:

— Niechże raz to skończy się, bo mnie już aż w piętach zastygło. Dawaj jasna pani panienkę, a ja pójdę

po nich, bo jak się obudzi p. Gondziorek, to gotów mię zarznąć z wielkim nożem.

— A czy już są? — spytała pani nie zważając na przestrach żyda.

— Panowie już w karczmie czekają — odpowiedział żyd — a oglądając się trwożliwie dodał: — Ale p. Gondziorek gotów nadejść.

— Głupiś żydzie! Gondziorek z towarzystwem gra w karty w oficynie, a choćbyś im z armat strzelał to nie zwrócą uwagi, kazałam tam zanieść wina. A powiedz-no co dworscy robią?

— Niech jasna pani nie troszczy się o to, to już moja rzecz, pijani co do jednego — odpowiedział żyd.

— To dobrze — ciągnęła dalej kobiéta — A więc mój Szmuluniu, niema czasu do stracenia, biegnij do karczmy, niech przychodzą — spojrzawszy zaś na zegarek dodała — za pół godziny najdaléj wszystko będzie gotowe. — Żyd już miał się ku furtce, kiedy pani wróciwszy prędko do altany, wyniosła stamtąd flaszkę i spory kieliszek, w które zaopatrzyła się dla dodawania spólnikowi brakującéj odwagi.

— Mój Szmuluniu — ozwała się słodko — pamiętałam o tobie żebyś nie przeziąbł, napij się dla kurażu — i podała żydowi spory kielich.

— Za zdrowie jasnéj pani — przemówił żyd z uchyleniem jarmułki, oddając próżny kielich — Echt starka jak Boga kocham.

— No, a o Kloci zapomniałeś — ozwała się pani, podając na nowo pełny kieliszek.

— Niech żyje jasna panienka! — wykrzyknął żyd poczerpnąwszy w trunku otuchy, a podstawiając próżny kielich dodał:

— To już nie wadzi - i za jasnego Mamerta! Aj waj, to taki tantny pan, że wartoby jego wpuścić bez sekretu przez szeroką bramę. No, co prawda to ja tego, co jasna pani kazała robić, nie rozumiem.

— Ale ci za to płacą, a więc idź i nie trać czasu — krótko zakończyła pani.

Żyd przywrócony w ten sposób do porządku, z odwagą trunkiem podniecona wysłuchał dalszych instrukcyi jasnej pani, po czém dobywając małą flaszkę podał jej, mówiąc:

— Zapomniałem jeszcze o tém co mi pan Rotmistrz dawno oddał. To jest to, co jasna pani wié, od czego jasna panienka ma bardzo twardo *zaspać* jak ją będą *kradnęli*.

— Na starego szachraja za nadto jesteś roztargniony, przecie żeś sobie przypomniał o tak ważnéj rzeczy — powiedziała pani, śpiesznie chowając flaszkę w zanadrzu, potém nagle przypominając, dodała niespokojnie:

— Ty dziś jak widzę głowę tracisz. Możeś zapomniał sprowadzić Assesora, tego by jeszcze brakowało.

— Za kogo mię jasna pani ma — odparł żyd urażony— wielmożny Assesor jest tu już od godziny i pewnie dotychczas wypił z Podsędkiem garniec wiszniaku. A chociaż znajdował się z pomocnikiem na ważnem śledztwie o skradzione owce, ale dla mego przyjacielstwa wszystko porzucił i już tu czeka w gotowości.

— Przecie — przemówiła uspokojona pani — Idź-że teraz mój Szmuluniu, niech cię Bóg prowadzi.

Żyd spiesznie wydalił się przez tę samą furtkę, którą tylko przymkniętą zostawił. Tymczasem jasna pani oglądając się za odchodzącym, tak filozofowała:

— Co to za dziwny naród ci żydzi, Szmul taki tchórz, a dla pieniędzy... Ale i my pono nie lepsi — dodała po namyśle.

Kobiéta zostawszy samą, raz jeszcze obejrzała pozycyą, po czém szybko zbliżyła się do jedynego oświetlonego okna, w które zlekka zastukała jakby umówionym sposobem. Na ten znak grube zasłony zaczęły podnosić się powoli, a nakoniec w roztwartém oknie ukazała się prześliczna postać młodéj kobiéty, która przy bladym promieniu księżyca, łamiącym się z wewnętrznem swiatłem komnaty, w ramach okna wyglądała jakby przecudne malowidło. Na ten widok starsza kobiéta, usunąwszy się od okna dla wyszukania dobrego

optycznego punktu, przez czas jakiś wpatrywała się z zamiłowaniem w ten uroczy obrazek; potém zbliżając się do okna, silną ręką w pół ujęła młodą niewiastę i jakby niemowlę z łatwością przeniosła przez okno do ogrodu, a postawiwszy na ziemi, kilkakrotnie obracała do światła księżyca i z coraz rosnącém zamiłowaniem oglądała na wszystkie strony, a w końcu ściskając ją z zapałem, zawołała:

— A niechże cię uściskam, moja droga Klociu, za twój wyborny gust. Co to za negliżyk oryginalny, trudno coś czarowniejszego wymyśléć. Teraz moje dziecko jestem spokojną o ciebie; bowiem kobiéta, umiejąca do tego stopnia podnieść wdzięki i tak zręcznie skorzystać z hojnych darów natury, w każdym razie potrafi utorować sobie drogę życia — zakończyła sentencyonalnie matrona.

Z kolei przypatrzmy się także, czém zachwycała się ta pani? — W saméj istocie było co podziwiać — owa, przesadzona przez okno, w kwiecie wieku dziewczyna, wyniosłéj postawy o prześlicznych regularnych rysach, białéj jak najczyściejszy marmur twarzy, z okiem pełném życia i zapału—była jakby wzór dla snycerza, jak ideał dla poety. Usta tylko, nazbyt zaciśnięte na drobnych ząbkach, zdradzały dojrzałość nad wiek i coś tam się ukrywało, jakaś niezwykła siła woli czy namiętność? Słowem coś, co źle wtórowało téj roskosznéj całości, do któréj wolałbyś dodać usta

chociażby nieco nabrzękłe, mniej foremne, lecz nie takie suche, a szczerym uśmiechem szeroko rozwarte. Rażące podobieństwo zachodziło między starszą a młodszą kobietą, wszakże takowe utrzymywało się tylko w pewnych granicach wspólnego powierzchownego charakteru, jaki dostrzegać się daje między wiosną a jesienią, rozrosłym dębem a młodą latoroślą, przejrzałym a świeżym owocem; w każdym razie należy im oddać sprawiedliwość, iż obie były piękne — każda w swoim rodzaju.

Cóż to był za ów negliżyk taki powabny, który starsza kobieta odpłaciła uściskiem? O, miły czytelniku, gdybyś tam znajdował się, bez wątpienia zapragnąłbyś uzyskać prawo do téj zapłaty. Ten ubiór oryginalny, chociaż nazwany negliżem, zawierał tyle starannego układu, dowodził tyle poetycznéj fantazyi i gustu, że nic nadto strojniejszego wymarzyć nie podobna. Sploty obfitych i bujnych włosów dziewczyny, uwinięte w pierścienie, wyrywały się w fantastycznych zwojach z pod niebieskiego turbanika, igrając swobodnie z szyją śnieżnéj białości. Kaftanik obłożony puchem łabędzim, śmiało wykrojony u łona, wdzięcznie uwydatniał nadobne kształty, którym nic nie było do zarzucenia. Lekka spodniczka urozmaicona haftami, układając się w kapryśne fałdy, nie poważyła się zakrywać aż do ziemi dziecięcych prawie nóżek, przezierających przez przezroczyste pończoszki.

Nie dziw że starsza kobiéta jakby skamieniała w zachwycie przed tą uroczą całością, na którą trudno by spojrzeć obojętném okiem — tu zaś oko matki patrzało. — Czyli wiecie o tém, iż każda kobiéta czuć i ocenić umie wzrok uwielbienia, chociażby to jaśniało w oku, w którém najmniéj obudzić je pragnie?. Stała więc dziewczyna przez długą chwilę, jakby zamieniona w ołtarz przed dymem kadzideł. Nie wiemy jak długo trwałaby ta niema scena, gdyby nakoniec nie zapanował rozsądek starszéj kobiéty, która ozwała się:

— Moje drogie dziecko, boleśném to jest dla serca matki, ale godzina rozstania wybije za chwilę. Odwagi, moje dziecko!

— Czy już moja matko? — powiedziała dziewczyna głosem pewnym, a wcale nie dowodzącym braku odwagi, którą matka obudzić starała się — tak zaś daléj ciągnęła:

— Nie godzi mi się wątpić, droga mamo, iż działasz dla mego dobra i jestem ci posłuszną; jednakże pozwól mi wyznać, że zrozumieć nie mogę do czego to wszystko prowadzi? Wiesz dobrze iż w żadnym razie nie odrzuciłabym Mamerta i przez drzwi szeroko otwarte, przy świetle słoneczném poszłabym z nim do ołtarza.

— Czyś nie zakochana? — podchwyciła ironicznie starsza kobiéta.

— Kochać?..ja? — odparła z oburzeniem dziewczyna — to przystoi pannom garderobianym i pensyonerkom, a nie kobiécie dobrego tonu. Lecz wybrałabym Mamerta chociażby dla tego, że na kimsiś skończyć trzeba, mając rok dwudziesty trzeci.

Na te słowa matka, obejrzawszy się trwożliwie na wszystkie strony, śpiesznie przerwała: — Co za szaleństwo, żadna rozumna kobieta o latach nie wspomina.

— Prawda że nie ma o czém—ciągnęła daléj córka— więc wróćmy do Mamerta, którego przenoszę nad innych bo bogatszy i prędko mieć będzie w ręku majątek, a zdaje się, że przy swojéj ślepéj miłości nie potrafi mieć woli.

— Póki nie ożeni się będzie barankiem, jak oni wszyscy — przerwała matka — a skoro odprowadzi cię od ołtarza, zaśpiewa przez całą oktawę: ja tak chcę i tak być musi. Masz najlepszy przykład z Florki, twojéj starszéj siostry, biedaczka! tak zdawała się uwielbianą przed ślubem, dziś zaś zamknięta między cztérma ścianami, widuje tylko komisarzy męża, a raz na rok jak wyjeżdza do kościoła, to starą landarą, sama jakby komisarzowa, nie ma nawet porządnego ekwipażu. Piękne mi szczęście!

— Kiedy nie skarzy się, może jéj z tém dobrze. Co prawda ja bym się tak nie poddała — odpowiedziała córka energicznie, po chwili zaś namysłu dodała z westchnieniem:

— Zawsze zdaje mi się, że lepiéj iść za mąż tak... po staroświecku...

— Przy skrzypcach i cymbałach — przerwała matka z szyderstwem — jak nasza praczka zeszłego tygodnia, każda to potrafi. Lecz czyli nie daleko poetyczniéj być porwaną gwałtem, stać się bohaterką romansu. Nie mówię, żeby dać się wykraść w zmowie z kochankiem — to głupio; lecz będąc porwaną niby gwałtem, stać się ofiarą zbrodni, a w podobnym razie można dyktować prawa, bowiem taki gwałt pachnie kryminałem.

— Pewna jestem że mama lepiéj to rozumie i działa dla mego dobra — mówiła z submissyą córka — lecz sam akt wykradzenia taki żenujący, że prawdziwie sama nie wiem jak przez ten czas zachować się, trudno nie krzyczéć, nie bronić się, nie zemdléć i t. p.

— Mówiłam ci, że wszystko przewidziane — odparła matka, pokazując wręczoną przez żyda flaszkę — oto jest narkotyk, powierzony Szmulowi na twoję intencyą; wykradający będą tego przekonania żeś go użyła, zatém możesz spać jak w letargu, póki ci to będzie potrzebném. A w tym stroiku tak można usnąć z gracyą — zakończyła matka z czułém spojrzeniem na córkę.

— Wreszcie trwać to wieki nie będzie. Mają mieć doskonałe rozstawne konie, a więc nad ranem sta-

niesz w Żytomierzu — Tam w domu generałowéj będziesz jak u siebie, ja zaś za tobą prędko podążę.

— Zawsze to czegoś straszno! —odparła dziewczyna i dreszcz nią lekki wstrząsnął.

— Nie bądź dzieckiem moja Klociu — przekładała matka — Nakoniec twój ojciec chrzestny twórca tego całego projektu, chociaż stary szaławiła, atoli mam powody być pewną, że cię na nic złego nie narazi i możesz mu zaufać. Co zaś do reszty, spuszczam się na twoją śliczną główkę. — W tém miejscu nastąpiła nowa pieszczota, a po tém wylaniu macierzyńskiej czułości, tak dalej ciągnęła znacząco i poufnie:

— Raz ci jeszcze powtarzam to, co mówiłam, żadnéj tylko słabostki, żadnego zapomnienia, ani zapałów miłośnych, dopóki sprawa nie skończy się i sama cię do tego nie upoważnię. Spodziewam się żeś mię pojęła? — zakończyła tajemniczo, a całując piękne czoło córki i bawiąc się jéj bujnemi kędziorami, rzekła: — bo główka nie dla proporcyi tylko stoi na téj łabędziej szyjce. Wierz mi moja droga, że owe wszystkie upojenia miłośne w małżeństwie ze szlachcicem zaprowadzą cię nakoniec, tak jak Florkę, do kurnika i spiżarni. A czyliż na to hojna natura tak szczodrze cię uposażyła?..

W tém miejscu mowę czułéj matki przerwało lekkie gwizdanie, dające się słyszéć za parkanem ogrodowym, — był to znak umówiony ze Szmulem.

— Odwagi, moje dziecko! — odezwała się starsza kobieta, otwierając szerokie ramiona, w które córka rzuciła się zapamiętale. Był to sentymentalny obrazek, który księżyc blady oświecał sobie fantastycznym promieniem, on też sam tylko wiedział co o nim myśléć. Nareszcie matka, śpiesząca do onego piątego aktu, powoli i nieznacznie pozbyła się córki ze swego łona, ta zaś upadłszy przed nią na kolana, cichym i rzewnym wyszeptała głosem:

— Matko błogosław! — i dwie łzy spłynęły po jéj nadobném licu. Piękneż to były łezki, równe jak dwie perełki, jasne i błyszczące jak dwie krople rosy, a nie mało wdzięku dodały téj i tak cudnie uroczéj postaci; lecz jakoś wyglądały jakby z pod zimnego dłuta wydobyte i ciepłem wcale nie tchnęły.

Matka dotknęła prześlicznéj główki z powagą, jakby z błogosławieństwem, a na macierzyńskim nosie ukazała się jakaś wilgoć i pierś jéj silna wydała oddech mocniejszy. Nie podobna orzec stanowczo, czyli to nie było sapnięcie otyłéj matrony i kropla potu wywołana męczącą rolą i ciężkiém ubraniem, — lepiéj wszakże, jako optymiści, przyjmijmy to za łzę i westchnienie macierzyńskiego serca, tém bardziéj że jeden tylko księżyc, przypatrujący się zblizka szyderczém okiem temu rozczuleniu, mógłby nas chyba dokładnie objaśnić. Nakoniec matka skracając tę niemą scenę, ozwała się uroczystym głosem:

— Idź, idź moje dziecko, niech cię Bóg błogosławi. A wierz mi, że droga do szczęścia nie zawsze przez szeroko otwarte podwoje przechodzi. — Co zmówiwszy, silną dłonią podjęła córkę i wysadziła ją na powrót w otwarte okno; lecz nagle zatrzymała się i siedzącéj na ramie okna upinała szpilkami kaftanik, mówiąc:

— Trochę za nadto ściągnęłaś u szyi, więcéj wygorsować, to lepszy effekt. A teraz zgaś światło i przymknij okno, tylko nie zasuwaj rygla. — Te były ostatnie słowa pożegnania czułéj matki.—Ostatnie światełko zagasło w pałacu, a pani ukrywszy się w chmielowéj altanie rozsiadła się wygodnie, i odgarnąwszy liście, urządziła sobie coś nakształt zakratowanéj loży.

Niebawem znowu w téj saméj furtce ukazały się znane już nam dwa rude pejsy, lecz pchnięte jakąś niewidomą siłą, nie miały czasu jak przedtém odgrywać długiéj roli wahadła i właściciel onych, wystraszony Szmul, znalazł się po środku ogrodu; za nim postępowały zwolna, lecz pewnym krokiem, dwie pary rudych sumiastych wąsów, stanowiących własność dwóch braci Mostrongów, ex-rotmistrzów huzarskich, z którymi bliższe poznanie, bacząc na ważność chwili wymagającéj szybkiego działania, odłożymy ad feliciora tempora. Za Mostrongami postępowali, w duchu może nie śmiało

za to na pozór dość bundiucznie, dwaj młodzieniaszkowie, swiezi dezerterowie z ławki szkolnej, którzy ledwie zasiewający się na wardze meszek starannie podciągali do rozmiaru Mostrongowych wąsisków. Byli to adjutanci braci huzarów, komenderujących okolicznymi paniczami. Jeden z nich trzymał na ramieniu kosztowną sobolową szubę.

— Słuchajno panie bracie — ozwał się Mostrong N-ro primo, zawsze pochopniejszy do burdy — czy nie byłoby zabawniéj, zamiast tajemnego wykradania uśpionej dziewczyny, co zawsze pachnie złodziejskiém rzemiosłem, zdobyć ją po huzarsku, szturmem. Ot, tak na przykład, wystrzelmy z pistoletów, pobudźmy fagasów, powiążmy ich, tatkowi i gościom dajmy w skórę, a pannę zabierzmy.. Ha, coż ty na to, panie bracie?

Na te słowa panicze, stanowiący aryergardę, targali meszek silniéj, lecz nieco drżącemi paluszkami. Mostrong secundo acz brat młodszy, a w razie nagłym niegorszy burda od starszego, atoli bardziéj pomiarkowany, więcej miał strategicznych pomysłów i tam gdzie sztuką podejść można było, sił wytężać nie lubił — dla tego naczelne dowództwo każdéj ryzykownéj i skomplikowanéj wyprawy zawsze przy nim znajdowało się, a brat starszy zwykle mu ulegał i zapał swój mitygować dozwalał.

— Pomimo wieku zawsze z ciebie sowizdrzał, panie

bracie, a wszędzie wbrew logice i taktyce wojennej radbyś poczynał od ostateczności — odparł surowo Mostrong secundo, a daléj ciągnął stanowczym głosem dowódzcy:

— Baczność i milczenie! Naprzód idzie o to, ażeby nie pobudzić domowników. Co zaś do snu dziewczyny ten jest już zapewnionym. — Na te słowa chociaż nie chętnie Mostrong 1-mo spokorniał. brat zaś młodszy, podnosząc głos o ile okoliczności przy skrytém działaniu dozwalały, komenderował daléj:

— Teraz do okna, działać oględnie według uprzedniéj instrukcyi — raz, dwa, trzy, marsz — i stanęli wszyscy u znajomego nam okna. Mostrong 2-do na przedzie, przygotowywał się do cichego wysadzenia okna i już miał taflę brylantem wyrzynać, gdy dostrzegł z zadowoleniem że okno tylko przymknięte, i ozwał się z cicha:

— Bravo, mniéj kłopotu. Ile razy zdarzało mi się wykradać dziewczęta, każda z nich jakby z przeczucia rzecz ułatwiała. Teraz wiara za mną, tylko ostróżnie z dziewczyną, żeby jéj co złego nie zrobić, bo to śliczna bestyjka.. rozumiecie?.

— Ano, jakby krzyczała lub broniła się — wtrącił Mostrong 1-mo.

— Mówiłem że sen przygotowany — odparł komendant — lecz gdyby stało się inaczej, w takim razie to już smutna ostateczność i będę zmuszony zatknąć

chustką tę śliczną buzię. — Baczność chłopcy — dodał po raz drugi i po tych słowach jednym susem okno przesadził, a tak lekko że prawie słychać go nie było, brat tak samo za nim podążył, dwaj zaś meszkowi panicze na znak dowódzcy pozostali pod oknem. Oględny żydek przez cały czas przypatrywał się strategicznemu dziełu z za furtki, i tylko para rudych pejsów, przygotowanych do odwrotu, były świadkami tych bohaterskich czynów Mostrongowych.

Nie długo potém ukazała się na nowo w ramach okna znana nam prześliczna jasnowłosa główka; na ten raz w innéj postawie, unoszona bowiem na poduszce przez braci Mostrongów, przybierała pozy dziwnie malownicze, włosy otaczały ją grupując się w fantastycznym nieładzie, a każdy ruch poduszki zmieniając położenie głowy, w coraz odmiennném ukazywał ją świetle. Dwaj adiutanci na wyrzuconych z pokoju poduszkach ułożyli zgrabne nóżki dziewczyny, jeden z nich na znak dany przez dowódzcę przykrył ją bogatém futrem, i ruszył ów pochód ostróżnie i cicho. Księżyc jakby dla nadania ponurego charakteru téj scenie, pokrył się gęstą chmurą i bledszym promieniem oświecał marmurowej bladości twarz dziewczyny, która jakby zatamowała w sobie bieg życia i sprawiała wrażenie pięknego trupa; cały zaś ten orszak był podobny do jakiegoś tajemnego pogrzebu. Kobiéta siedząca przez cały ten czas w swojéj zakratowanéj loży, niekiedy

składała ręce w zachwycie jakby do aplauzu, a skoro przekonała się że orszak już minął furtkę ogrodową, odetchnęła całą piersią i w uniesieniu zawołała:

— A przecie!.. po czém szybkim krokiem zbliżyła się do furtki i jak mogła najdalej śledziła za oddalającym się orszakiem. Nakoniec wracając na dawne miejsce, po drodze potrąciła nogą czerwony pantofelek córki, który bez hałasu spaść musiał na murawę, tak że wykradający zguby nie dostrzegli. Kobieta chciwie podjęła tę zdobycz, ale nie z uczuciem bolejącej matki, która chciwie chwyta ostatnią córki pamiątkę,—przypatrzywszy mu się, po chwili ukryła pantofelek w krzaku, mówiąc:

— Wybornie, wybornie, wynajdę go w danym czasie. To będzie rozczulająca scena jak z *Notre Dame* Huga.— Co za dziwny takt w tej dziewczynie — myślała daléj— a z jakim wdziękiem ułożyła się na poduszce; można ją w świat puścić bez mentora, da sobie radę. Lecz nie traćmy czasu, trzeba wszystko należycie przygotować do trwogi.

Po tych słowach kobiéta, z lekkością Mostrongów wskoczywszy przez okno do pokoju wykradzionéj, zaczęła tam wszystko wprawiać w nieład: wywracała sprzęty, rozrzucała pościel i t. d. Nakoniec płyn z onéj flaszki Szmulowéj wlała do znajdującéj się przy łóżku szklanki, po czém tąż samą drogą wróciła do ogrodu, a owinąwszy rękę w szal wydusiła bez hałasu parę

tafel u okna i poodrywała zasuwy. Następnie obejrzawszy skrzętnie dokonane przez się dzieło zburzenia, wynagrodziła siebie zadowolenia uśmiechem i znów niecierpliwie zaczęła przechadzać się, zaglądając przez furtkę, jakby kogoś jeszcze oczekiwała, a to oczekiwanie urozmaicała głośném myśleniem:

— Pierwszy akt powiódł się, czemużby i daléj tak być nie miało — rzecz bowiem dobrze obmyślana. A ten Mamert prawdziwie dobry chłopiec, pierwszy dowód pamięci szuba sobolowa, o ile widząc z daleka wnosić mogłam, warta przeszło 300 dukatów. Chociażby i to — zawsze jak znalezione, jużbyśmy Kloci dać tego w wyprawie nie byli w stanie.

One myśli przerywała szybką przechadzką skierowaną ku furtce, przez którą kogoś wyglądała. Nakoniec uspokoiwszy się, wróciła do swojéj improwizowanéj loży w altanie, a wydobywszy z kieszeni dużą włóczkową siatkę z drewnianemi szydłami, którą kobiety umieją robić bezmyślnie, a czasem nawet we śnie, oddała się temu zajęciu.

Przezacna spółka.

Kiedy tak owa pani była pogrążona w myślach o córce, a może i siatce — nie wiemy z pewnością, nagle rozwarła się znana nam furtka, a z niej śmiałym kro-

kiem wpadł z impetem na środek ogrodu ten sam Szmul, którego podwójnéj tu bytności towarzyszyła wielka obawa; teraz był do niepoznania, bez jarmułki, pejsy miał najeżone, brodę nastrzępioną, końce poszarpanéj koszuli otaczały mu szyję, obrazu zaś tego zniszczenia, odtworzonego z artystycznem poczuciem, dopełniały jakieś strzępki kaftana. Na ten widok pani zaledwie zdołała wstrzymać okrzyk przerażenia, a podbiegając do żyda, ozwała się z trwogą:

— Na Boga mój Szmulu, co ci jest? co się stało?

— No co? — odparł z figlarnym uśmiechem żyd — taż jasna pani sama mówiła, że będziemy *gwult* robili.

— A prawda — przypomniała uspokojona pani — A więc już pojechali? — spytała po chwili.

— I pewnie dotychczas z parę mil ujechali, to konie jak lwy — odpowiedział żyd i aż cmoknął z zadowolnienia.

— Powiedz-że mi Szmulu, jakże to się odbyło — spytała zaciekawiona pani.

— Wszystko szczęśliwie, daj Boże w dobry czas. A jasna panienka tak doskonale spała, że nie przebudziła się jak ją do karety wsadzali. A co za śliczna kareta, to sam *monarch* mógłby w niéj jechać.

— Coż to za kareta? — zapytała pani ciekawie.

— Czyjaż ma być? To jasny Mamert zakupił dla waszéj jasnéj panienki — odpowiedział żyd.

— Na tę wiadomość zaiskrzyły się oczy matrony

i ręce zatarła, a przemówiła słodziutko: — Możebyś Szmulu wypił starki — i wydobywała ukrytą w altanie flaszkę.

— Jeżeli łaska jasnéj pani, za zdrowie naszéj panienki, żeby szczęśliwie wydała się, a daj Boże doczekać konsolacyi — odparł żyd z pokłonem.

— Pleciesz jak na mękach żydzie, jakbyś nie wiedział że Klocię gwałtem porwano — ofuknęła pani z oburzeniem i zmierzyła żyda zagniewanym wzrokiem.

— Ach przepraszam jasna pani, to ja tak ze strachu nie wiém co gadam i zapomniałem że jasną panienkę porwali i mnie wybili — aj waj, jak jeszcze wybili, a moję Rywkę i dzieci na śmierć przestraszyli — odpowiedział żyd z płaczem i chciał pokłonić się jarmułką, myśląc że ją ma na głowie, a potém dodał: — Zrabowali mię do szczętu i jarmułkę nawet zabrali.

— Doskonały z ciebie komedyant mój Szmuluniu, tylko bądź takim do końca — mówiła zadowolniona pani.

— Niech jasna pani będzie spokojna. A może już krzyczéć *gwult*?

— Poczekaj jeszcze, wprzódy skończmy interes. A przyniosłeś to co wiesz? — zapytała pani

— Już tego „*wiesz*“ niezadługo i wiedziéć nie będę — odparł żyd z westchnieniem.

— Wszakże mi obiecałeś trzy tysiące?

— Oj, oj, a zkąd ja mam wziąść? Cała moja praca na długach u *jasne panstwo.*

— Co ty sobie myślisz żydzie, jak śmiesz robić mi taki zawód. Przede dniem jeszcze muszę wyjechać — wykrzyknęła pani groźnie przystępując do żyda, który cofając się z trwogą, mówił:

— Alboż to Szmul niezna swojéj powinności służenia jasnym panom? Zastawiłem *muszki* mojéj Rywki, odłożyłem wesele syna, ale pieniądze są.

— A więc dawaj, bo nie mam czasu — przemówiła udobruchana pani słodziutkim głosem. Żyd z bezdennéj kieszeni nankinowych spodni napół wydostawał długą pończochę, wydającą miłą metalową harmoniją, pani zaś wyciągnąwszy potężną prawicę zaczęła zbliżać się do żyda, ktory w miarę jéj przysuwania oddalał się. Ta niema scena trwała przez kilka chwil, aż ją zniecierpliwiona pani przerwała:

— Dawaj-że, bo nie mam czasu, a tyle nam jeszcze do czynienia pozostało. — Żyd nawzajem wyciągnął rękę ku pani i rzekł:

— A kontrakt co jasna pani obiecała.

— Masz tymczasem wexel — odpowiedziała pani.

— Aj, waj, jeszcze wexel— wykrzyknął przerażony żyd i w głębiach kieszeni zanurzył napół wydobytą pończochę, a bez ceremonii odwrócił się od pani.

— Cóż to, nie wierzysz? — zapytała z gniewem pani.

— Co to wierzyć? — mówił sentencyonalnie żyd — my do jakiegoś czasu wierzymy w wexle tak jak w bibliją, temu co już tam stoi napisano; a gdyby ktoś co dnia do tego po kartce dodawał, to człowiek w końcu wierzyć by przestał. Dawaj jasna pani kontrakt na młyn jak się powiedziało, ja odliczę pieniądze.

— Ależ mój Szmuluniu, rozważ sam, młyn na trzy lata, to przeszło dziewięć tysięcy, niesłychany procent, a nasz ostatni dochód — przekładała słodko pani.

— Dobrze to jasnéj pani powiedzieć, procent, procent — wyjękiwał załzawionym głosem żyd. — A czy to ja nie jestem na rozkazy? kto to wszystko zrobił? kto ukradł waszę panienkę? a jeszcze tyle roboty do końca...

— Ciszéj, ciszéj na miłość Boga, jeszcze kto posłyszy — przerwała pani obejrzawszy się trwożliwie, a potém dodała: — Nie liczysz co za to dostałeś od Mamerta.

— Ja wziąłem? czy to ja nie służę jasnym państwu z przyjacielstwa, ja jeszcze swego dołożyłem — odparł urażony żyd.

— Nie trafię do końca z przeklętym żydem — mruknęła pani na stronie, a wyjąwszy zachowany za gorsem papier, dodała: — Cóż z tobą począć, masz tu kontrakt, dawaj pieniądze.

— Chodźmy do altany — powiedział żyd, a słowa poparłszy czynem, rozsiadł się na ławce z darni, do-

był z drugiéj kieszeni małą latarkę, tak zwaną złodziejską, zapalił i począł rozczytywać się z uwagą w podanym papierze; kobieta zaś usiadłszy obok śledziła jego ruchy z obawą i z oka papieru nie spuszczała. Nakoniec żyd odczytawszy papier, wyratował z toni pończochę i jął wykładać pieniądze na stół, który pani dla uniknienia brzęku przykryła szalem, zdjętym ze swojéj szanownéj osoby.

Dziwny to był obraz — żyd rozczochrany i obdarty obok pani bez szalu. Oboje z niedowierzaniem wzajemnie patrzyli sobie na ręce — ona na papier, on na pieniądze. Widać to wspólne zaufanie wynikało z dobréj znajomości. Pani starannie oglądając ruble i ważąc na ręku dukaty, kilkanaście z nich odłożyła na stronę mówiąc:

— Ej Szmulu, czy to się godzi, patrz ile tu rubli i dukatów oberzniętych.

— Ja zaledwie to dostałem i tak mam stratę — odpowiedział żyd.

— Ja tych pieniędzy nie przyjmę — ofuknęła pani.

— No, to niema interesu — rzekł żyd robiąc ruch jakby zgartywał pieniądze do pończochy, a pokłoniwszy się, dodał: — Dobranoc jasnéj pani, bo ja bardzo zmęczony. — Kobiéta zatrzymując żyda wybąknęła a parte:

— Przeklęty żyd nóż mi trzyma na gardle — a po-

tém głośno dodała: — Co mam z tobą robić, spodziewam się że mi to kiedyś nagrodzisz.

— Ja zawsze gotów na usługi jasnych państwa — wymówił żyd z pokorą, topiąc papier w kieszeni. Pani schowała pieniądze, a wydobywając flaszkę z ukrycia, ozwała się:

— Zapij Szmulu tę sprawę — i podała żydowi napełniony kieliszek.

— Na dobry interes to jasnej pani należałoby przepić do mnie na szczęście — powiedział żyd nizko się kłaniając. Pani ze wstrętem umoczyła usta w kieliszku i na powrót oddała go żydowi. Szatan, jako świadek nieodzowny podobnych spraw, przyklasnął zapewne toastowi szlachetnych sprzymierzeńców.

— A teraz Szmulu czas nagli, dalej do rzeczy. Już wiész jak masz sobie począć, jestem spokojna o ciebie, że spiszesz się należycie. Tylko pamiętaj hałasuj jak oparzony.

— Ach, jeszcze jedna myśl — dodała pani po chwili — nie wadziłoby wyłamać tę furtkę z zawiasów, jak myślisz?

— Jaka jasna pani przezorna — odpowiedział żyd z admiracyą — nic łatwiejszego bo i tak stare zawiasiska.

— Tylkoż bez hałasu — i pani z żydem wspólnemi siłami, poodrywali w cichości stare zawiasy, a samą furtkę na ziemi złożyli. Po skończonym ostatnim

czynie zniszczenia, pani i żyd znikli za węgłem domu, na którego przeciwną stronę przenosiła się scena działania.

Przewidywana trwoga.

Racz-że łaskawy czytelniku, pofatygować się na drugą stronę, na obszerny dziedziniec, nad którym panował gatunek jakiegoś pałacyku o piętrze, w niedowarzonym stylu architektury nowo-szlacheckiéj. Nie żałuj zaś, że księżyc przerzucony już teraz do antypodów, nie udzielał światła do obejrzenia téj budowy, bo wierz mi tracisz na tém nie wiele. Pałac ów z tej jako i tamtéj strony był pogrążony w ciemnościach; zatoż stojący na przeciwko niego nizki domek, zwany pospolicie oficyną, wyrzucał przez okna rzęsiste światło; że zaś takowe nie wątpliwie milszém jest od cienia, zatém skierujmy się w stronę skąd wypływało i zajrzyjmy do onéj oficyny.

Tam cały środek obszernej komnaty zajmował stół duży, zielonem suknem pokryty, jaki widzieć się daje w izbach sądowych, z tą tylko różnicą że na owym stole zamiast księgi praw i papierów, stała po środku dość spora misa, napełniona różnego rodzaju monetą, a obok niéj stosy kart, tu i owdzie porozrzucane w dziwacznym nieporządku. Stół obsiadło do koła ośmiu do dziesięciu ludzi rozmaitego wieku, atoli większość

była młokosów z meszkiem na twarzy, jak to widzieliśmy u Mostrongowych adjutantów. Żaden z graczy nie odznaczał się dbałym strojem, najwięcej przyodzianych było w szlafroki lub bardziéj jeszcze bez ceremonii. Przed każdym prawie leżały mniéj więcéj spore kupki pieniędzy, a przed tymi od których odwróciła się fortuna, skromne już tylko kredki; między temi przyborami snuły się pełniejsze i ponadpijane kieliszki. Oblicza graczów przedstawiały wielką rozmaitość, którą ruch kart zmieniał w oka mgnieniu z bladych na rumiane, z posępnych na wesołe i t. p.

Nad owym areopagiem górował krępy i przysadkowaty młodzieniaszek, którego powierzchowność zdradzała swieże odklejenie od szkolnéj ławy; wzrostu był mniéj niż średniego. a takowy starannie nadsztukowywał olbrzymiemi obcasami u bótów, lub też wedle możności wznosił się na palcach: mówił głośno, imponująco. za każdą koleją garściami wyrzucał pieniądze, widać że miał je na zbyciu; włosy nosił najeżone, jak wówczas nazywano à la diable m'emporte, obecnie zaś jakimś rodzajem bogato haftowanego zawoju przykryte. Odzianym był w rodzaj czerkieskiéj kurty aksamitnej suto szamerowanéj złotem. z pod któréj wyglądała rękojeść sztyletu, — był to własnie postrach Szmula przez niego wielkim nożem nazwany, szczęśliwym zaś posiadaczem onego był Ananyasz Warchlak Gondziorek, młoda latarośl świetnego arystokratycznego domu.

Wszyscy otaczający stół należeli do liczby wielbicieli i konkurentów wykradzionej, dla których z rozmaitych powodów była nie dojrzałym owocem: jeden był za ubogi podług wyrachowań matki, inny trzymany był na wszelki wypadek, jeżeli coś lepszego nie znajdzie się; niektórzy ażeby dorość wymaganéj cyfry majątkowéj do osiągnięcia ręki panny, cierpliwie oczekiwali końca najdłuższego życia rodziców, w liczbie tych ostatnich znajdował się i Gondziorek, który chociaż Krezus w przyszłości, dotychczas rzucał jeszcze pożyczanemi pieniędzmi, a matka jego tymczasem czerstwém zdrowiem cieszyła się, zatém dotąd jak wielu innych znajdował się w rezerwie; rozumna bowiem matka Kloci pojmowała tę prawdę, iż pobożnych na odpuście a konkurentów przy pannie — nigdy za wiele. Wprawdzie pod ogólną nazwą aspirantów znajdowało się nie mało, mocniéj wzdychających do kuchni i piwnicy domowéj niżli do wdzięków panny: lecz że podobne odcienia trudne do rozgatunkowania, więc wszystkich zarówno tolerowano. A że dom był miły, swobody wiele, ceremonii mało, bywał też ciągle przepełniony. — Prócz tych kawalerów zielonego stołu, znajdowało się kilku jeszcze rozbitków fortuny, którzy za dozwolony zakres kredki przeskoczywszy, wyszli za szranki, a teraz rozłożeni na sofach snem pocieszali niesprawiedliwość losu.

W przyzwoitej odległości przy małym stoliku sie-

działo dwóch ludzi już nie młodych. a ci skromnym maryasikiem byli zajęci, o skromniejszą jeszcze stawkę, zawierającą się w umówionych dozach wiśniówki, którą się raczyli. Jeden z nich wysoki, chudy, skromnie ubrany, z kapszuczkiem na guziku, był dalekim krewnym gospodarza domu, obecnie we śnie pogrążonego, a którego w téj chwili reprezentował i dla tego od czasu do czasu, obchodził stół duży z butelką i o stanie kieliszków przekonywał się, a po takiéj każdej wyprawie odzywał się do partnera:

— A my sobie kochany Assesorze, wiszniówеczki, bo te *vin de kwassy* psują żołądek. — W istocie był on wielkim miłośnikiem wiśniówki, która zawdzięczając mu ów affekt, na zacném jego obliczu barwy swoje wypiętnowała. Owym czcicielem wiśniaczku był skromny i spokojny człeczyna, który spoczywając na laurach, wspominał świetną przeszłość, kiedy piastował godnośćć podsędka Zwiahelskiego; za teraźniejszość zaś i przyszłość starczyła mu ulubiona wiśniówka. Partnerem podsędka do onego wiśniowego maryasza był pan Assesor, sprowadzony przez Szmula w przewidywaniu opowiedzianéj katastrofy. Nie wątpię iż każdy z czytelników widział w swém życiu chociaż jednego Assesora, a ponieważ wszyscy są do siebie dziwnie podobni—ab uno disce omnes, zatém oszczędzę im czasu i cierpliwości, których nadużyć jeszcze mam nadzieję.

Ciszę grobową, przerywaną niekiedy brzękiem złota

i kielichów, zakłócił Szmul, który pode drzwiami obejrzawszy starannie nieład swego odzienia, wpadł między graczy jak bomba do prochowni, wywołując na całe gardło:

— Gwult! rozbójniki, rabunek... ukradli...

— Co, już ukradli? — nieoględnie zapytał pan Assesor podbiegając do żyda, który trącił go silnie w bok dla przypomnienia że się zdradzał. Na szczęście że ogół grających, przerażony i schwytany znienacka nagłém i niespodzianém zjawieniem się żyda, nie zwrócił uwagi na ten niewczesny wyskok Assesora, który w celu poprawienia go zakrzyczał:

— Wołajcie tu Skrobiczewskiego! Może to banda Karmeniuka, zaraz ich połapiemy. (Karmeniuk, znany herszt rozbójników, właśnie natenczas poczynał być postrachem Podola i Wołynia).

— Co ukradli, mów Szmulu, może tę doskonałą wiśniówkę, którą w tych dniach zbutelkowałeś? a tobym z gardła wydarł tym łotrom — zawołał energicznie Podsędek, puszczając z ręki panfila, którego przed chwilą wytężył na zabicie Assesorowego tuza. Od razu Szmula zasypano pytaniami. Zapaśnicy u zielonego stołu grę zawiesili, wprzód jednak każdy zgarnął skrzętnie leżącą przed nim kupkę żywotną. Dwaj tylko wytrawniejsi gracze pozostali na miejscu, a przyciągając do siebie misę z pieniędzmi, zawierającą ogólną stawkę, jeden z nich odezwał się:

— Poswięćmy się dla dobra ogółu i nie ruszajmy się z miejsca, a zawsze wiadomość o tém co zaszło nie minie nas.

Szmul do głębi przejęty swoją rolą, nie zaspokoiwszy ogólnéj ciekawości, wybiegł na środek dziedzińca prosto do dużego dzwonu, używanego do zwoływania robotników, a uczepiwszy się sznura targał bez miłosierdzia. Panowie z oficyny za nim wybiegli, Gondziorek bohatersko machał nieodstępnym sztyletem. Wszakże nikt dotąd nie wiedział co się stało, dokąd ma biedz i kogo ratować? Jeden tylko Assesor śmiejąc się w duchu, odszukał swojego Pomocnika, alias adjunkta, JPana Skrobiczewskiego, którego już ciągnął za sobą zaspanego, w stroju niedbałym, otulonego w kołdrę i pokrytego szlafmycą. Na odgłos dzwonu cała zgraja sług, uprzednio spojona przez Szmula, zataczając się wypadła na dziedziniec. Dziwne było zamieszanie: każdy biegł w inną stronę, ci wrzeszczeli że gore, owi łapali jedni drugich biorąc za złoczyńców, a nikt nie pomyślał Szmula od dzwonu oderwać i wiadomości od niego zasięgnąć. Nie wiadomo na czém by się skończyło, gdyby nie pojawienie się gospodarza domu, który naprzód za pomocą doświadczonej dźwigni gospodarstwa, nieodstępnéj giętkiéj trzciny, pijaną służbę jako tako do porządku przyprowadził, Szmula od dzwonu oderwał, a obejrzawszy iż niema ognia, ni obcych ludzi, zgromadził wszystkich do

najobszerniéjszéj sali pałacu i światła pozapalał. Szmul jakby lubował się w swojéj roli, czy też chcąc zyskać na czasie, udawał nieprzytomnego i żądanych objaśnień nie udzielał.

Kiedy przytomni jeszcze nie odgadli czego mają obawiać się i przeciw kogo wystąpić? nagle znana nam matrona w stroju więcéj niż niedbałym, z rozpuszczonemi włosami, wpadła między to grono dręczone niepewnością, a z jękiem i płaczem rozdzierającym serce zaczęła wołać w niebogłosy:

— Ach, gdzie moje jedyne dziecię, moja Klotylda! — Na to rozpaczliwe wołanie matki, całe towarzystwo posunęło się za nią do pokoju wykradzionéj i tam ona trwoga została nakoniec wyjaśnioną.

W tém miejscu mamy do oddania tyle rozmaitych a sprzecznych uczuć, iż trudno do tego przystąpić. Naprzód ona matrona, którą przed niedawną chwilą widzieliśmy spokojną w improwizowanéj loży chmielowéj, robiącą siatkę a następnie traktującą interes z zacnym spólnikiem Szmulem, była obecnie do niepoznania; tarzała się po ziemi, dostawała nadludzkich spazmów, tak że najbardziéj zakamieniałe serce rozdarłaby widokiem téj macierzyńskiej boleści. Cóż dopiéro jak z kolei, niby wypadkiem doszła do znanego nam czerwonego pantofelka? Tu już chyba przyjdzie nam żałować, iż genjalny autor «Notre Dame» nie był

świadkiem tej sceny, ponieważ on jeden byłby w stanie ją odtworzyć.

Innych uczucia wylewały się na rozmaite sposoby: gospodarz domu jako człowiek czynu, zapanowawszy nad bolem i trwogą, trapiącemi jego ojcowskie serce, starał się naprzód stroskaną i zbolałą małżonkę pocieszać i ratować. Rycerski Ananyasz, dowiedziawszy się o co chodziło, podniósł sztylet ostrzem do góry i poprzysiągł, że: lub odzyska Klotyldę, i w sercach gwałcicieli utopi owo ostrze, lub je ku swojéj bohaterskiéj piersi skieruje. Kilku młokosów, otoczywszy Gondziorka, zapałem jego przejmowali się; lecz wytrawniejsi, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, doznali niepokoju co do onéj misy ze stawką, do któréj pośpieszyli. Poczciwy Podsędek uspakajał jak umiał całe towarzystwo i na wzmocnienie upadającego ducha proponował skuteczny wiśniaczek, w który zaopatrzył się. Assesor trzymał się swego partnera podsędka, a zwierzywszy całą czynność swojemu doświadczonemu adjunktowi Skrobiczewskiemu, przypomniał sobie iż opuścił jakąś interesującą dograną, do któréj z Podsędkiem pośpieszył.

Należy słuszność panu Adjunktowi, iż był najczynniejszym w całéj téj sprawie; zmienił bowiem na prędce strój niedbały na urzędowe szaty, stosownie do litery prawa naprzód zlustrował szczegółowo miejsce popełnionéj zbrodni, wciągnąwszy sumiennie do

protokółu wszelkie okoliczności. Gdy zaś w celu głębszego zbadania rzeczy, umyślił był drogą obraną przez zbrodniarzy wydostać się na zewnątrz, spostrzegł ową szklankę w któréj jak nam wiadomo znajdował się płyn ze Szmulowéj flaszki; adjunkt jako wytrawny urzędnik, nie gardzący najdrobniejszą poszlaką, jął pilnie zastanawiać się nad owym płynem, na widok którego zrozpaczona matka zawołała:

— Ach! to kwiat pomarańczowy mego najdroższego dziecka! — po tych słowach chciała wyrwać szklankę z rąk adjunkta, posiadającego tę wielką cnotę iż skoro urzędował, stał jak granit przy władzy; jakoż i teraz obojętny na boleść matki, usunął się z płynem na stronę, a na przemian rozpatrywał, smakował, wąchał — nakoniec spojrzał w niebo jakby szukał natchnienia, a po głębokim namyśle, podniósł głowę z pewnym wyrazem tryumfu i uroczyście przemówił:

— Corpus delicti!

— Corpus delicti! — zdjęci ciekawością i trwogą powtórzyli niektórzy z przytomnych.

— Tak jest! — ciągnął poważnie adjunkt — Według posiadanych przeze mnie nocyi co do medycyny sądowej, którą w swoim czasie pertraktowało się, napój tu obecny zawiera w sobie pewną ilość niejakiego narkotyku, tak zwanego opium, czyli jak inni uczeni laudan*em* go mianują, a ten użyty w pewnéj wiadoméj dozie sprowadza sen twardy i przeciągły, w większéj

zaś smierć, tak zwaną *per*... — Tu przerwał mowę pogardliwą intonacyą głosu, jakiéj niektórzy uczeni radzi używają pospolitując się z profanami. Na te słowa nieszczęsna matka, załamując ręce, zawołała z rozpaczą:

— Otruta!

— Nie koniecznie mościa dobrodziejko, a jak miałem sposobność przełożyć, stosownie do użytéj dozy, któréj z pewnością oznaczyć jeszcze nie możemy, a co uskuteczni się we właściwym czasie i miejscu — odparł poważnie pan adjunkt i zażądawszy czystego naczynia, płyn w niem umieścił i do protokółu, jak prawo mieć chciało, dołączył — nie wprzód jednak aż zaopatrzył pieczęcią rządową i prywatnemi niektórych świadków. Następnie zdążał ku onéj wyłamanéj przez panią i żyda furtce, a przenosząc się ze śladu na ślad, jak najmniejsze szczegóły starannie obserwował i spisywał. Obfity zaś w pomysły urządził na prędce ruchomą kancelaryą, zawiesiwszy bowiem kałamarz na guziku, zaopatrzył się w stołek i latarkę, które przenosił z miejsca na miejsce i skrzętnie notował cokolwiek napotykał; dla ściślejszego zaś zbadania drobnych okoliczności, raczkując niekiedy po ziemi, z kolei natrafił na przelaną wypadkiem przez podsędka wiśniówkę, którą zblizka obejrzał przy świetle latarki, potém powąchał — a że starowina wzrok miał wiekiem osłabiony, przez nagłe zaś przerwanie snu

i strój niedbały nabawił się kataru lub może, iż errare humanum est, po długiém zastanowieniu, stanowczo zawyrokował:

— Krew.

— Krew! — wyjęczała nieszczęsna matka, zaledwie z poprzednich mdłości wytrzeźwiona, i padła bez zmysłów. — Natenczas Ananyasz Gondziorek, srodze najeżywszy włosy, przystąpił do onéj krwi a zmoczywwszy w niéj koniec sztyletu, podniósł ku niebu i uroczyście zawołał:

— Przysięgam iż nie spocznę, aż we krwi złoczyńców omyję tę krew ukochaną, niewinną.

— Amen — powtórzyli za nim dwaj młodzieniaszkowie.

Tymczasem śledztwo zbliżało się do końca, a dotąd ze Szmulem nie mogli trafić do ładu, tak wykręcał się od ostatecznego zeznania. Jednak czynny i wytrwały p. Adjunkt doszedł powoli do tego i wyciągnął od Szmula następujące zeznanie: iż jacyś ludzie osmarowani sadzą, nakształt murzynów, napadli na jego karczmę i zrabowali, jego zaś z rodziną i domownikami srodze zbitych i powiązanych zamknęli w oddzielnéj izbie. Niektórzy ze złoczyńców pozostali w karczmie inni zaś oddaliwszy się, po niejakim czasie wrócili z kobiétą, nie dającą znaku życia, i z nią razem puścili się w drogę ku granicy. — Nie zastanowimy się dłużéj nad poetyczną improwizacyą Szmula, mającą na celu

ukrycie do czasu winowajców, zmylenie pogoni i nakoniec przerzucenie się ze spólnika na ofiarę — czemu zręczny żyd zadość uczynił.

Skoro ojciec wykradzionéj dowiedział się w jakim kierunku udali się gwałciciele, natychmiast chciał pogoń zarządzić, lecz i wszechmocna trzcina nie zdołała wytrzeźwić pijanéj służby, i ojciec nieszczęsny musiałby zaniechać prędkiego poszukiwania dziecka, gdyby heroiczny Gondziorek nie ponowił raz jeszcze przysięgi, na sztylet i krew, wyrwać co prędzéj wykradzioną z rąk oprawców. Tym zaś końcem puścił się zaraz w drogę, co nawet po rycersku miał zamiar wierzchowo uskutecznić, lecz że pono nie tęgim był kawalerzystą, zatém kazał zaprządz do wygodnego kocza; dwaj młodzieniaszkowie, znajdujący się nieodstępnie przy jego boku, za nim podążyli.

Niezbyt długiéj wrześniowéj nocy nie wystarczyło na przeprowadzenie wszystkiego, co przy blasku księżyca rozpoczęło się, a co wyżéj opowiedzieliśmy; koniec zaś onéj sceny jaskrawy już promień słońca oświecał. Wytrawniejsi gracze, zaspokoiwszy ciekawość, wrócili do onéj misy, rozegrali spokojnie stawkę i wynieśli się pokryjomu, śpiesząc ze swieżą nowiną na cztery strony sąsiedztwa. Assesor z podsędkiem, znużeni wiśniowym maryaszem, udali się do wczasu. Adjunkt przeniósł swoję czynność na inne pobojowisko, do karczmy Szmula, gdzie już stosownie do tego co widzie-

liśmy na szanownéj osobie jéj gospodarza, były przygotowane ślady zniszczenia, a nawet i świadkowie gwałtu, którego nikt się nie dopuścił. Mając pilniejsze rzeczy przed sobą, nie wdamy się w szczegóły, jako przebiegły żyd ze spólnika zbrodni stawał się jéj ofiarą, a do czego ta metamorfoza posłużyć mu mogła, dalsze opowiadanie wyjaśni. Tym tedy sposobem, na polu onego nieszczęsnego gwałtu, stroskani rodzice ofiary sami pozostali.

Nomina sunt odiosa.

Wyznaję w pokorze, że jako opowiadacz czy bajarz, lub jak tam w nieocenionéj łasce nazwać mię raczycie, nie dopełniłem ważnej powinności, nie opisawszy przyjętym zwyczajem okolicy, miejsc, widoków, domu, rozkładu pokojów, sprzętów i sposobu ich ustawienia etc. Błąd to już niestety, nie do poprawienia, ponieważ od onego miejsca gwałtu i zbrodni odwrócimy się ze zgrozą i wkrótce opuścimy je na zawsze. Co zaś dotyczy osób, nad temi zastanowić się nam wypada, począwszy od niepocieszonych rodziców nieszczęsnéj ofiary.

Gospodarzowi domu tego nic nie mieli ludzie do zarzucenia, oprócz jednego grzechu, który jakby pierworodny na świat z sobą przyniósł, a to iż od

dziada pradziada zwał się Szerepa, a nie zważając na to, iż godność ta rymowała z historycznem imieniem Mazepa — nikt mu tego nie przepuścił. Powodu onéj niesprawiedliwości chyba przyjdzie się doszukiwać w tém, że nieborak na świat przychodził właśnie w tych czasach, kiedy towarzystwo stawało się złośliwszem. Wszakże pamiętali ludzie kilka pokoleń jego przodków, possesionatów na jednej i téj samej ziemi, którą teraz po nich dziedziczył, a nikt im tego nieszczęsnego *Szerepostwa* za złe nie miał, aż na nim się skrupiło, i on biedak dopiéro na sobie doświadczył téj smutnéj prawdy że: *Nomina sunt odiosa.*

Rozumie się że ta klęska całego życia, jak wiele innych podobnego rodzaju, poczynała się od szkół. Komuż nie wiadomo że nie masz pod słońcem zjadliwszych bestyi nad żaków szkolnych — chociaż zdawało by się iż młodość uśmiechnięta, bez trosk i zgryzot, winna by być więcéj pobłażliwą i wyrozumiałą, a wolną od nienawiści i szyderstwa; lecz jako żywo, niema na świecie jadowitszych żądeł jak u tych młodych żmij i nikt trafniej, nad poczciwych koleżków, nie odszuka słabéj strony i pięty Achillesowej. Nie jeden, przez długie lata aż do śmierci, nie mógł zatrzeć śmieszności, którą go koledzy szkolni napiętnowali. Gdybyż to jeszcze zasłużenie dostało się biednemu Szerepie? Lecz on, uczeń wzorowy a przy tem

najlepszy kolega, chętnie cierpiał za cudzą winę byle powinności koleżeństwa zadość uczynić; a jako pieszczony jedynak bogatych rodziców, zawsze bywał przy zapasiku, którym chętnie i wspaniałomyślnie z towarzyszami dzielił się — wszystko to jednak nie na wiele przydało się. Co gorsza nie wiedział prześladowany, że jedynym antydotem przeciw szyderstwu jest obojętność, lub jeszcze skuteczniejszém postępowanie według zasady homeopatów: similia similibus curantur, czyli zrozumialej—klin klinem wybijać t. j. szyderstwo szyderstwem odpierać. A jak na nieszczęście młody Szerepa, przy słodkiém i łagodném usposobieniu, posiadał nadzwyczaj wrażliwy charakter, do którego najsnadniéj przyczepia się złosliwość ludzka. Już tedy znosił ów krzyż w pokorze, osładzając dolegliwości nauką, i nakoniec doczekał szczęśliwéj chwili wyswobodzenia, opuszczając miłych koleżków z radością, a szkołę z chlubą jako celujący.

Odetchnął swobodniej młody męczennik, przypuszczając że za progiem szkolnym zostawił prześladowanie, lecz niestety, ono razem z koleżkami w świat za nim popędziło. Schronił się od prześladowców przy starych i miłujących go rodzicach, a przy nich w pracy nad rolą i nauką, ogrzany rodzicielską miłością jako ich jedyny ukochany Marcinek, zapominać zaczął że przyszedł na świat Szerepą i już zdawał się innego szczęścia nie pragnąć; atoli i to trwało nie długo.

oboje rodzice wkrótce zmarli Gorzko opłakawszy tę boleśną stratę, rad nie rad musiał objąć po nich spuściznę, pozawierać stosunki, zostać obywatelem kraju i na nowo wrócić do wyśmianego nazwiska. Dawni koleżkowie tymczasem jedynie czyhali na to, a skwapliwie pochwycili nową sposobność i trudno jest opisać co cierpiał pan Marcin, tém bardziej że z wiekiem wzmagała się ona nieszczęsna wrażliwość.

Wszystko to już było nad siły biednego człowieka. Zamknął się w domu, z którego na krok nie wychylał się i jako jedyny ratunek, ucieczkę przed ludźmi i niejako przed sobą samym, raczéj nienawistném mu już imieniem, umyślił pozbyć się znacznego majątku i on grzech swój pierworodny w murach klasztornych zagrzebać. Zdawało się iż postanowienie to było stałe i nieodwołalne. Wahał się jedynie nad wyborem reguły zakonnej — a kto wie, może sił mu brakło do zaparcia się życia, na którego progu zaledwie stanął? Przemyśliwał sobie nad tém w bezwarunkowém osamotnieniu, pocieszając je to nauką, to gospodarskiém zajęciem, a nie rzadko i łowami; powoli zaczął zapominać że są na świecie nie tylko koledzy, ale nawet ludzie i ani razu nie pomyślał czyli miał jakie sąsiedztwo, w którém zaszły natenczas pewne zmiany.

Z posiadłościami pana Marcina graniczyła o miedzę wioska Podkomorzego Kołomyjewskiego, dziś już

ex-magnata, który przez lat kilkadziesiąt słynąc z wystawnego i roskosznego życia, uważanym był za koryfeusza wielkiego tonu całéj prowincyi i kwiat towarzystwa garnął się do niego. Podkomorzy żył zawsze szumnie i po pańsku, a przeżywając znaczny majątek, pamiętał iż posiadał cztery córki, którym nic nie miał do zostawienia; starał się więc skorzystać ze swéj wziętości i znaczenia w świecie i wszystkie dobrze postanowił; trudném to wprawdzie nie było, bowiem podkomorzanki urodziwe, a miłe i powabne, podobać się umiały. Tak zaś rozliczył Podkomorzy, iż do postanowienia czterech córek fundusz na szumne życie wystarczył. Atoli wyrachowanie to jakkolwiek mądre zostało zawiedzione, jak wszystkie rachuby śmiertelnych; Bogu bowiem podobało się, już prawie na starość pocieszyć Podkomorstwo piątą córeczką, Zosią. Byłaby z niéj prawdziwa pociecha, ponieważ ta dziecina cudowna rosła w przymioty i wdzięki, lecz na nieszczęście w miarę tego zmniejszał się znaczny majątek rodziców, i już przy wydaniu ostatniéj ze starszych córek wisiał na kredytowym włosku, który właśnie przerwał się nie w porę, kiedy dojrzewającą Zosię należało szumnie w świat wprowadzić, — a w tém jak na przekorę, wyrugowano ich z pysznych pałaców i z całego pańskiego majątku. Pozostała Podkomorzemu w sąsiedztwie pana Marcina licha wioseczka, dotąd pogardzona i prawie nieznana właścicielowi,

w której teraz z dorosłą córką musiał skromnie zamieszkać.

Nie bity w ciemie, a człek wytrawny i zaradny pan Podkomorzy nie upadł na duchu i nie zwątpił o sobie, ani o pięknéj fawory tce Zosi, a rozglądnąwszy się w nowém sąsiedztwie, zatrzymał wzrok przenikliwy na panu Marcinie. Jak dotąd zachodziła jedynie wielka trudność, jak zwabić odludka zrażonego do świata. Powoli Podkomorzy zbadawszy powody onego zniechęcenia, umyślił je obrócić na swoję korzyść. Pozostawało tylko jedno zawikłane zadanie: jak zbliżyć się z panem Marcinem? Statecznemu i podeszłemu arystokracie nie wypadało wizytować młodzika; anoż by jeszcze wizyty nie oddał i wszystko by spełzło na niczem?

Powiedzieliśmy wyżej, iż między innemi pociechami samotnośći pana Marcina bywały i łowy, a najczęściéj z chartami. Podkomorzy więc równie jakąś od dawna przygasłą namiętność do polowania rozdmuchał; w skutek tego kiedy pan Marcin najspokojniéj tropił zające, nic nie wiedział że sam także był tropionym przez Podkomorzego. Nie wiadomo kto łatwiejszym był do wytropienia, czyli zając czy nasz odludek, który skoro zoczył kogoś obcego zmykał co tchu. Przez jakiś czas tak polowali zobopólnie, Marcin na zające a Podkomorzy na Marcina; aż razu pewnego kiedy ten ostatni zapamiętale ścigał zająca, sąsiad

czyhający w ukryciu za nim popędził i przy odharapowaniu tuż obok niego znalazł się:

— Wybacz panie sąsiedzie — uchylając czapki ozwał się Podkomorzy — że za wytropionym przez ciebie zającem mimowoli pognałem, ale twardego w pysku wierzchowca utrzymać nie mogłem. — Po czém wpatrując się pilnie i z niejaką czułością w oblicze pana Marcina, dodał z zapałem:

— Nie, omylić się nie podobna, to pan Chorążyc szanowny sąsiad, wykapany ojciec nieboszczyk. Jakże żałuję że nie zastałem go w mojém sąsiedztwie — a wyciągając po przyjacielsku prawicę, niemal do łez rozczulony mówił daléj: — ale gdy już Bóg tak chciał, pozwól-że dawną a szczerą przyjaźń przenieść z ojca na syna. Mam honor przedstawić się: Podkomorzy Kołomyjewski, szczery a wierny przyjaciel—bo od szkolnéj ławy — twego nieodżałowanego śp.ojca.

Wspomnienie nieodżałowanego ojca, co większa spotkanie z obcym człowiekiem bez usłyszenia dojmującego wyrazu «Szerepa» — co mu się dotąd nie zdarzało, a bardziéj jeszcze to że Podkomorzy wynalazł mu tytuł Chorążyca (bo w istocie jego ojca Chorążym tytułowano), nakoniec szczere wzięcie się nowego znajomego wywarło wpływ zbawienny na młodzieńca i z należném uszanowaniem sąsiada powitał. Podkomorzy, człek światowy, bez trudności wynalazł przedmiot do gawędki, w której często rodziców Marcina

wspominał, przez co stopniowo odludka oswajał. Gdy już jakiś czas krążyli bez celu po polu, Podkomorzy odezwał się do postępującego za nim dojeżdżacza:

— Jakóbie, a dajno flaszę, zapijemy chociaż wódeczką mitą znajomość z łaskawym sąsiadem. — Na nieszczęście Jakób flaszę zapomniał, o parę zaś staj wyglądał z za lasu komin pana Marcina, który acz przymusowy samotnik jednak obowiązki towarzyskiego życia pojmował, a ukazując swój komin, odezwał się z należną attencyą:

—Jeżelibym śmiał prosić pana Podkomorzego dobrodzieja o tę wielką łaskę zaszczycenia mego domku, a wódeczka znajdzie się. — Na to tylko czekał Podkomorzy, a zawołał uradowany:

— Z najmilszą chęcią a do tego podwójną: bowiem prócz prawdziwéj przyjemności złożenia attencyi łaskawemu sąsiadowi, będę miał to szczęście odżywić nie wygasłą pamięć mego nieodżałowanego Chorążego — po tych słowach, przyjaźnie uścisnąwszy dłoń młodzieńca, ku jego domowi konia zwrócił. Skoro tam stanął, odżywił w pamięci dom starego przyjaciela, a przed portretami Chorąstwa łza mu zwilżyła starą powiekę i westchnienie pierś podniosło (dodajmy w nawiasie, że w tym domu nigdy nie był, a podobno samego chorążego spotkał gdzieś raz w życiu — ale to nic nie szkodzi). Rozgościł się tedy jak u syna starych przyjaciół, przyjął uprzejmie śniadanie, obiad i

dopiéro po wieczerzy późno do domu odjechał. Przy pożegnaniu, bez ceremonii już tuląc młodego gospodarza do serca, odezwał się:

— Mój drogi *Marcinku*, wybacz tę poufałość przyjacielowi ojca. Spodziewam się że nie ostatni raz widzimy się, pamiętaj że przez miedzę od ciebie są także zające i stary przyjaciel waszego domu, bo jeszcze od dziada. — Ot, którędy zajeżdżał Podkomorzy! a bez miary naściskawszy Chorążyca, udał się do siebie.

Po wyjeździe Podkomorzego dziwne jakieś uczucia opanowały pana Marcina. Naprzód pomyślał sobie, nie taki straszny diabeł jak go malują—i nie wszyscy ludzie tacy złośliwi jak szkolni koledzy. W głowie zaś ciągle na rozmaite tony dźwięczał mu miły wyraz «Chorążyc» i uporczywie zagłuszał wydobywające się pianissimo «Szerepa». Wiedzieć należy, iż pan Marcin był bardzo akuratnym gospodarzem, a codziennie ekonomiczne regestra i kwity ściśle wertował, sprawdzał, nakoniec podpisywał jakimś nieczytelnym heroglifem w którymby sam *Champolion* nie doczytał się wyrazu «Szerepa«. Tego zaś wieczora uszczęśliwiony pan Marcin wszystkie gospodarskie papiery podpisał wyraźnie «Chorążyc» — Aż w końcu ukołysany tem miłem brzmieniem usnął smacznie i przy téj muzyce przespał do rana.

Nazajutrz ani się zawahał dopełnić powinności, co do złożenia submissyi Podkomorzemu, a jako w po-

szanowaniu wieku chowany ubrał się też stosownie, jak na pierwsze odwiedziny do starszego przystało. Kazał sobie podać paradny ekwipaż, bo dom jego z łaski nieboszczyka ojca był zasobnym w wygody a nawet zbytki, i pośpieszył do nowego przyjaciela.

Podkomorzy, pewnym będąc tych odwiedzin, w samym ganku cisnął do piersi owo trzecie pokolenie serdecznych przyjaciół, po czém wprowadził gościa do swoich apartamentów. Zawiązała się ożywiona rozmowa o tém o owém, aż po niejakim czasie Podkomorzy odezwał się:

— A może przejdziemy do kobiét, już są zapewne w salonie. —

Owoż był szkopuł którego nie przewidywał nieszczęsny młodzieniec: — A więc są tu kobiéty, gdybym był wiedział, pewnobym nie przyjechał — pomyślał zrozpaczony pan Marcin. Dotąd bowiem niemając stosunków ze światem, nic nie wiedział o Podkomorzym, chociaż imię jego było głośnem; lecz tak się stało, że ojciec nieboszczyk zapomniał p. Marcinowi powiedzieć o tym serdecznym przyjacielu trzech pokoleń. Znów tedy wirował mu po mózgu ów nieszczęsny *Szerepa*, który przy prezentacyi na wierzch koniecznie wyjść musiał. Postępował więc za wskazującym mu drogę gospodarzem blady, drżący i wystraszony, jakby szedł na stracenie. Nie zdawał sobie sprawy dokąd zaszedł, gdzie się znajdował, a tylko jak gromu oczekiwał onego fatalnego wyrazu. Tym-

czasem gospodarz ująwszy go za rękę przyprowadził do kanapy, z któréj na powitanie gościa powstawały dwie niewiasty, i tak się odezwał po przyjacielsku i rubasznie:

— Owoż macie naszego miłego sąsiada Chorążyca, a wnuka i syna moich serdecznych i nieodżałowanych przyjaciół, którego wam polecam.

Wysłuchawszy tych słów, staruszka Podkomorzyna postąpiła parę kroków do młodego gościa, a wyrecytowawszy stosowny komplement, dała mu rękę do ucałowania, sama zaś z powagą właściwą podeszłemu wiekowi pocałowała go w czoło. Znajdująca się obok matki panienka z gracyą dygnęła. Trudno opisać co się działo z Marcinem, gdy zamiast nienawistnego spodziewanego dźwięku, przed którym pochylał znękane czoło, uczuł na niém ciepły pocałunek matrony, a przed zdziwionemi oczami miał cudowne zjawisko prześliczną Zosię.

Wszystko dnia tego odbyło się ku wspólnéj pociesze gościa i gospodarzy, a pan Marcin już późnym wieczorem wracając do domu, ugruntował w sobie to przekonanie iż pozyskał szczerych przyjaciół, a także iż trudnoby wymarzyć coś więcéj uroczego nad Zosię! Dla tego jednak zwykłych wieczornych zatrudnień nie zaniechał i podpisał gospodarskie rachunki jeszcze wyraźniej «Chorążyc».

Od tych odwiedzin rosły wspólne stosunki Podko-

morzego i Chorążyca jak na drożdżach, ciągle razem polowali a, nie wiadomo z jakiéj racyi, wszystkie wytropione zające w ucieczce kierowały się za miedzę Podkomorzego i prowadziły za sobą myśliwych. Czyliż potrzeba opowiadać jak do tego doszło, że nasz młodzieniec z częstego gościa stał się domownikiem, a następnie — wielkie słowo! szczęśliwym wybranym nadobnéj Zosi.

Czytelniku! — jeżeli mam honor posiadać cię? Ty zaś masz szczęście być młodym, bodajbyś jak najprędzéj przez doświadczenie rzecz onę zbadał. Jeśli zaś, miły rowieśniku, ślipiesz nad tą bazgraniną przez okulary, a pod twoją łysiną nie ukrywa się podobne wspomnienie, jak to tam ongi z twoją Zosią bywało — żal mi cię nieboraku!

I tego wam nie wytłómaczę jak się stało — czyli że pomiędzy ślepymy jednooki królem, a z drugiéj strony czemu by nie przyznać i tego, że pan Marcin był młodzieńcem ze wszech miar zacnym, wykształconym, pięknéj powierzchowności, a nadto posiadał trzy zagospodarowane wsie i sporą gotówkę—mniéjsza więc z tém w jaki sposób, atoli jedném słowem stało się, że arystokratyczna i śliczna Zosia, co z wdzięków na cały kraj słynęła, we trzy miesiące po pierwszém poznaniu, oddała piękną rączkę Chorążycowi.

Kiedy jeszcze prześladowany Chorążyc krył się przed światem, zamyślając o regule zakonnéj, więk-

szego szczęścia nie mógł się spodziewać; nie tylko bowiem dostał żonę, która miłością jego uczucia, a niezrównanemi wdziękami próżność zadowalniała, lecz na raz posiadł wszystko co tylko mógł wymarzyć. Żona nazywała go Marcinem kochankiem, najdroższym mężem, dom i sąsiedzi już nie Chorążycem, a całym panem Chorążym. Złośliwe języki dawnych koleżków ucichły przed szczęśliwym małżonkiem powabnéj, najpiękniejszéj kobiéty i nakoniec uszczęśliwionemu zdawało się tylko snem, że urodził się Szerepą; a ponieważ na swoich zapowiedziach nieznajdował się w kościele, zatém onego fatalnego wyrazu, od pierwszych odwiedzin Podkomorzego, więcéj nie słyszał.

Pan Marcin upojony nadziemskiem szczęściem, już tylko starał się odgadnąć czém je sobie wysłużył i wyszukiwał sposobów zawdzięczyć je onéj czarodziejce jego twórczyni. Jakoż czekał nie długo, na raz bowiem w ukochanéj towarzyszce, co do wystawy i zbytków, odezwała się żyłka ojcowska. Rozkochany małżonek poczytał się za najszczęśliwszego z ludzi, iż był w możności wygodzić wszystkim zachceniom, i stosownie do woli wszechwładnéj pani, naprzemian to dom wystawny stał otworem — to małżonkowie zanosili swoje upojenia pod obce nieba.

Szybko mija czas zakochanym i małżonkowie nie opatrzyli się jak dwie przecudne córeczki, obraz matki,

któremi pierwsze lata szczęśliwego ich pożycia Bóg obdarzył, wyrosły na panny. Natenczas Chorąży jakkolwiek rozmiłowany w niezrównanéj towarzyszce, która przelawszy urok i wdzięki na swoje córki dla siebie wiele jeszcze zostawiła, przypomniał że był ojcem i nad przyszłością dzieci zastanowił się. A snadź znaną mu była owa staroświecka piosenka:

«Kochać jest rzeczą przyjemną,
Miłość wzajemnością płacić,
Ale rozumu nie tracić,
Bo i to rzeczą potrzebną.»

Na téj zasadzie Chorąży energicznie przystępował do załatania szpar w majątku, które przez one podróże i wystawne życie, pomimo całéj jego przezorności, już przeświecały i jął zamyslać o stopniowém przejściu od zbytkownego do skromnego życia.

Zaprawdę powiadam wam, iż nie ma szczęśliwszego pożycia jak z małżonką rozbawioną; w takiém stadle nikt nie myśli o władzy najwyższéj, a w świętym spokoju wspólnie dążą do uciech i rozrywek. Wierzcie mi, iż gdyby nam starczyło sił moralnych i zasobów finansowych do bawienia małżonek, to w małżeństwach, przez cały ciąg najdłuższego nawet pożycia, panowałyby najświętsza zgoda i jedność, a wyrazy rozwód i separacya byłyby raz na zawsze wymazane z matrymonialnego słownika. — Atoli biada temu, kto rozbawioną żonę chce zamienić w matkę dbałą o

przyszłość dzieci lub gospodynię, mającą dobro domu na celu; to jakbyś rozigranemu dziecięciu chciał odebrać cacko, lub jeszcze gorzéj—głodnemu źwierzowi pokarm z paszczy wydzierał.

Chorąży lubo mąż rozmiłowany, jednak w nagłéj potrzebie potrafił przemówić głosem stentorowym rozsądku i już, zdawało się, szala zwycięztwa na jego stronę przechylała się. Atoli któraż z was, piękne panie, uzna się za zwyciężoną, wprzód nie wyczerpawszy jawnych i tajemnych środków obrony? Tak też i nadobna Zosia przechodziła przez wszystkie stopnie przymilenia i spazmów — najsilniejsza to broń białogłowy. Wszakże Chorąży przy całém serdeczném usposobieniu, okazał się mężem czynu i woli, a oprzeć się wszystkiemu potrafił i stał przy swojém upornie; mimo to Zosia nie uznawała się za zwyciężoną i doszukiwała się słabéj strony tego niezłomnego pancerza.

O, biada ludziom nie umiejącym ukrywać słabości! Gdyby nie pierwszy policzek wymierzony drobniuchnym pantofelkiem Omfalji w bohatérskie oblicze Herkulesa? gdyby Samson, mąż siły, sypiając w hermetycznie związanéj szlafmycy, ukrył starannie słabą stronę przed zdradziecką Dalilą — jakąż to władzę dzierżylibyśmy w naszych męzkich rękach? A do owego pochlebnego zdania «my rządzim swiatem» nikt nie śmiałby dodać téj poniżającéj konkluzyi «a nami kobiety».

Nie myślcie wszakże, ażeby pan Marcin był srogim i zapamiętałym tyranem, owszem działał bez żółci i złości, tak jak chirurg zadający mimo chęci ból dla ratunku. A lubo starał się o ile możności osłodzić swojéj najdroższéj tę cierpką czarę, podwajając czułość i troskliwość, jednak nie słabł w przedsiewzięciu. Razu pewnego, kiedy w czułéj rozmowie pan Marcin trafiał do rozsądku zrezygnowanéj na pozór połowicy, ta, przypuśćmy bez celu, w niezwykłém rozdrażnieniu odparła mu :

— Masz słuszność, moje miejsce w kuchni i kurniku, je ne suis qu'une misérable *Szerepina* — zwyczajem modnych pań, konkludując dla większéj mocy językiem modnych salonów.

Zadrzał i pobladł nieszczęsny pan Marcin, skoro usłyszał nieznane mu już od lat ośmnastu złowieszcze brzmienie, o którém nie miał już wyobrażenia, jak o mowie sanskryckiéj. Nie będziemy cieniować wszystkich przejść téj walki, którą jeśliś kiedy prowadził miły czytelniku, a wyszedł zwycięzko — bądź pozdrowiony! Ale koniec końców nasz Herkules - Samson natrafił na Omfalią - Dalilę. Stało się tedy, że Chorążyna uzbroiła się w magiczne słowo, przed którém jakby przed oném «*Sezamie otwórz się*» stanęły otworem resztki fortuny, strzeżonéj dotąd silną wolą Chorążego.

Przy pierwszym pocisku czułéj połowicy, wymie-

rzonym w słabą stronę pana Marcina, o której istnieniu zdawało się już sam zapomniał, pierwszy raz przyszło mu na myśl to poświęcenie jego najdroższéj Zosi, nie wahającéj się wspaniałomyślnie podzielić brzemię jego pierworodnego grzechu i zostać dobrowolnie *Szerepiną*. W jednéj chwili zapomniał o błogiém pożyciu lat kilkunastu, a dręczyło biedaka sumienie, iż nie miał dość woli do wykonania pierwszego zamiaru — zagrzebania w murach klasztornych tego nieszczęsnego piętna, które jednocześnie na czoła córek, dwóch niewinnych istot, przenosił. Przeraził się swoją straszliwą zbrodnią, a zdawało mu się iż na jéj odpukotowanie za mało całego życia, które swoim ofiarom bezwarunkowo poświęcić postanowił; w skutek czego został w pewnym względzie pokutnikiem, wyrobnikiem i sługą swojéj rodziny; pozostawiając dla siebie ciężką pracę, wyrzekł się własnéj woli, którą złożył w ręce najdroższéj połowicy jako laur zwycięzki, będący od rozpoczęcia téj walki jéj marzeniem.

Chorążyna stanąwszy u steru rządów, wróciła do dawnego wystawnego życia, a co do wydawania córek przejęła się metodą swojego ojca Podkomorzego, która w skutkach tak pomyślną okazała się; jakoż i jéj nie zawiodła, gdyż starsza córka Chorąstwa, Floryna, w rok po przeważeniu się szali małżeńskiej na stronę kądzieli, wyszła świetnie za mąż za bogacza i arystokratę. Chociaż w rozumieniu matki nie trafiła szczę-

śliwie, ów bowiem małżonek był z rodzaju silniej opancerzonych i nie poddających słabéj strony; jakkolwiek submitował się jako konkurent, lecz po weselu zabrał żonę do siebie i dla siebie, od zacnéj ją rodzicielki oddalając, i zawiózł gdzieś na głęboką ukrainę; żyli w zgodzie acz nie tak jak życzyła sobie Chorążyna, ale tak jak chciał mąż i Bóg przykazał. Na to właśnie utyskiwała matka i dla młodszej córki, która tak co do wdzięków jak i usposobień mniéj się od niéj odrodziła, pragnęła według swoich pojęć lepszego losu. Młodsza córka, Klotylda, któréj powabnym negliżem i snem poetycznym zachwycaliśmy się na początku tego opowiadania, znalazła się w podobném położeniu jak niegdyś jéj matka w domu rodziców; o ile bowiem wyczerpywał się majątek, o tyle z drugiéj strony wiek i wdzięki panny dojrzewały. A przy staraniach matki chociaż dom stał otworem, zalecał się gościnnością i zbytkiem, lecz wyrachowanie dotąd zawodziło, a pod ręką nie było żadnego takiego Chorążyca.

Tymczasem pan Marcin, ów cichy pokutnik swego pierworodnego grzechu, zaparłszy się siebie i własnéj woli, pracując nad możność i siły, dostarczał żywotnego wątku do rozrzutności ulubionéj połowicy. Z czynnego i rzetelnego niegdyś gospodarza—stawał się krętaczem i nierzetelnym dłużnikiem, a wszystko to na zmycie onéj winy, że nie dotrwał w silném postano-

wieniu lat młodych. Często zaś zamyślał się nad oną gorzką prawdą, iż *nomina sunt odiosa*!

Przebudzenie lwa.

Tak stały rzeczy, kiedy mężny Ananyaszek końcem odzyskania i pomszczenia uwielbianéj, ze sztyletem i młodzieniaszkami, traktem przez Szmula wskazanym popędził ku granicy. Stateczniejsi goście wynieśli się do domów, po rozegraniu stawki; Podsędek i Assesor spoczywali snem wiśniowym, czynny Skrobiczewski regulował protokół, strapieni zaś małżonkowie sam na sam pozostali.

Fakt przez nas opisany ugodził okropnym, podwójnym ciosem w czułe a poczciwe serce ojca i męża. Na raz pan Marcin miał przed oczyma hańbę dziecka i rozpacz ukochanéj żony, która od zmysłów zdawała się odchodzić. Jakby wódz napadnięty przez nieprzyjaciela z dwóch stron, nie wiedział on któremu wprzód stawić czoło; lecz jako człowiek czynu bez wahania przystąpił do walki z niebezpieczeństwem, które był w stanie pokonać, a poruczywszy pogoń za najezdcami Gondziorkowi et comp., zajął się ratowaniem żony.

Rozpraszający się świadkowie opisanéj sceny, pozostawili Chorążynę obok czułego małżonka, złożoną na murawie, na którą kilkakrotnie w mdłościach

upadała. Chorąży wszelkiemi siłami starał się przywrócić najdroższą do przytomnośći. Zosia, jako kobiéta wyćwiczona w sztuce spazmów i omdlewania, ażeby wiedziéć co się w koło niéj działo—kiedy ją za bezprzytomną miano, zwykle jedno oczko trzymała napół tylko przymrużone, skoro zaś teraz za pomocą niego dowodnie przekonała się, że sam na sam z mężem znajduje się, od razu stanęła na równe nogi. Chorąży nie wiedząc jak ma tłómaczyć to nagłe przejście, przypisywał je skutkom głęboko poczutéj rozpaczy.

— A przecie porozchodzili się — wymówiła Chorążyna, odetchnąwszy pełną piersią, przez którą tyle sprzecznych uczuć w krótkim czasie przesunęło się.

— Chwała Bogu, żeś nieco uspokojona — całując rękę Zosi odezwał się czuły małżonek.

— Dajno pokój czułościom, bo mam ważniejsze rzeczy na głowie — Chodźmy do mego pokoju, tam pomówimy — odparła sucho pani, pośpieszając ku domowi, pan Marcin zaś dręczony ciągle niepewnością za nią podążał. Po przybyciu na miejsce, pani rzuciwszy się na sofę, odezwała się do zaufanéj pokojówki:

— Fruziu, daj mi herbatę, a potém wybieraj się w podróż, za kilka godzin wyjedziemy. Nie wiém jak długo zabawię, zastosuj się do tego z garderobą. — Sługa natychmiast wydaliła się dla spełnienia zwięźle wydanych rozkazów; pan Marcin zaś blady i wy-

straszony, nie spuszczał oczów z Chorążyny, będąc pewnym iż to pierwszy okropny objaw utraty zmysłów. Nakoniec przystąpił do żony nieśmiało, a ująwszy jéj rękę, starał się nieznacznie puls choréj wybadać, a drugą rękę do głowy przyłożył. Chorążyna odtrąciwszy go zlekka, wybuchnęła głośnym śmiechem, którym jeszcze bardziej mąż przeraził się, a potém odezwała się:

— Co ci jest Marcinie, czyś ty tylko nie zwarjował?

— Właśnie, moja duszko, obawiam się żebyś... — odpowiedział nagle, lecz hamując się myśli nie dokończył.

— Żebyś ty nie zwarjowała, chciałeś powiedzieć— podchwyciła Chorążyna.

— Ależ nie, moja droga, wcale nie to, tylko w obec tego okropnego ciosu który nas dotyka, pojmuję rozpacz matki — uspakajał przerażony mąż.

— Co za cios, jaka tam rozpacz?—odparła obojętnie żona. Biedny Chorąży nie wiedział daléj co począć, będąc pewnym że nieszczęśliwa straciła zmysły; dla wyszukania więc pomocy szybkim krokiem ku drzwiom skierował się, lecz wstrzymał go niecierpliwy głos małżonki:

— Dokąd ci tak pilno?

— Może byłoby nie źle posłać po doktora, prze-

pisałby coś uśmierzającego i wszystko minęłoby—odpowiedział nieśmiało Chorąży.

—Nie bądź nudny Marcinie, usiądź tu, chcę z tobą pomówić. — Chorąży, obawiając się zostawić chorą samą jedną w podobném rozdrażnieniu., postanowił doczekać powrotu pokojówki, a tymczasem ująwszy rękę żony, starał się uspakajać w te słowa:

—Bogu podobało się ciężko nas doświadczyć, ależ nie traćmy nadziei w Jego miłosierdziu że nas jeszcze pocieszy.

— Czém dotknął i czem ma pocieszać? — przerwała niecierpliwie pani. Chorąży zaś, przypuszczając że nieszczęśliwa poczyna już tracić pojęcie o teraźniejszości, co rozumiał być pierwszym niebezpiecznym objawem pomieszania, postanowił działać przez heroiczne środki i odezwał się stanowczo:

— Naszę Klocię porwali.

— I coż z tego? — spytała Chorążyna.

— Wykradli naszę córkę, może zhańbili — podnosząc głos ciągnął daléj Chorąży.

— Nic jéj tam nie będzie — spokojnie przerwała Chorążyna.

— Jakto? Może los naszego dziecka jest w obecnéj chwili w ręku złych i rozpustnych ludzi, a ty na to jesteś obojętną? — mówił Chorąży w rozpaczy.

— Wiem wszystko doskonale i dla tego, jak widzisz, jestem spokojną — odrzekła obojętnie Chorążyna.

— Na miłość Boga bądź zrozumiałą, bo ja nakoniec zmysły utracę — zawołał mąż w rozpaczy.

— I będę musiała sprowadzić dla ciebie doktora— przerwała z uśmiechem pani.

— Co to ma znaczyć, niech już raz nakoniec dowiem się — zakrzyczał z wybuchem niewłaściwego mu gniewu Chorąży, który chociaż od lat już kilku spantoflały małżonek, był swego czasu gorąco kąpany.

— W ten sposób niczego nie dowiész się, a uspokój się, usiądź, pomówimy o wszystkiém — odrzekła spokojnie Zosia, nie ulękniona tym niespodzianym wybuchem dawno przygasłego wulkanu.

Biedny Chorąży na przemian to błagał, to niecierpliwił się, aż nakoniec nadeszła Fruzia z herbatą. Przytomność sługi przerwała rozmowę małżonków, a tymczasem Zosia rozwinęła całą umiejętność, z jakiej jeszcze w domu rodziców słynęła, w sposobie przyrządzania i podawania tego mandaryńskiego nektaru. — Czy myślicie że nie ukrywa się pewien cel w tém mądrém urządzeniu, iż po domach szlacheckich najstarsza z córek, ergo najpilniejsza do zbycia, trudni się nalewaniem herbaty i może przypuszczacie prostodusznie, że to tylko chętna posługa dla gości i nic więcej? Jako żywo, ukrywa się w tém zręczna dyplomacya. Kiedyż bowiem widoczniéj, jak przy tym na pozór niewinnym akcie, można przekonać o pięknych kształtach i śnieżnéj białości rączki, z tém zaś

razem wiotka kibić przybiera malownicze pozy, wdzięcznie się przechylając w rozmaitych kierunkach. Sama cierpkość napoju osładza się nie jednym tylko cukrem, a słodszém jeszcze spójrzeniem i miodowém słówkiem. Tyle przy téj zręczności ukrytych sposobów przypodobania się, iż każda doświadczona matka zdolność nalewania herbaty, z rozmaitemi finesami, poczytuje jako niepospolity dar od natury i nieposledni warunek wychowania. Wiedziała Zosia że i ten dar, między licznemi, szczodre niebo jéj udzieliło i że przezeń najsilniéj podbiła Chorążyca, który przy pewnéj herbacie cisnął na nią pierwsze w życiu ogniste spojrzenie, a przy następnéj oświadczył się o rękę. Od tego czasu dwa razy na dzień upajał się nie tyle roskosznėm zielem, ile talentem swojéj drogiéj Zosi w przyrządzaniu onego, a przez dziwny wyjątek z ogólnego prawidła swojéj uległosci małżeńskiéj, powinnośći téj na dorosłe córki przelać nie dozwolił. Pomimo że obecnie był srodze strapiony, i teraz usiadł naprzeciw ukochanéj towarzyszki życia i zapatrzył się na przyrządzanie onego nektaru, który jakby posiadał dlań własność miłośnego napoju. — W domu Chorążyny herbatę podawano po angielsku, z rozmaitemi dodatkami, któremi w obecnéj chwili czynnie zająwszy się pani, chciała poprawić siły nadwątlone przez rozmaite alternaty dnia tego. Chorąży uszanował apetyt żony, który w nim rozwiał wszelkie obawy, co do drogiego

jéj zdrowia, a po ukończonym posiłku, kiedy wydaliła się sługa, tak zabrał głos:

—Chwała Bogu że szczęśliwie przeminął twój atak nerwowy, niepokojący mię niepomału. Czy wiész, moja droga, że bredziłaś jak w malignie, wydawałaś rozkazy do rychłego wyjazdu. Już teraz zapewne nie pamiętasz tego? — spytał całując czule rękę żony.

— Przeciwnie, a właśnie chciałam cię prosić ażebyś zarządził konie i powozy; najpóźniéj za parę godzin puszczę się w drogę — odparła pani poglądając na zegarek.

— Co? dokąd? — zapytał trwożliwie Chorąży, na nowo zaniepokojony o zdrowie drogiéj połowicy.

— Do Kloci — odpowiedziała sucho.

— O, Boże! takie dwa ciosy na raz, tamta porwana, ta zmysły utraca — wyszeptał załamując ręce pan Marcin i łza zakręciła się w jego poczciwém oku.

— Mój Marcinie — przerwała niecierpliwie żona wyciągając do niego rękę — płonne twoje obawy, weź za puls i przekonaj się że nigdy zdrowszą i spokojniejszą nie byłam.

— Matka spokojna gdy jéj córkę wydarto, matka spokojna na widok krwi dziecka! — zawołał z oburzeniem p. Marcin.

— Cha! cha! zanosiła się od śmiechu Chorążyna— zapewne trwożą cię te ślady wiśniówki, przelanéj przez pijaka Podsędka, a figurujące jako krew w protokóle

tego niedołęgi policjanta. Bądź spokojny o Klocię, nic się jéj złego nie stanie.

— Chyba ja zwarjowałem? — zawołał Chorąży chwytając się oburącz za skołataną głowę — Co to wszystko ma znaczyć, więc Kloci nie porwano?

—Owszem porwano, wykradziono i w obecnéj chwili musi już być daleko — dobitnie odpowiedziała pani.

—O, ja wynajdę tych nikczemnych sprawców mojego nieszczęścia, hańby mojéj biednéj córki, którą w ich podłéj krwi omyję. O, gdybym wiedział kto to jest, chętnie oddałbym ostatek mego nieszczęśliwego życia — wymówił z nieudanym szlachetnym zapałem Chorąży.

— Nie żądam tak drogo za tę wiadomość, któréj mogę ci udzielić. Krótko mówiąc Klocia porwana, schwycona, wykradziona lub jak tam chcesz, przez Mamerta — odparła pani.

— Mamert! Mamert! — przerwał gwałtownie Chorąży — on, pełen cnotliwych i religijnych zasad, wyróżniający się od tłumu bezmyślnéj i rozpustnéj młodzieży, on...

— On właśnie, ten sam moralny i cnotliwy Mamert — wtrąciła Chorążyna.

— Wybacz, moja droga, że ten jedyny raz w życiu uwierzyć ci nie mogę. Jakto Mamert ubóstwiający naszę Klocię całą swoją duszą szlachetną, miałby ją tak poniżyć w obec własnego serca i świata? Ja,

znając go, błogosławiłbym chwilę, w któréjbym przyszłość naszego dziecka w te zacne ręce powierzył i jak mu serce szeroko otworzyłem, takbym rozwarł podwoje, przez które poprowadziłby Klocię do ołtarza — z uczuciem wypowiedział Chorąży.

—Właśnie nie o to mi chodziło—odparła obojętnie Chorążyna.

— Wszakże Mamert oświadczał się o rękę Kloci przez Mostronga, a nie przypuszczając żebyś mieć co mogła przeciw temu, zostawiłem to do twojéj decyzyi— powiedział Chorąży.

— Skutkiem któréj wynikło to, co się teraz stało —zakończyła Chorążyna.

— Moja droga, zda mi się że nie jest czas dla nas bawienia się w jakieś szarady. Zaklinam cię na Boga, stań się już raz zrozumiałą — błagał prawie ze łzami Chorąży. W skutek tego pani przybierając postawę uczonego, który zamierza jakąś zawiłość dobitnie wyłożyć, tak prawiła:

— Nie tajno ci, że jesteśmy zrujnowani...

— I jak jeszcze... nikt lepiéj nie wié nade mnie— z westchnieniem przerwał Chorąży.

— Zatém, oddając córkę Mamertowi, coż nam zostawało? — rozpoczynała Chorążyna.

— Bardzo wiele — wtrącił mąż — dziękować Bogu ciesząc się jéj szczęściem, które ten zacny młodzieniec potrafiłby zapewnić. Samym zaś w umiarkowaniu,

będącym już przy naszym stanie majątku smutną koniecznością, dożywać starości.

— Starości? — z oburzeniem odparła Chorążyna, a zmierzywszy męża okiem pełném ognia, w którém nie przygasły jeszcze namiętność i uroczy powab, dodała z przymileniem:

— Ty jak chcesz, lecz co do mnie, do tego się jeszcze nie przyznaję. Spojrzyj na mnie, czyli nie jestem starszą tylko siostrą moich córek? — Po tych słowach wyprostowała swoję majestatyczną postać, a Chorąży zapomniawszy co go tąk srodze dojmowało, utkwił w żonę wzrok zachwycony, jakby w swoję Zosię lat dawnych. Prawda że Chorążyna należała wyjątkowo do tych niewiast, które pomimo wieku jeszcze pięknemi być umieją. Przez długą chwilę oczarowany małżonek pozostawał w niemym zachwycie, w końcu zaś odezwał się z głębokiém westchnieniem:

—O, cobym ja dał za to najdroższa Zosiu, żeby majątek nasz z latami nie wyczerpywał się jak twoje wdzięki. Lecz niestety!..—i mowę rozpaczliwym gestem zakończył. Zdawało się iż zacnéj małżonce głównie o to chodziło, ażeby męża na drogę zachwytu wprowadzić i nadać czuły kierunek rozmowie, którą z przymileniem tak daléj prowadziła:

— A więc stan opłakany naszéj fortuny, mój drogi, aż za nadto nam wiadomy i na naszę jak powiadasz starość, (przy tych słowach błysnęła oczkiem

wcale jeszcze nie przygasłém, aż pan Marcin poruszył się na stołku) gorzéj niżli umiarkowanie zostaje — bo nędza.

— Jak widzę, znasz tak dobrze jak i ja stan naszych interesów — rzekł smutnie Chorąży.

— I dla tego postanowiłam im zaradzić — ciągnęła dalej pani — Gdybyśmy oddali Klocię Mamertowi z zapowiedziami i tą całą ceremoniją, jak zwykle dziewczęta za mąż wydają, cożby nam z tego przyszło? Ożeniłby się, zawiózł żonę do domu swojego ojca, bowiem ten nic mu dotąd nie wydzielił i tyle widzielibyśmy ją jak Florkę. Nam zaś samym na starość, jak nazywasz, chyba siąść pod kościołem.

— Zosiu, Zosiu, ja cię nie rozumiem, do czego zmierzasz? — przerwał niespokojny mąż.

— Zaraz mię zrozumiesz tylko bądź cierpliwy. Otoż dla tego nie chciałam słyszéć o oświadczeniu Mamerta, żeby zaostrzyć miłość własną Mostronga, który zadraśnięty poprzysiągł, że pierwszego w życiu harbuza dla protegowanego konkurenta nie przeniesie, i w ostatecznym razie wykradnie Klocię, byle na swojém postawić. Spodziewam się że teraz zrozumiałeś.

— Co raz to mniéj rozumiem, moja droga — powiedział osłupiały Chorąży.

— Jeszcze nie zrozumiałeś — odparła niecierpliwie pani — Gdyby Klocia poślubiła Mamerta za naszém zezwoleniem, naprzód musielibyśmy dać jéj odpowied-

ną wyprawę, odbyć sute wesele, słowem ponosić wydatki, na które jak ci wiadomo, nas nie stać. A następnie wszystkoby się tak pięknie zakończyło jak z Florką, któréj mąż wiedzieć nie chce czy żyjemy na świecie...

— Zwykła kolej rodziców — przerwał filozoficznie Chorąży, żona zaś nie zważając ciągnęła daléj:

— Co gorzéj na ostatnich kontraktach, kiedy tak ciasno było koło nas, odmówił nam lichéj pożyczki, posiadając znaczne kapitały. Z Klocią wydaną byłoby to samo, lecz z Klocią wykradzioną będzie inaczéj; weź bowiem na uwagę że pochwycono ją gwałtem, bez jéj zezwolenia. Mamertowi proces kryminalny wytoczę, który ojciec musi sowicie opłacić, a chociaż od Mostrongów, jako spólników zbrodni, trudno co wydusić, bo i tak im nie wiele należy; jednak jak na nasze szczęście wzięli do pomocy Apolla, Achillesa i jeszcze kilku innych, których rodzice mają czém okupić. Jeżeli Klocia jak utrzymujesz, byłaby w każdym razie szczęśliwą z Mamertem, to tém bardziéj teraz jako pochwycona, porwana i t. d. może dyktować prawa; a my, mój staruszku, zapomnimy o wszystkiém i znów młodzi po dawnemu świetnie będziemy żyli, a wierz mi nie pójdziemy pod kościoł.

Po tych słowach czuła małżonka, przystępując do Chorążego, chciała rzecz całą jakimś figlarnym karesem zakończyć; lecz nagle cofnęła się widząc go bla-

dym śmiertelnie i do niepoznania zmienionym. Długo tak pozostał na miejscu bez ruchu i życia, cały wewnątrz skupiony, jakby chciał słowa żony pojąć i głębiéj w myśli ugruntować. Nakoniec zmierzył ją niezwykłym groźnym wzrokiem, który dotąd w tych rozmiłowanych oczach nie postał, a przemówił głosem, na sam dźwiek którego wypieszczone ucho Zosi zadrzało:

— Dość tego. Od téj chwili ja panem domu, a potrafię go ochronić od hańby i wstydu, które weń wniosłaś. Zabraniam ci ruszyć się z miejsca. Ja sam ze wszystkimi rozprawię się i dziś jeszcze Klotylda wróci do tego domu, zkąd ją Mamert poprowadzi do ołtarza drzwiami, a nie oknem. — Po tych słowach zdawało się, iż zolbrzymiał Chorąży i prawdziwie był pięknym ów lew przebudzony! Chorążyna blada i drżąca, po raz pierwszy w życiu straciła nieodstępną pewność i odwagę, a składając ręce jak do modlitwy wyjękła w pokorze:

— Ależ mój drogi...

— Tak—przerwał gniewno Chorąży — tak, drogi, ponieważ drogo opłaciłem to moje zmyślone szczęście —kosztem fortuny, spuścizny, poczciwie a w krwawéj pracy nabytéj przez moich przodków; dla braku rozumu i własnéj woli utraciłem to wszystko, niechże przynajmniéj poczciwego imienia nie dam na poniewierkę.

— A jakież to imię, jeżeli wolno wiedzieć? — za-

pytała z nielitościwém szyderstwem Chorążyna, która stopniowo odzyskiwała, opuszczającą ją, odwagę.

— Imię poczciwe nieodżałowanego mojego ojca, którém szczycę się, Szere.. — energicznym głosem rozpoczął Chorąży, lecz reszta głosek zamarła nieszczęśliwemu na sinych i drżących ustach; gdy tymczasem usteczka Zosi, dotąd jeszcze koralowe, skrzywiły się szatańskim uśmiechem. Tak zakończyło się owo wspaniałe przebudzenie lwa — o, jakże krótko trwało! Biedny Chorąży nie poszedł już, a potoczył się do łóżka i ledwie miał siłę wyjęczéć słowa:

— Nomina sunt odiosa!

Chorążyna zaś o wyznaczonej godzinie siedziała w karecie, z twarzą uśmiechniętą i wypogodzoną, z jaką zwycięzca zwykł wsiadać do tryumfalnego wozu.

Wykradziona.

Straciliśmy z oczu piękną wykradaną, w czasie kiedy unoszona na poduszkach przez braci Mostrongów i spółkę, przybierała malownicze pozy w letargicznym śnie, w którym zdawała się pogrążoną. Znany nam orszak, ażeby pożądanego snu dziewczyny nie przerwać, ostróżnie i przezornie postępował ku karczmie, o parę staj od pałacu odległéj, w któréj oczekiwała go kareta, rączą czwórką koni zaprzężona i

kilkunastu konnych. Po przybyciu — Mostrong 2-do upewniwszy się, że narkotyk działa skutecznie i sen dziewczyny nie rychło się przerwie, z przezornością doświadczonego dowódzcy zarządził awangardę i aryergardę z konnych paniczów, Klocię ze wszelką ostróżnością umieścił w karecie i sam przy niéj usiadł. Achilles, chociaż w młodym wieku—ale szczycący się sławą wielkiego woźnicy, własnoręcznie kierował czwórką bieguców, wyprobowaną i wsławioną na berdyczowskich jarmarkach, obok niego umieścił się na koźle drugi adjutant, Apollo; panowie bowiem nie mieli sług z sobą, nie chcąc ich wprowadzać do tajemnic podobnéj wycieczki. Na znak dowódzcy kalwakata puściła się lotem błyskawicy w drogę.

Kiedy tak panicze zmuszają rumaki do wytężonego biegu, radzi popisać się jedni przed drugimi, według technicznego jarmarkowego wyrażenia: co która nóżka umie; piękna zaś wykradziona nie daje znaku życia, tylko przez sen letargiczny pieści się od czasu do czasu z puszystym włosem sobola, lub zwolna przebiega ręką po elastycznych poduszkach nowiutkiéj karety, — my tymczasem zabierzmy bliższą znajomość z domem Mostrongów, do którego zmierzał ów bystrolotny orszak.

Komuż z mieszkańców wsi nie wiadomo, iż każdy wiejski zakątek posiada swoję wyrocznią, swojego że tak nazwę patentowanego mędrca? o którym wszak-

że nikt nie spyta: co umie, a nawet czy się kiedy uczył? lecz bez niego, jak powiadają, woda się nie oświęci. On to sądzi wszelkie spory i kompromisa, układa pojedynki i zgody, pośredniczy i doradza w kupnie koni, w przyjmowaniu guwernerów i guwernantek, examinuje studentów wracających ze szkoły i panienki z pensyi; w razie potrzeby rozcina najzawilsze kwestye naukowe — i to jednym machem, jak Alexander macedoński węzeł gordyjski; nakoniec stanowi mody, potępia i rozgrzesza bliźnich i t. p. — słowem jest zakątkową alfą i omegą, którą w onéj okolicy godnie reprezentowali bracia Mostrongowie, a szczególniej Mostrong 2-do.—Nie trudno poznać, że brzmienie ich nazwiska nie było swojskiém, wszakże należeli do rzędu tych przybyszów przyciąganych obfitym naszym chlebem, który tucząc, na swój sposób jakby wody Lety, daje własność zapomnienia przeszłości i utrwala w paradoxie, zamienianym przez niektórych w artykuł wiary, że *ubi bene ibi patria*. Tak na wzór wielu innych wcielili się Mostrongowie; chociaż nie dalćj jak ich ojciec, pono Szwed rodem, był sprowadzony przez pewnego magnata, a wielkiego miłośnika stadniny, jako wprawny i biegły w onym fachu; kierując zaś przez lat kilkadziesiąt stadem, wykierował się na pana i znaczny majątek synom zostawił.

Bracia Mostrongowie, liznąwszy pewnéj modnéj na ów czas szkoły, wynieśli z niéj piękne maniery,

a jako magnaci in spe stosuneczki arystokratyczne i trochę francuzczyzny, na opędzenie potrzeb salonowych; następnie oną zdobycz szkolną ponieśli w szeregi huzarskie, w owych jeszcze czasach kiedy wyrazy huzar, hulaka i burczymucha uważano za synonimy. Wróciwszy z wypraw marsowych, osiedlili się na znacznéj spuściźnie po ś. p. ojcu i zawładnęli palmą pierwszeństwa w okolicy; pod dobrą bowiem wróżbą rozpoczynali zawód obywatelski,—odrzuciwszy ceremonie po huzarsku, przy biegłym kucharzu i znakomitéj piwnicy dom szeroko otworzyli, a nie dziw że od razu wpływ przeważny i mir pozyskali. Teraz zaś po tyloletniém wystawném życiu, chociaż dobrze nadszarpali ojcowizny, jednak Mostrong 2-do nie tylko, jak widzieliśmy, wielki strategik był nie mniéj finansistą niepospolitym, a kredyt jeden drugim spychając, łatał zręcznie owe szpary i dotąd bracia z tonu nie spuszczali.

Młodzi jeszcze bracia, z urokiem huzarstwa, pięknej powierzchowności, a co większa bogaci, od razu też znaleźli wziętość u matek, mających córeczki na zbyciu; lecz ponieważ w celibacie niezgorzéj im się działo, nie umyślili zatém rozpalić pochodni Hymenu. Dziś już trzy pokolenia panien, liczących na nich w swoim czasie, za mąż powychodziło, zawiedzione zaś nadzieje zamieniły w przyjazny sąsiedzki stosunek. Za to bracia, trzęsąc okoliczną młodzieżą, swatali ich

córki i wnuczki, których z przyjętego w sąsiedztwie zwyczaju byli chrzestnymi ojcami. Rozsądzali małżeńskie spory, godzili poważnione stadła i t. p. Nic zaś bez nich w całéj okolicy skleić i rozkleić się nie mogło, osobliwie bez Mostronga 2-do; brat bowiem starszy, w zależności przezeń trzymany, samoistnie nie działał, a bywał tylko jego pomocnikiem i w razie nagłym zastępcą.

Owoż Mamert, pokochawszy Klocię, szczególniejszą faworytkę Mostronga 2-do i chrzestną jego córeczkę, (chociaż złe języki przebąkiwały o ściślejszym węźle onego ojcostwa, co my zamykamy w nawiasie nie chcąc na oślep targnąć się na dobrą sławę czcigodnéj Chorążyny), Mamert tedy do ręki swéj ulubionéj musiał dążyć utartą już drogą, przez wszechwładną protekcyą Mostronga, któréj ten nie odmówił mu jako ze wszech miar zacnemu młodzieńcowi, przedstawiającemu wszelkie rękojmie dla szczęścia jego chrzestnéj; a że przy swojém przeważném wdaniu się, uważał rzecz jako skończoną, zatém rękę Kloci Mamertowi zapewnił. — Trafiła kosa na kamień, silna wola Mostronga rozbiła się o upór Chorążyny i ów wszechwładca powiatowy, rzecz dotąd nie praktykowana — pierwszy raz w życiu doznał zawodu w swataniu.

Nie tyle już może chodziło Mostrongowi o postanowienie chrzestnéj córeczki, ile o utrzymanie sławy przez zabiegi całego życia nabytéj. Zadraśnięty

tedy w miłości własnej, silnie na wąs namotał i wyrzekł stanowczo: iż Klocia musi zostać panią Mamertową, kto zaś z młodzieży odważy się po jéj rękę posunąć, z obydwoma braćmi Mostrongami rozprawi się na ostro. W ten sposób zamknął drogę do téj nadobnéj rączki, wiedziano bowiem z teoryi, a poniękąd i praktyki, iż rozprawiający się z braćmi Mostrongami, mogli się poczytywać za bliższych sakramentu ostatniego pomazania niżli małżeństwa. Tak obwarowawszy Klocię od konkurentów, począł ją ojciec chrzestny nakłaniać do zawarcia potajemnych ślubów z Mamertem; dziewczyna zaś chociaż nic nie miała przeciw niemu, atoli będąc pewną że jako rozmiłowany wcześniéj lub późniéj nie minie jéj, dała się powodować matce, a ta mężnie do walki wystąpiwszy, oświadczyła stanowczo iż na zamęźcie Kloci z Mamertem nigdy nie zezwoli. Takim odporem do żywego dotknięty, Mostrong poprzysiągł na honor huzarski, że przed niczém nie cofnie się, gdyby nawet przyszło gwałtem porwać chrzestną córeczkę, która—skoro on wyrzekł—Mamertową zostać musi.

Mostrong jakkolwiek trząsł całą okolicą, mając za sobą jakby powiedziéć siłę fizyczną, atoli nie dorósł w moralnym względzie do równości z przebiegłą i zręczną Chorążyną i ani przypuszczał, jak przez oną straszną groźbę porwania Kloci, trafił w myśl podstępnéj zapaśnicy, która przy téj grze w ślepą babkę nie

miała zawiązanych oczów. Mostrong, probując wszelkich sposobów, napróżno usiłował nakłonić cichego Chorążego, także sprzyjającego Mamertowi, ażeby chociaż raz w życiu wyjrzał z pod małżeńskiego pantofelka; lecz on wyrzekłszy się wszelkiéj woli na rzecz najdroższéj połowicy, w pokorze i pracy nad siły pokutował za on swój grzech pierworodny. Owoż w jaki zręcznie dyplomatyczny sposób, przeprowadziła Chorążyna swoje zamysły, których pożądany dla niéj skutek widzieliśmy na początku.

Tak tedy Mostrong 2-do, wiozący z tryumfem ów swój łup uśpiony, ani podejrzewał, jak to się wielu zdarza, że w téj komedyi nie on jest zręcznym aktorem, mającym omamionych widzów przed sobą. Ów zaś sen rzekomy wykradzionéj był dla stron obu dogodnym; Klocię bowiem uwalniał od krzyku i obrony, a gwałcicielom dawał swobodę działania. Wiatronoga czwórka Achillesowa, wprawną ręką kierowana, niespełna w godzinę przebiegła mil parę i zatrzymała się przed domem Mostrongów, który gorzał uroczystém światłem i pełen był niezwykłego ruchu. Na ten widok, nie objęty uprzednio osnutym planem znacznie dalszéj podróży, wykradziona mimowoli wydała okrzyk podziwienia i ów sen letargiczny przerwała; a ponieważ liczne grono młodzieży natychmiast otoczyło powóz, więc stało się niepodobnem cofnąc się na powrót do onego snu pożądanego. Czynność Kloci w téj

chwili wychodziła za zakres zapowiedzianego przez matkę programu, musiała zatém zebrać całą przytomność umysłu do samoistnego działania. Inna trusia na jéj miejscu radzić by sobie nie umiała, Klocia zaś należała do liczby tych, które bez mentora ten świat przechodzą. Trzeba tedy drugiéj takiéj przebiegłéj i zręcznéj filutki, ażeby potrafiła opisać owo trwożliwie powabne przebudzenie, podziw i przestrach po mistrzowsku oddane; a nakoniec ową niepewność, naiwne wątpienie, czy jest we śnie lub na jawie? W całém tém przejściu było tyle uroku, tyle czarownego wdzięku, a taka na pozór prawda i naturalność, iż gdybyśmy nie byli świadomi tajemnicy, z równą łatwością jak Mostrong dalibyśmy się pojmać téj przecudnéj filutce. Ponieważ każde dzieło koniec chwali, a więc i ten był bardzo zręcznie obmyślany: w tłumie onéj młodzieży, niby po raz pierwszy dostrzegając swego chrzestnego ojca Mostronga 2-do, śpiesznie podbiegła ku niemu dziewczyna, a przyjętym od dzieciństwa obyczajem całując w czoło, odezwała się pieszczotliwym głoskiem:

—To już jakiś nowy figielek tatulka (tak go zwykle nazywała)—po tych słowach, z powabną nieśmiałością dygnęła wszystkim zgromadzonym w ganku.

— Ani się spodziewasz, droga córeczko, jaki pyszny figielek? — oddając jéj serdecznie czułe powitanie, przemówił Mostrong uradowany, raz z tego że mu się

powodził początek wyprawy, równie iż trafił na mądrą ofiarę nie przyczyniającą wiele kłopotu—potém dodał:

— Służę ci do pokoju, droga córeczko, bo noc chłodna żebyś mi się nie przeziębiła, a zaraz obaczysz konkluzyą tego figielka.

Klocia przez tę krótką rozmowę machinalnie prowadzoną, rozmyślała nad sposobem wyjścia z téj nieprzewidzianéj pozycyi; tymczasem zaś niby do reszty przebudzając się, dziwiła się obcéj szubie która ją okrywała i nagle, jakby coś odgadując, odezwała się:

— A, już rozumiem, to i mama należy do tego figielka i znajdować się tu musi, tém bardziéj że to nie moje a zapewne jéj futro mam na sobie. — Przez to zręczne odezwanie się na raz rozwiązywała dwie zawiłe kwestye: wytłómaczenia swéj obecności między tylu mężczyznami i — obecności na jéj ramionach pięknych soboli, ktore ją niepomału cieszyły. Nagle postrzegając jakby po raz pierwszy swój strój niedbały, ze skromnością otulała się piękną szubą, tak jednak układając zręcznie zwoje i załomy, ażeby te nie wyrządziły krzywdy wabnym jéj kształtom. Dotąd zawsze niby przelękniona i zawstydzona, ociągała się przyjąć ramię Mostronga, który ją do pokoju zapraszał, a odezwała się do niego głosem nieco przytłumionym, jednak nie o tyle ażeby nie doleciał uszu przytomnych:

— Ależ tu tylu panów.

— Oni zostaną a my tymczasem pójdziemy sami — odpowiedział z cicha Mostrong i córkę chrzestną do domu wprowadził.

Skoro znalazła się sam na sam z tatulkiem, Klocia powtórzyła serdeczne powitanie, którém on nie pogardził, a wesoło i szczebiotliwie z uroczą swobodą, jak zwykła z nim się obchodzić, zawołała:

—No dość już tego stary tatulku, prowadź mię teraz do mamy, która tu być musi, gdyż nie puściłaby mnie saméj jednéj z takim urwisem. — Mostrong, radośnie i tryumfująco ręce zacierając, rzekł:

— Za tyle figlów coś mi napłatała, psotnico, dziś pomszczę się. Nim ci pokażę mamę musisz pięknie się ubrać.

— A w co, chyba w twój mundur huzarski? — odparła ze śmiechem dziewczyna.

— Ręczę że i huzar byłby z ciebie nie lada — odparł z umizgiem Rotmistrz, a tak ciągnął dalej: — Dziś jest dzień wielkich niespodzianek jakby z tysiąc nocy i jedna, pofatyguj się z łaski swojéj tam a przekonasz się. — Po tych słowach drzwi do przyległego pokoju otworzył i wprowadził doń Klocię, która osłupiała z podziwienia na widok tego, co tam postrzegła.

Pokusy.

A cóż to był za ony widok?

Wyobraź sobie, nadobna Czytelniczko, całą dużą komnatę założoną wykwintnemi strojami w mistrzowski sposób — jakby w świetnym magazynie mód; a nic w tém dziwnego, gdyż kapłanką onego przybytku próżności była sławna modniarka — z dwoma zręcznemi towarzyszkami. Była to Francuzka, a zwała się mademoiselle Jeanne, liczne zaś jéj klientki dla skrócenia pieszczotliwie Żancią ją przezwały; a nie tylko słynęła w okolicy Krzemieńca, gdzie miała rezydencyą, ale i na rozległą przestrzeń kraju.

Macie najlepszy dowód, jak trzeba być oględnym chcąc coś ludziom opowiedzieć; zważcie jeno sami, gdyby nie Mlle J e a n n e z K r z e m i e ń c a, do końca téj gawędy może nie wiedzielibyście, iż wyżéj opisane i opisać się mające wypadki zaszły nie daleko od tego miasta. Skoro i téj powinności opowiadacza szczęśliwym trafem zadość uczyniliśmy, wróćmy do naszéj bohatérki,

Klocia olśnionym wzrokiem objęła roskoszny przepych onéj komnaty, do którego jéj serduszko z piersi wyrywało się. Za złe jéj tego nie mamy — bo zaprawdę powiadam wam, że od listka figowego matki Ewy do koronek brabanckich i lyońskich axamitów, w stro-

jach mieściły się najsilniejsze pokusy dla niewiast. Pomimo że silném było to wrażenie, zręczna i umiejąca się hamować dziewczyna w porę zapanowała nad sobą i odzyskała zimną krew; przekroczywszy już bowiem zakres programu i wpadając z jednéj niespodzianki w drugą, musiała mieć się na baczności,—chociaż dalsze losy obecnéj sprawy powierzała bodaj ostatniemu natchnieniu. Z właściwym tedy spokojem poczęła witać dobrze znajomą Żancię, dostarczającą mód całemu wielkiemu światu, a zatém i jéj:

— Co tu Żancia robi w domu mego ojca chrzestnego?

— Przywiozłam suknią dla pani — odpowiedziała żartobliwie Francuzka.

— Suknią dla mnie, tu? — zapytała niby zdziwiona Klocia.

— Właśnie w tém spoczywa tajemnica niespodzianki — odparła filuternie modystka.

— Miłe niespodzianki tak rzadko wydarzają się, że dla nich warto uszanować tajemnicę i nalegać więcéj nie będę — mówiła dziewczyna bezmyślnie byle coś odpowiedzieć, a tymczasem z pod oczka, ukradkiem obejrzawszy suknie i stroje, łatwo poznała że wszystkie na jéj miarę zrobione. Daléj zaś pomyślała... co? — chyba wy odgadniecie, miłe Czytelniczki!

— Może by pani życzyła sobie jaką suknią przymierzyć — zagadnęła modystka.

— Czyliż tu jest jaka na moję miarę? — podstępnie spytała Klocia.

— Wiadomo pani że u Żanci wszystko znaleźć się musi — zarozumiale odparła modystka — Podług mego zdania do figury pani ta najlepiéj przystanie — ciągnęła daléj wskazując na białą koronkową suknią, która szczególnie uwydatniona przez zręczne ułożenie, odróżniała się od całego tłoku zbytkownych towarzyszek. Dziewczyna przypatrując się jéj chciwie, umiała w porę powściągnąć zachwyt i zajęcie, a na pozór obojętnie spytała:

— Ale to chyba ślubna suknia?

— Według ostatniéj mody ślubne nie różnią się prawie od balowych. To pewno jednak, że w téj sukni będzie pani do twarzy—odpowiadała Mlle Jeanne przystępując powoli i stopniowo do przystrojenia Kloci, oddającéj się jakby bezmyślnie w biegłe i doświadczone ręce modniarki. Tymczasem rozmowa toczyła się swoim trybem.

— Niechże mi Żancia powie, dla kogo przeznaczona taka masa strojów. Czy to będzie bal? — pytała z wybornie udaną naiwnością ubierana.

— Zapewne że tak — odpowiedziała niechętnie modystka; w téj bowiem chwili, zatopiwszy mistrzowskie ręce w bujnych warkoczach złotych włosów Kloci, głęboko zastanawiała się nad nadaniem im estetycznych kształtów.

— Gdzież więcéj dam? — dalej zapytywała Klocia.

— W cóż się obróci niespodzianka, skoro wszystko wypowiem — odparła zniecierpliwiona Francuzka, zajęta ważną kwestyą stroju, w któréj nie tylko jéj renoma, ale i pieniądze spoczywały. Nakoniec biegła w swojéj sztuce ukończyła arcydzieło, do którego poetycznej całości nie mało przyczynił się strój, od hojnéj matki natury dziewczynie udzielony. Klocia, nie będąc już wstanie ukryć objawów miłości własnéj, stanęła naprzeciw lustra w niemym zachwycie przed sobą samą. O, bo miała czem się zachwycać czarodziejka! Nagle jednak zapanowawszy nad sobą, odezwała się jak poprzednio obojętnym tonem:

— Nie wytłómaczysz mi Żanciu, ażeby to nie była ślubna suknia.

— Jeżeli pani tak chcesz, może być i ślubną osobliwie z dodatkiem tego wianka i téj zasłony — odparła modniarka i podstępnie odkryła wieko pudła, w którém mieściły się: bogata koronkowa zasłona ślubna i prześliczny wianek z kwiatów pomarańczy, najmisterniéj wyrobionych i wydających się jakby naturalne. Wszystko to z takim gustem i kusicielską znajomością rzeczy było ugrupowane, że na sam ten widok namiętnie zaiskrzył się wzrok dziewczyny. Lecz należało znać całą przytomność jéj umysłu, ażeby ocenić ów pospiech z jakim do niej wróciła. A że sama

obecność tych, wyłącznie sakramentalnych, przedmiotów zapowiadała rychłe zbliżanie się nowych niespodzianek, starała się więc Żancię wybadać, mówiąc:

—Ilość niepraktykowana strojów tłómaczyć się może przez bal, bo z moim tatulkiem dziwakiem — trzeba spodziewać się wszystkiego żeby niczemu się nie dziwić, jak wy Francuzi utrzymujecie. Lecz do czegoż to służyć może, zapewne ślubu tu nie będzie?

— Owoż, jak pani powiedziałaś, trzeba się spodziewać ażeby się nie dziwić. A nakoniec u Żanci powinnien być dostatek wszystkiego, jak w norymberskim sklepie, bo inaczéj kochać mię przestaniecie — odpowiedziała modystka; następnie zaś rozwijając tę przejrzystą tkaninę w powietrzu i zręcznie potrząsając wiankiem, dodała:

-- Jest to najświeższy grand genre, najrzetelniejsza kopia stroju ślubnego księżnéj de Berry, téj niezrównanéj Neapolitanki, którą świat cały królową mody ogłosił. Chciéj pani spojrzéć z téj strony, lub tak do światła z boku. — Prawda że owa Żancia miała być w swoim rodzaju słynną kusicielką, za co też kilkanaście fortun szlacheckich do Francyi wywiozła. Nie zbyt dawne to czasy! My jednak wróćmy do teraźniejszości, w któréj Klocia jakby przykuta do wianka i zasłony nasycić się niemi nie mogła.

— Przymierz pani, a wówczas dopiéro można będzie ocenić, co to jest za rzadkość. Prawda że to coś

dotąd nie widzianego? — przerwała zachwyt dziewczyny kusicielka.

— Czy oszalałaś? Przecie nie idę za mąż — odpowiedziała Klocia, zmuszając się do odstąpienia od wabiącego pudła.

—Z pani powierzchownością nie długo na to czekać. Tymczasem można sprobować jak to będzie — przemówiła pochlebnie modystka. Po tych słowach niby z przymusem, który nie doznał silnego odporu, upięła zasłonę i włożyła wianek na śliczną główkę Kloci, po czém nagle chwyciła dziewczynę w namiętne objęcia, wołając:

— Ach! czemuż nie jestem mężczyzną, a żadna siła nie oderwała by mię od tych czarowanych nóżek.

—Trudno oznaczyć jaka w tém była doza pochlebstwa, a jaka prawdy? To tylko pewno, miły Czytelniku, że pozazdrościłbyś Żanci. Czarownaż była Klocia w onym wianeczku, a jéj niezrównane kształty jakby przez mgłę przeglądały przez tę pajęczą siatkę.

Żancia w dalszym ciągu wielkiego dzieła pokusy, postawiwszy Klocię przed zwierciadłem, łamała zasłonę w najdziwaczniejsze fałdy i rozmaite kształty wiankowi nadawała,—tak że Klocia, tracąc powoli przymusową obojętność, zatopiła się w uwielbieniu dla siebie saméj. Ktoż to opisze walkę dwóch liszek lub niewiast bronią chytrości i podstępu, przy któréj maleją wsławione potyczki wszystkich bohatérów Iliady.

Skoro Klocia zaczęła ostygać z zapału piérwszéj pokusy a obojętnie na pozór, nie bez ukrytego żalu, wianek i zasłonę odpięła, — uczuła Żancia potrzebę użycia silniejszéj broni, a składając wianek i zasłonę, jakby od niechcenia odkryła pudełko, w którém niewinnie spoczywał drogi a przecudny garnitur brylantowy. Niezwykły blask klejnotów wciągnął, że tak się wyrażę, oczy dziewczyny blizkiéj już zwycięstwa nad sobą. Tymczasem w siwém przymrużoném oczku modystki iskra tryumfu błysnęła, a dozwoliwszy Kloci nasycić się tym zwodniczym połyskiem, ozwała się jakby od niechcenia:

—Gdybym była młodą i nie w podrzędnéj pozycyi wyrobnicy, marzyłabym, ażeby w tym wianku i zasłonie stanąć na ślubnym kobiercu, a nazajutrz od rozkochanego małżonka podobny dar otrzymać. -- Tu zaczęła łamać światło w przejrzystéj wodzie brylantów, których blask przenosił się na zdumiałe i oczarowane Kloci źrenice. Modystka zaś powiadała niby obojętnie:

— Ach! to majątek całéj, a nawet licznéj rodziny. A co za dziwny połysk! Jaka oprawa! — Przy tych słowach kształtną szyję Kloci naszyjnikiem ozdobiła, kulczyki włożyła w uszka różowe, bransolety na białe ręce. Klocia, jakby skamieniała od podziwu i uwielbienia, wcale się nie broniła. Serce jéj biło gwałtowną żądzą pod ciężarem czarujących kamieni, a w główce

szumiało na różne tony: *wianek*, *zasłona*! a jeszcze głośniej *brylanty*! — Lecz główka to była nie dla saméj ozdoby, a zrozumiała że ów zachwyt trwał za długo i zdobywszy całą odwagę do rozstania się z brylantami, odezwała się z dobrze udaną obojętnością:

— Życzę ci moja Żanciu sprzedać to jak najprędzéj i najkorzystniéj.

—Dałby Bóg żebym w pani kupca na to znalazła i mam jakieś przeczucie... — zaczęła Żancia.

— Coś mi się zdaje, że dziesięć jeszcze u ciebie podobnych garniturów przeminie, nim trafisz na ów dla mnie przeznaczony — przerwała Klocia; lecz pożądliwy jéj wzrok zdawał się téj mowie zaprzeczać.

— Kto wié? zakończyła filuternie modniarka. Klocia tymczasem ostatecznie zapanowała nad sobą i zmusiła się do powstrzymania zachwytu, przewidując że się zbliża rozwiązanie jéj zagadkowéj pozycyi. A że sama grzeczność pośpiech nakazywała, tatulko bowiem oczekiwał z herbatą, — z żalem tedy, zręcznie utajonym, rzuciła wzrokiem pożegnania na owe pokusy i przeszła do przyległego pokoju, w którym przy bogato zastawionym stole niecierpliwił się Mostrong 2-do.

Gody tajemne nie gorsze od jawnych.

Na widok téj czarodziejki chrzestny ojciec zapomniał o powadze, a nie namyślając się długo postąpił z córeczką na wzór modystki, do czego upoważniały go wiek i wzajemne dobre stosunki. Pomimo że jak wiemy Klocia była blondynką, które—nie umiem powiedzieć z jakiéj racyi—ogół pomawia o powolność, wszakże ona stanowiła wyjątek z tego prawidła, a była w swoim rodzaju błyskawica, szybka i bystra w działaniu; dla tego i strój jéj, włącznie ze stoczoną walką z pokusami, trwał nie dłużéj nad godzinę.

Kiedy popijali herbatę z tatulkiem, a ten suszył głowę, jakby zręcznie i dyplomatycznie doprowadzić rozpoczęty dyalog do ostatniego słowa,—na raz otwarły się drzwi i do nóg Kloci rzucił się piękny i przyjemnéj postaci młodzieniec, chociaż obecnie wybladły i drżący. Nie trudno odgadnąć, iż był nim główny bohatér całéj téj wyprawy Mamert, którego Mostrong, dla uniknienia w danym razie zbytniéj czułości (przez wzgląd na taktytę wojenną), od uczestniczenia w saméj wyprawie usunął, a natomiast wyznaczył mu rolę do zazdrości, — jakby deus ex machina miał on ukazać się dopiéro w oznaczonym czasie. Widocznie niecierpliwy młodzieniec (któraż jest młoda cierpliwość wytrwała w podobnych warunkach ?) przekroczył

zakres strategicznego planu dowódzcy wyprawy. Mostrong na to niespodziane przybycie, niweczące całą jego taktykę, namarszczył się surowo i zabierał się gromić przestępcę; młodzieniec nie zważając na surowe oblicze i groźne gesta wodza, ciągle zostawał u nóg dziewczyny, która tymczasem twarz do przestrachu i oburzenia zręcznie ułożyła, a odwróciwszy się z pogardą od młodzieńca, wzrok surowy utkwiła w ojca chrzestnego i groźnie odezwała się:

— Panie Rotmistrzu! (pierwszy raz w życiu odmawiała mu pieszczotliwego tytułu *tatulka*) Co to jest za nikczemna komedya? — Na te słowa Mostrong podniósł z ziemi prawie nieprzytomnego Mamerta i za drzwi wyrzucając, zawołał marsowym tonem dowódzcy:

— Co to mosanie za niesubordynacya? — po czém powrócił do Kloci, która z rosnącém oburzeniem powtórzyła:

— Panie Rotmistrzu! co to wszystko znaczy? Proszę mię natychmiast odesłać do domu.

— Posłuchaj mię moje dziecko — rozpoczynał Mostrong nieśmiało.

— Nic nie chcę słyszeć od dopuszczającego się haniebnych gwałtów i robiącego igraszkę z tego, co jest święte. Proszę natychmiast o konie, lub trafię piechotą — odparła z energią dziewczyna i już miała się ku drzwiom strzeżonym przez Rotmistrza. A ów sławny

huzar, król burd, rębacz i strzelec zawołany — przed determinacyą dziewczyny, którą już być uważał na swojéj łasce, spokorniał nagle jak niewiniątko i bełkotał coś piąte przez dziesiąte:

— Chciéj mię tylko zrozumieć...

— Rozumiem tyle, iż to jest nikczemna zasadzka, któréj po panu nie spodziewałam się — przerwała z gniewem dziewczyna i drobną rączką usiłowała usunąć ode drzwi, zaledwie mogącego jéj się ostać Rotmistrza, który tymczasem odzyskawszy na prędce przytomność tak przemówił:

— Moje dziecko, daję ci słowo szlacheckie i żołnierskie, że nic z tobą bez twojéj wyraźnéj woli nie stanie się i skoro rozkażesz sam odwiozę cię do domu, lecz wprzód zechciéj wysłuchać coć mam do przełożenia.

Po tych słowach Klocia opuściwszy drzwi, usiadła na krześle z ruchem majestatycznym, jakby królowa na tronie dla wysłuchania pokornych wassalów, a z dziwną godnością wymówiła:

— Słucham.

Gdybyście byli świadkami całéj téj sceny, oddanéj z niezwykłym talentem — po mistrzowsku, pożałowalibyście razem z nami, iż los nie rzucił téj kobiéty na deski teatralne. Rotmistrz, przygnębiony niefortunnym obrotem dyalogu, zebrał jakoś rozproszone myśli i tak rzecz rozpoczynał:

— Moja córeczko, znam cię jako rozumną dziewczynę...

— Czego dałam dowód, że wpadłszy w waszę niegodziwą zasadzkę, nie uciekłam się do spazmów i mdłości, jakby każda gąska na mojém miejscu poczynała sobie. Lecz to nie należy do rzeczy, słucham więc i proszę być zwięzłym! — odparła z góry dziewczyna.

Spokorniały Mostrong opowiedział jak umiał najlepiej całe przejście konkurów Mamerta, następnie wykradzenie i słowem to wszystko, o czém jako tako czytelnik przez nas zawiadomiony, Klocia zaś daleko lepiéj od nas wszystkich wiedziała. Dla tego słuchając pół uszkiem, stosownie do okoliczności udawała gniew, oburzenie, zgrozę i t. p. — tymczasem miała wzrok utkwiony w one drzwi, za któremi ukrywał się ów naszyjnik w towarzystwie innych pokus, a nie raz machinalnie dotknęła pięknéj główki i kształtnego łona, dowiadując się czyli jakim cudem pożądane ozdoby tam nie przeszły. Rotmistrz zaś wysilając się na wymowę, rzecz dość rozwlekle prowadzoną, tak konkludował:

— Źle lub dobrze postąpiłem, nie czas sądzić, a co gorsza nie da się to naprawić, gdybym cię nawet odwiózł do domu co natychmiast stanie się, skoro tak każesz; lecz w każdym razie fałszywa twoja pozycya nie zmieni się. Zresztą instalować cię w biały dzień

potajemnie, tak jak porwaliśmy uśpioną, niepodobna; nakoniec sami usłużni sąsiedzi fakt ten rozsieli po okolicy. Pozwól mi dodać jeszcze — przemówił zniżonym głosem jako człowiek dobrego tonu — że już z łaski Boga rok dwudziesty drugi minął, jak miałem zaszczyt podać cię do chrztu świętego. Co zważywszy z jednéj strony, z drugiéj zaś że Mamert zacny, dorodny chłopak i nie ubogi, a nadto byłby przyjętym przez twego ojca, gdyby ten nie był takim pant... (na szczęście nie dokończył wyrazu). Sama zaś widzisz jak cię kocha; inny mąż po dziesięciu latach najszczęśliwszego pożycia, z takiém przewidywaniem nie uprzedziłby potrzeb i zachceń żony, jak on poczciwiec na samą myśl o tobie stara się uprzyjemnić to życie, o którém marzy. Masz paradną karetę, a skoro obaczysz cug do niéj zdziwisz się niepomału, jaka to szóstka koń w konia, sanguszkowskiego stada — przy tych słowach, na wspomnienie koni, uśmiechnęły się oczy kawalerzysty — a tak ciągnął daléj: sobole jakich niema w okolicy, a nakoniec wyprawa — dodał wskazując na drzwi — jakiéj, mówiąc między nami, rodzice dać ci nie są w stanie. Czekają cię jeszcze niespodzianki, o których ani ci się śni — zakończył Rotmistrz ze znaczącem cmokaniem. A Kloci stanął w oczach piękny naszyjnik. Mostrong zaś, używszy chwilki oratorskiego wczasu, tak daléj rzecz prowadził:

— Teraz, co się stało odstać nie może; chociażby

cię z téj wycieczki powrócono pod strzechę rodziców, zawsze znajdziesz się w trudnéj pozycyi bez wyjścia. Z drugiéj zaś strony, poszedłszy po rozum do téj ślicznéj główki, rozważ że masz tu na swoje skinienie narzeczonego, jacy się nie walają po drogach, a ksiądz jest na pogotowiu.. i na tém kończę — wymówił z ciężkiém westchnieniem, jak człowiek składający wielki ciężar u zamierzonego celu. Chociaż krasomowstwo nie było rzemiosłem poczciwego Rotmistrza, lecz na ten raz wysilił się aż nieborakowi w ustach zasychało, a pragnąc co prędzéj spożywać owoce swojego oratorskiego siewu, dorzucił owo przekonywające: A więc — z intonacią zapytania.

Córka, dla któréj ojciec chrzestny tak nieoględnie szafował darami Demostenesa i Cycerona, ledwie ostatnie jego słowo zasłyszała, bo po jéj ślicznéj główce przez ten czas harcowały wyrazy: *sobole*, *kareta* jako czas przeszły, *brylanty*, *wianek*, *zasłona* jako czas przyszły, który śpieszno jéj było w dokonany zamienić. Przebudzona przerwanym szmerem głosu Mostrongowego pod który tak pięknie marzyła, ocknąwszy się nagle, powtórzyła bezmyślnie ostatnie słowo oratora:

— A więc?

— A więc? — podchwycił niespokojny Mostrong tonem winowajcy oczekującego wyroku.

— A więc! — przeciągle powtórzyła dziewczyna, utkwiwszy wzrok pożądliwy w one drzwi, za któremi kryły się skarby jéj marzeń.

— A więc — wyrzekła stanowczo po krótkim namyśle — bądź tyle grzeczny, tatulku, powiedz Żanci ażeby tu przyniosła wianek i zasłonę, a proś księdza żeby był gotów.

— Co? Co? — wołał nie posiadając się z radości Mostrong, na samą myśl zbliżającej się konkluzyi dyalogu, a chwyciwszy Klocię w silne ramiona zawołał z zapałem:

— Nie daremnie ty moja córka... chrzestna — dodał poprawiając się. Następnie klął w duchu, że w danym czasie traktował wojaczkę zamiast sposobić się na mowcę, a nie mógł dość siebie wychwalić, iż rzecz całą tak podstępnie i przebiegle poprowadził i na swojém postawił. — Błogosławieni złudzeni!

Co do dziewczyny, nie pytajcie mię o rozwiązanie zagadki: Czy w rzeczy saméj duch Cycerona nawiedził Mostronga? Czyli pilno jéj było dostać się do piątego aktu rozpoczętego dramatu? Lub nakoniec owe pokusy odniosły zwycięztwo? Bowiem i to ostatnie przypuścić by można; wszakże ów złośnik Alfons Karr powiada «*la robe oblige*»—a daléj tak swój paradox rozwija:

«Przypuśćmy że kobiécie o jasnych włosach, do których strój czarny najlepiej się nadaje, pokazano ubiór żałobny nowiutki, powabny i elegancki, a niezawodnie ta kobiéta będzie wyczekiwała niecierpliwie śmierci kogoś z bliższych krewnych, po którym zwyczaj nakazuje żałobę, a bez trwogi dopatrywać będzie

na obliczach rodziny złowieszczych śladów choroby.— Gdyby był jakiś szczególnie gustowny, niepospolity ubiór, który służyłby wyłącznie kobiecie występnéj prowadzonéj na stracenie, — zapewniam was, że nie zabrakłoby niewiast dobijających się o prawo wdziewania tego stroju».

Atoli wiadomo wam, miłe Czytelniczki, iż to powszechnie znany złośnik ów Karr! ktoby mu tam wierzył? — My zaś dla uniknienia rozwlekłości nie badajmy przyczyn, a przejdźmy do skutków. Dumny Mostrong z obrotu jaki wzięły rzeczy, przypisując go swojéj zręczności w prowadzeniu intrygi a po części krasomowstwu, podczas kiedy Klocia wkładała wianek i zasłonę, pośpieszył rzucić ostatnie spojrzenie na wszystkie przygotowania, które w przewidywaniu pomyślnego skutku zawczasu już poczyniono. Nawet ksiądz ex-huzar, dawny kolega wojskowy a dziś przyjaciel domu i spółbiesiadnik braci Mostrongów, który przez różne koleje zawodów i rozczarowań dotarł aż do kapłaństwa, trzymał się w pogotowiu. Jedna zaś z sal zamieniona w czasową kaplicę, a staraniem braci Mostrongów i Mamerta bogato przybrana, zajaśniała tysiącem świateł. Panicze, adjutanci Mostrongowi, wcześnie uprzedzeni o tém co zajść mogło, należycie byli przygotowani, ażeby ubiór podróżny zamienić w jednéj chwili na uroczyste suknie i białe halsztuki. Sami bracia przywdzieli paradne huzarskie mundury, kapiące od

złota,—a całe to grono otoczywszy Mamerta, który nie posiadał się ze szczęścia i nie mógł uwierzyć iż stawał u kresu najrozkoszniejszych marzeń, wtargnęło do salonu. Klocia w wianku i zasłonie, z uroczym wdziękiem oblubienicy, piękna i czarowna nad wszelki wyraz, stała tam spokojna i skromna, niby narzeczona przy boku rodziców, pewna pośpiechu rozmiłowanego oblubieńca.

M-lle Jeanne, jako cudzoziemka umiejąca zużytkować nasze słabostki, prócz korzyści materyalnéj zaskarbiała sobie wziętość i przychylność, a była przypuszczoną do równości towarzyskiéj; w téj zaś chwili stanowczéj umiała stać się użyteczną, przystroiwszy na prędce siebie i towarzyszki, ofiarowała swoje usługi jako starsza druchna i na srebrnej tacy miała już gotowe weselne bukiety, którymi panów obdzielała, najpiękniejszy zaś z nich uszczęśliwionemu Mamertowi przypięła.

Zdaje się nie trzeba powiadać, jak trudną w tém wszystkiem była rola Kloci; dla tego rozumna dziewczyna, ażeby skrócić ile możności trwanie onego fałszywego położenia, oddała w milczeniu rączkę na pastwę pocałunków upojonego szczęściem oblubieńca,—a skoro ją wyrwała, śpiesznie uciekła się do assystencyi Achillesa i Apolla, którzy jako starsi adjutanci na drużbów kwalifikowali się, i najniespodzianiej padła do nóg chrzestnemu ojcu z prośbą o błogosławieństwo.

O, co za filut dziewczyna! Trudno zaś sobie wyobrazić jak jéj z tém wszystkiém było do ślicznéj twarzyczki. Stary huzar, piérwszy raz w życiu, zmoczył wąsy łzami — a nie winem, tak jakoś rozrzewnił go ten akt serdecznego wylania chrzestnéj córki; lub może próżność i miłość własna, bowiem w ubóstwie ducha był tego przekonania, iż przez jedno jego fiat! wszystko tak zręcznie i składnie uszykowało się. Raz jeszcze — błogosławieni złudzeni!

Następnie Klocia, według przyjętego zwyczaju, w uroczystém milczeniu a rozrzewniona (kto wié może i na prawdę?), obeszła wszystkich przytomnych z proźbą o błogosławieństwo, obdzielając ich białą rączką do ucałowania. A ponieważ znała doskonale dom chrzestnego tatulka, w którym nie raz dla niéj różne niespodzianki wyprawiał, nie trudno się było domyślić gdzie urządzona była kaplica, a prosto tam w milczeniu skierowała drużbów i uklękła przed ołtarzem, przy którym ksiądz ex-huzar oczekiwał na młodą parę.

I stało się to czego Klocia, zamężna już w téj chwili, nie przypuszczała przed kilku jeszcze godzinami, kiedy z namowy zacnéj rodzicielki, we śnie letargicznym pogrążyła się. A stało się w skutek chwilowego natchnienia Kloci, lub siłą onych pokus Żanci, nie wiemy? — Możemy tylko zapewnić iż stało się bez uprzedniego namysłu, gdyż one weselne przy-

gotowania w domu Mostrongów w scisłéj odbywały się skrytości, tak dalece iż nawet dla Szmula, zręcznego stron obu powiernika, były tajemnicą.

Gdyby kto nie świadom rzeczy, znalazł się w tém miejscu, przez myśl by mu nie przeszło iż jest świadkiem występnego tajemniczego aktu, który winienby unikać wszelkiéj jawności a nawet poczciwego wzroku; wszystko bowiem odbyło się tam według form i zwyczajów przyjętych, które uświęcone wiekową tradycyą, tyle posiadają uroku i poetycznéj myśli, nie tylko dla szczęśliwych aktorów, lecz nadto dla obojętnych widzów. Ktoś nie uprzedzony, pomyślałby pewno iż te gody odbywają się pod dachem rodzicielskim bez tajemnicy i skrytości, tak wszystko szło zwykłym porządkiem.

Od ołtarza całe weselne grono przeszło do wspaniale przygotowanéj uczty. Państwo młodzi, według przyjętego obyczaju, zajęli obok siebie piérwsze miejsca. Druchny wcale nie psuły symetryi, bo Żancia, chociaż już dojrzały ale nie zawiędły jeszcze owoc, dowcipem francuzkim brak swieżości pokrywała, a że towarzyszki sobie zawsze dobierała powabne, więc i młodzież była rada. Nie brakło nawet muzyki, ponieważ gospodarz jakąś wędrowną kompanią Czechów na wszelki wypadek zawerbował. Nie obeszło się też bez używanych w podobnych okazyach facecyj i przypowiastek dla wywołania rumieńców panny młodéj.

Stanowiły one coś jakby specyalność, którą bawił się z wielkiém powodzeniem w okolicy Mostrong 1-mo, i przez ciąg długiego życia zdołał już on zarumienić kilka pokoleń oblubienic, jakimś okolicznościowym madrygałem; na ten raz nie zaniedbał także z nim wystąpić, ale go rozumna Klocia obojętnie mimo różowego uszka puściła. Nakoniec chociaż piwnica braci Mostrongów słynęła na całą okolicę, jednak pod koniec uczty wystąpiła tradycyjna skarga weselna na kwaśne wino, którą Klocia musiała zaspokoić, nie broniąc oblubieńcowi dotknąć uszczęśliwionemi usty jéj świeżéj a zapłonionéj twarzyczki. — Ze wszech miar rozsądna Klocia musiała zgodzić się z przeznaczeniem, a wcale nie tak okropném i straszném, albowiem uosabiał je piękny, dorodny, a nade wszystko rozmiłowąny w niéj Mamert. Nie tracąc próżno słowa, lepiéj zakończmy moralną nauką dla was, śliczne Czytelniczki, że jeśli przyjdzie wam kiedy na tę ostateczność wykradzenia, toż owo w naszéj Kloci macie doskonały wzór do naśladowania.

Miło upływał czas wśród biesiady przy żwawéj ochocie, która jednak nie przekraczała granic przyzwoitości. Działo się to bowiem w czasie, kiedy jeszcze dawna tradycya poszanowania dla płci pięknéj, chociaż wisząca na włosku, zawsze jednak trzymała się i kiedy owo dzisiejsze *laisser aller* nie zapuściło głę-

bokich korzeni w towarzystwie; w on czas jeszcze niewiasta doznając więcéj względów i szacunku, nie traciła powabu i uroku wyższości, a więcéj palono przed nią kadzidła uwielbienia i hołdu, niżli dziś cygar i papirosów. Szkoda nam tych czasów! lecz że już one nie wrócą, my przynajmniéj wróćmy do porządku.

Po skończonéj tedy wspaniałéj uczcie następowały tańce, bo już wyrzekliśmy że do całości niczego tam nie brakło. W owych przejściach rozmiłowany oblubieniec potrafił wynaleść uprągnioną chwilkę, ażeby u nóg ubóstwianéj złożyć owe klejnoty, które na krótko przed ślubem rolę pokusy odegrały. Żancia z towarzyszkami, wszystkie Francuzki — ze krwi i urodzenia zręczne do tańca, nie mało przyczyniły się do ożywienia zabawy. Nakoniec w puszce modystki, téj nowéj Pandory, wynalazł się piękny strój podróżny dla panny młodéj, która niespełna we trzydzieści godzin po wykradzeniu, wsiadła do téj saméj pięknéj karety, już nie obok chrzestnego tatulka i wcale nie uśpiona, a... zapuśćmy zasłonę!

Ej! godyż to były gody! Panicze mający po drodze rozstawione konie, pośpieszyli zabrawszy muzykę, przygotowywać nowe przyjęcia i niespodzianki. Bracia Mostrongowie także za weselnym orszakiem pociągnęli, bo jako towarzyscy ludzie, nie ostaliby się w osamotnionym domu po takiéj uczcie. Słowem były to go-

dy niby tajemne, lecz już dawno takich jawnych nie pamiętamy.

Jakby to było pięknie gdyby tak można, ażebyśmy tradycyjnym obyczajem staroświeckich dramatów, których sensem moralnym i ostatnią literą bywał sakrament małżeństwa, zapuścili zasłonę na ten akt wieńczący słodkie nadzieje rozmiłowanego Mamerta. Atoli niestety, dzisiejszy żywot nie płynie tak spokojnie i jednostajnie — dziś parą unoszeni, pędzimy za silniejszemi wrażeniami, pragniemy okropniejszych wypadków tak w życiu jak i w powieści! — A skoro tak, więc prosimy z nami daléj.

Archeologiczny zabytek.

Mamert stawszy się szczęśliwym małżonkiem ubóstwianéj Kloci, lubo osiągnął cel marzeń i zaspokoił najgorętsze pragnienia rozkochanego serca; pozostawał mu jednak trudny szkopuł do przebycia, a tym był ojciec — co gorsza ojciec dawniejszéj daty, stary zadomowany szlachcic, stojący jak mur przy tradycyach i poszanowaniu wszelkich obowiązków, słowem jak dziś nazywamy człowiek zacofany. Pomijamy ową władzę ojcowską, która — od czasu zaniechania owego błogosławienia dziatek z rozciąganiem na kobiercu — tępieć zaczęła; jednak Mamert, moralnie i pobożnie

chowany, obawiał się ojcowskiego gniewu, a co może ważniejsza, że nie mając jeszcze wydzielonego sobie majątku, wszystkie wspaniałe przygotowania do małżeństwa poczynił paniczowskim sposobem na kredyt, którego jako spadkobierca in spe znacznéj ojcowizny nieograniczenie używał. — Wprawdzie ojciec kochał bardzo Mamerta, a nawet nie bacząc na tradycyjną ojcowską surowość, pieścił na swój sposób jako jedynaka — prócz niego bowiem miał tylko same córki; lecz zawsze trudna z nim była sprawa, a przeprowadzenia onéj podjęła się jego siostra, a ciotka Mamerta pani Generałowa, z którą poznać się nam wypada.

Ta pani Generałowa była ciekawym archeologicznym zabytkiem. Niegdyś gwiazda jaśniejąca na wielkim horyzoncie, a nawet z niemałem powodzeniem *pod blachą*, dotąd nie chciała wierzyć że owa świetność stała się już dobrze minioną przeszłością; nie przyznając swojego obecnego upadku, energicznie opędzała się starości, która jéj czarowne swego czasu oblicze, służące za cel hołdów i wzór dla sztuki, pomarszczyła i kibić ongi wysmukłą pochyliła ku ziemi. Generałowa nie tylko fizycznie, lecz i umysłowo stanęła na jednym stopniu, z którego ani na krok posunąć się nie chciała, a może już nie była zdolną. Sławnych zalotników zeszłego wieku, dawno próchniejących w ziemi, zawsze poczytywała w swojéj zaco-

fanéj wyobraźni za bożyszcza salonów, a wracających ze stolic ciekawie dopytywała o zeszłowieczne znakomitości.

Dom Generałowéj, urządzenie pokojów i wszystko co ją otaczało, nosiło cechę tego czasu, w którym umysł jéj, że tak powiem, skamieniał. Wchodząc do jéj salonów, zdawało się iż o cały wiek wstecz się cofasz, a bardziéj jeszcze na widok saméj gospodyni, ściśle trzymającéj się ówczesnego stroju, pudru, muszek, różu, robronów, trzewików z białemi korkami i t. p. W obec téj zeszłowiecznéj całości można było nabawić się złudzenia, że znajdujesz się w buduarze markizy za Ludwika XV. Głównym czynnikiem téj metamorfozy była kamerystka Generałowej, Francuzka—z odpowiedną owoczesnemu zwyczajowi nazwą *Minette.* Chociaż rowieśnica swojéj pani, lecz jeszcze dość żwawa staruszka, nosiła się według dawnego obyczaju subretek w krótkich, wygorsowanych sukienkach, z warkoczami które, o zgrozo! wbrew dawnéj etykiecie, wzbraniającéj używania pudru i wszelkiéj w ogóle siwizny nieszlachcie — *aux roturiers*, były już dobrze siwe; gorszyła się pani tą niewłaściwością i o przefarbowaniu kamerystki zamyślała, lecz sposoby ku temu nie były jak dziś rozpowszechnione. Minetta znała krój dawnych strojów, fryzurę, gusta, zachcenia swojéj pani — słowem wszystko co stanowiło żywioł téj zacofanéj staruszki.

Historya Generałowej, z czasów kiedy świeciła pełnym blaskiem jasnéj gwiazdy, należy do starodawnych zalotnych kronik; my tylko w krótkości opowiemy jak z widowni dawnego blasku i sławy przeniosła się do cieniu partykularza. — Generałowa była córką jednego z onéj zamożnéj szlachty, którzy z pokolenia w pokolenie przewracając skibę rodzinną, oddalali się od zagonu jedynie na posługi kraju, a prócz tego — jakby przyrośli do roli — wiernie jéj się trzymali. Synowie podobnéj szlaszty zawsze wstępowali w ślady ojców, córki zaś ze swego przeznaczenia chowały się na żony i matki nowego pokolenia tych rolników rycerzy, a nie więcej wiedziały o wielkich salonach i wielkim tonie jak o wilku żelaznym. W takich warunkach, w połowie zeszłego wieku przyszła na świat teraźniejsza Generałowa, lecz przez dziwny traf zboczyła od tego cichego przeznaczenia. Matka ją w dzieciństwie odumarła, ojciec zaś na przemian to rolnik, to czynny towarzysz chorągwi, z drobnemi sierotami których było dwoje, nie umiał sobie poradzić; jeszcze z synem jako tako, rzucił chłopaka na ławę jakiejś szkółki klasztornéj, a było ich na tenczas tyle, i rzecz skończona. Atoli żwawa i piękna dziewczyna bez oka matki, na opiece sług płatnych wielce go niepokoiła; a zatem w porę nawinęła się pani Szambelanowa, jakaś daleka jego krewna, a ta wybawiła go z kłopotu biorąc córkę na wychowanie.

Szambelanowa, swego niegdyś czasu także gwiazda wielkich salonów, już natenczas przechodziła w meteor spadający z wyżyn niebieskich na prozaiczny poziom i wszelkiemi siłami starała się ochronić od tego upadku. — Oddajemy sprawiedliwość kobietom, że te nie rzadko w wielu przygodach życia, mogą nam służyć za wzór odwagi i wytrwania, któremi wspierane mężnie stawią czoło przeciwnościom — czy to w upornéj walce z losem, czy w chrześcijańskiém poddaniu się jego kolejom. Atoli przed piérwszym włosem siwym niknie ta olbrzymia odwaga, a nie wiele jest niewiast osobliwie światowych i rozbawionych, poddających się z rezygnacyą starości i któreby do zwalczenia jéj ostatnich zapasów sił i woli nie dobyły. Ztąd ów początek wielkiéj sztuki odmładzania, którą od czasów oddalonych Teofrasta Bombasta, do późniejszych Cagliostra, ludziom—najbardziéj niewiastom głowy zawracano, a która do naszych czasów pod nazwą kalotechniki dokwitnęła. Kobieta przy schyłku wdzięków niebo i ziemię poruszyć gotowa, byle jak najdłużéj roje wielbicieli od zwycięzkiego wozu nie odprządz. Skoro już niestety, i arkana odmładzające nie skutkują, uciekają się do rozmaitych srodków wabienia, tworzą towarzystwa religijne, muzyczne, dobroczynne, naukowe, otwierają na rozcież salony wszelkiego rodzaju kongregacyom, podwajają uprzejmość i na każde poświęcenie gotowe, przed niczem nie cofną

się—byle nie pozbywać się hołdów i otoczenia. Nakoniec z heroiczną abnegacyą chwytają się ostatecznego środka: skupjają około siebie młode piękności, ułatwiają do nich przystęp nowemu pokoleniu wielbicieli i czynią jak owi znałogowani furmani na starość, o których powiedziano, że skoro już nie mogą powozić, to bicze kręcą.

Tak i Szambelanowa w zaciętéj obronie dawnéj swojéj wziętości u świata zalotnego, zużywszy już wszystkie niemal środki — a chwytając się ostatniego, puściła się w świat szeroki w celu zrekrutowania nowéj przynęty. Ponieważ posiadała dobra w sąsiedztwie swego krewniaka, dotarła aż do niego i tam wyszperała jego piętnastoletnią córeczkę, w zaciszu wiejskiém chowaną — niepoczesną gąsieniczkę, pod skorupą któréj, doświadczona kobiéta odgadła wielkiego na przyszłość sprzymierzeńca do swojéj walki, a to tém łatwiéj że dzieweczka była nad podziw piękna.

Ojciec dziewczyny a krewny Szambelanowéj, upatrywał jedynie w jéj zamysłach poczciwą chęć zajęcia się losem opuszczonéj sieroty; a jako domator nieświadom znaczenia stolicy pod względem zepsucia, przypuszczał że im gdzie tłumniéj lud zbierze się, tam więcéj chwały bożéj i jego własnego pożytku, zgodził się też wdzięcznem sercem na powierzenie jedynéj córki.

Nie mamy zamiaru wdawać się w szczegóły, jak za pomocą mistrzowskiéj ręki Szambelanowéj, nastąpiła rychła metamorfoza gąsienicy na wabnego motylka; jak znów motylek z płochością właściwą swemu rodzajowi, przelatując z kwiatka na kwiatek, za wiele upoił się słodyczą, tak że na koniec a raczéj na początek dobrze wszczepionéj edukacyi, Szambelanowa była przynagloną wyszukać męża dla swojéj krewnéj pupilki.

Szczęściem że ów mąż znajdował się pod ręką, a był nim pewien Generał — wprawdzie nie wojskowy a *pokojowy* — osobliwszego autoramentu, wchodzącego na ów czas w użycie, skutkiem czego zdarzali się generałowie bez wojska i komendy, atoli zawsze ze szlifami. Człowiek to był bardzo nie młody, słynny z naiwności i znacznego majątku. Jako próżny, skwapliwie pochwycił tę miłą synekurę zostania mężem gwiazdy, jaśniejącéj na wielkim horyzoncie, — a jako zgadzający się z wolą opatrzności, jak mu dawano żonę, tak ją przyjął — bez szemrania. Ojciec młodéj Generałowéj, wiekiem i pracą złamany, w prostocie ducha, z łoża śmiertelnego, na zaoczność pobłogosławił świetnemu związkowi córki, równie jak i opiece nad nią Szambelanowéj. Testamentem zaś hojniéj wyposażył córkę od syna. Nie dziw, bo ona próżność jako pyłek subtelny wciśnie się wszędy, chociażby i do

wiejskiego ustronia, które tak szczelnie zdaje się przed nią zamknięte.

Po śmierci zacnéj opiekunki Szambelanowéj, palma zalotności świetniéj jeszcze rozkwitła w nadobnych i zręcznych rączkach jéj pupilki, która śladem wytkniętym przez biegłą mistrzynię po téj drodze przesuwała się. Lecz skoro w skutek rozmaitych zdarzeń rozproszyły się świetne salony własnéj stolicy, generałowa umyśliła szukać nowych po za granicą kraju; generał zaś jako zawsze wierny kassyer żony, opiekun jéj bonońskich piesków i szczery przyjaciel wielbicieli, za nią podążył. Nakoniec syt lat i szczęścia małżeńskiego, spoczął na wieki na jego laurach, przekazując wiernéj małżonce znaczny majątek, który pomimo życia zbytkownego, w całości potrafił dochować. Powiadano że to co pani rozpraszała niepomiarkowaną rozrzutnością, on grą szczęśliwą, a jak utrzymywano więcej niż umiejętną, pokrywał — i lichwą podobno. Niechże kto zaprzeczy wielkiéj prawdzie, że świat ten mądrze jest stworzony, gdy nawet i taki generał miał swoje przeznaczenie.

Nie utulona w żalu wdowa — jak mogła pocieszała się, lecz już nie było komu znaczne deficyta zręcznie pokrywać. Ponieważ wszelka rozrzutność i wesołe życie jedne do drugich podobne, zatém nie będziemy się rozwodzili nad przejściami generałowéj, które przez różne fazy doprowadziły ją w końcu do

więzienia za długi w Paryżu. Nim zaś do jéj brata wieść ta doszła, przesiedziała tam biedaczka czas jakiś.

Brat młodszy o lat parę, nie znał prawie siostry, ponieważ siedział jeszcze na ławie szkolnéj, kiedy ją Szambelanowa pochwyciła. Następnie ze słyszenia tylko wiedział o jéj świetném zamęźciu, w skutek którego większy udział majątkowy zrobiony siostrze przez ojca, nie tylko nie zrodził w jego poczciwém sercu zawiści, jak zwykło zdarzać się w podobnych razach, a przeciwnie stał się powodem uwielbienia dla téj, którą ojciec, jak mniemał, ze słusznéj racyi więcéj od niego udobrodziejstwował. Dowiedziawszy się tedy o smutnéj katastrofie uwięzienia, natychmiast na ratunek siostry pośpieszył. Ponieważ przy odosobnioném życiu był serdecznym i szlachetnym, mniéj dziwiono się znacznéj ofierze pieniężnéj, niż temu że ów człowiek, prawie nie wyzierający za własną miedzę, powodowany miłością braterską, odbył podróż do Paryża, żeby siostrę z więzienia wykupić.

Przez to wielkie dobrodziejstwo, brat odnowił a raczéj zabrał znajomość z siostrą, którą pod skromną rodzinną strzechę, po półwiekowéj przeszło niebytności sprowadził, a nie tylko wszelkiém staraniem i wygodami, lecz nadto jak umiał zbytkiem otoczył. Pomimo to pani wielkiego świata nie mogła wyżyć w tém zaciszu, mającém za całą rozrywkę towarzystwo

księdza proboszcza i kilku prostaczków sąsiadów; a tęskniąc po onym otaczającym ją od dzieciństwa żywiole Szambelanowéj, utracała zdrowie i w końcu wpadła w jakiś obłęd, zagrażający cięższą umysłową chorobą; umysł jéj wprawdzie nigdy wysoko nie stał, a przez wiek i kilkoletnie więzienie znacznie podupadł. Poczciwy brat, znoszący ciężar zbytkownego utrzymania siostry, nie cofnął się przed nową ofiarą; lecz nie będąc w możności marzyć dla niéj o zagranicy, osadził ją w Żytomierzu, mieście które jako gubernjalne zaczęło już na ów czas przybierać jakieś pozory, a raczéj małpować stolicę, chociażby przez bruk na pryncypalnych ulicach. Brat urządził tam dom zbytkownie według gustu siostry, a do zarządu wyszukał marszałka dworu, ponieważ kobiécina do żadnego rządu i porządku od dzieciństwa nie była wdrożoną, i w ten sposób stworzył jéj nie małym kosztem coś, na podobieństwo dawnego życia, którém Generałowa zadowolniwszy się, upadające siły i zdrowie odzyskała. Ta ofiara braterska nie była małą, ponieważ zacofana staruszka potrzebująca towarzystwa, nie mogła je w koło siebie zgromadzić przygasłemi wdziękami ani przez moralne zalety, których nigdy nie posiadała; musiała zatém wynajdywać sposoby ażeby zwabić otoczenie, stające się nieodzownym warunkiem jéj pasożytnego życia. Ponieważ zaś jedna strona tego pochylonego do upadku umysłu, zachowała pewną sprężystość,

więc ta właśnie stała się główną zaletą domu Generałowéj i przynętą dla towarzystwa, takiego właśnie jakiego pragnęła. Salony staruszki zostały dogodném miejscem schadzek kochanków, polem intryg miłośnych, waśnienia, godzenia i t. p. szczęśliwych zakochanych — słowem zacna uczennica, na wzór swojéj niezapomnianéj mistrzyni Szambelanowéj, bicze na starość kręciła, a zatém salony nie wypróżniały się

Synowca swojego Mamerta zastała Generałowa już dorosłym i pięknym młodzieńcem, a według rozumienia jego ojca, dostatecznie wykształconym w szkołach miejscowych, co zaś do gospodarstwa i cnót obywatelskich, kształcącego się w dobréj szkole rodzica. Pomimo to ciotka uznała, iż brak mu światowego poloru, a podjąwszy się nowego wychowania młodzieńca, postanowiła jak się wyrażała, zetrzéć z niego tę pleśń szkolną i parafialną. Do któréjże to dwudziestoletniej głowy nie przystanie taka nauka? — ztąd i Mamert stał się od razu uczniem pojętnym, chociaż jak narzekała ciotka, zawsze w nim fundament księżowski i rodzicielski pozostał. Ojciec, że sam jeszcze krzepki, mógł obejść się bez pomocy syna w gospodarstwie, nie przeszkadzał wzrastającemu synowczemu przywiązaniu i synowi częstych odwiedzin u ciotki nie bronił. Jednakże, pomimo miłości braterskiéj i nalegania siostry, żadnéj z córek jéj nie powierzył.

Ażeby nas nie pomówiono że kwoli fantazyi, lub

gorzéj jeszcze pomnożenia kart księgi (bo i to się niekiedy wydarza), odgrzebujemu archeologiczne zabytki i stwarzamy powieść w powieści, gdy zapewne i téj już czytelnikowi za wiele, musimy wytłómaczyć obecność tu staruszki Generałowéj, która nie mało przyczyniła się do osnowy opowiadanego wydarzenia.

Komuż nie znane podróże w celach matrymonialnych, odbywane na około świata przez matki z córkami na wydaniu. W jednéj z podobnych Chorążyna z córką zawadziła o dom Generałowéj, któréj bystre oko, od pierwszego wejrzenia, odgadło w Kloci dobry grunt do zasiania doktryn Szambelanowej, i zapragnęła pozyskać ją dla siebie. Ztąd więc powzięła zamiar wyswatania jéj synowcowi, ślepy zaś traf jakby w zmowie z Generałową, rozniecił w sercu Mamerta szaloną miłość dla Kloci. Po wyjeździe Chorążyny z córką, świetnie podejmowanych przez Generałowę, natychmiast wysłała ona synowca w konkury, nie wątpiąc o dobrym skutku wyprawy. Lecz skoro rzeczy wiadomy nam obrót wzięły, a Mostrong rozjątrzony umyślił działać po swojemu, staruszka jeszcze bardziej ucieszyła się; była bowiem wielką zwolenniczką nadzwyczajnych kolei w miłośnych przygodach, a szczerze pobudzała i namawiała synowca na ten krok hazardowny, upewniając że mu przebaczenie ojca a swojego brata wyjedna; nim zaś takowe nastąpi, w jéj domu schronią porwaną Klocię, którą staruszka podejmowała

się przez doświadczoną swoję zręczność, w szkole zacnéj pamięci Szambelanowéj nabytą, nakłonić do zawarcia tajemnych związków z Mamertem. — Zdaje się teraz, iż obecność onego zeszłowiecznego deus ex machina jako tako udało się nam usprawiedliwić.

Uprzednio już cieszyła się staruszka wielkiém przyszłém dziełem, które była pewną doprowadzić do dobrego końca. A skoro Mamert przez nią poduszczony i ośmielony udał się na wyprawę i długo nie wracał, straciła sen i apetyt — a jakby przyrosłszy do okna, wyglądała niecierpliwie przybycia bohatéra osnutéj przez nią miłośnéj wyprawy. Nakoniec jakież było jéj zdziwienie, kiedy ujrzała Mamerta z Klocią przybywających w najlepszéj zgodzie; skoro zaś dowiedziała się o tém wszystkiem, co mieliśmy zaszczyt opowiedzieć, przyznała Kloci wyższość nad sobą, całemu zaś przejściu cechę oryginalności, któréj jak utrzymywała, pozazdroszczonoby nie tylko w jéj w świetnych czasach, lecz i za dni słynnéj w kronikach miłośnych Regencyi — znanéj staruszce z niezbyt odległéj od owych czasów tradycyi. Wysłuchawszy opowiadania i po stokroć uściskawszy nowożeńców, Generałowa omal nie oszalała z radości:

— Parfait! parfait! — wołała prawie od zmysłów odchodząc, — a po niejakim czasie uspokojona, ozwała się z westchnieniem:

—Czemuż to moja biedna Szambelanowa nie dożyła

tego szczęścia, ażeby coś podobnego mogła oglądać? — Cześć niech będzie wdzięcznemu sercu staruszki!

Nie omieszkała Generałowa swoim wielkim tryumfem podzielić się z zaufanymi, i w dzień sam przybycia nowożeńców salony jéj zajaśniały i przepełniły się ciekawymi. Klocia zajrzawszy do niewyczerpanéj puszki Pandory, ze wspaniałomyślności rozmiłowanego małżonka pochodzącéj, przyćmiła wszystkie miejscowe piękności i stała się celem powszechnych hołdów, przez co połechtawszy dumę ciotki, czułe jéj serce ostatecznie podbiła.

Walka Hymena z Temidą.

Tydzień upłynął od pochwycenia Kloci, a dość było tego czasu, ażeby zapomniała domu, rodzinnych stosunków i dawnego życia — a oddała się nowemu, uśmiechniętemu i uroczemu, które tak nęciło rozmaitością powabów; posiadła bowiem kosztowne brylanty, bogatą wyprawę, nową karetę, cug rasowych koni, w dodatku zaś męża miłego i rozkochanego, co także dla każdéj dziewczyny jest w swoim rodzaju powabem nowości!..

Tydzień, jak wszystko względne i warunkowe na tym nędznym padole płaczu, może przewlec się wie-

kiem lub przelecieć niepostrzeżoną chwilką. Tydzień niepewności, zawiedzionych nadziei, to bodaj wiek cały. Tydzień na łożu boleści, tydzień konania, tydzień drogi dla śpieszącego w serdeczne objęcia... zamilczmy, bo to męki piekielne. A żeby zatrzéć nie miłe wrażenie, wyobraźcie sobie tydzień miodowego miesiąca z Klocią, — cały tydzień uczty weselnéj dla Mostrongów i spółki, którzy w wielkim komplecie, aż na salony Generałowéj szczęśliwą parę zaprowadzili.

Atoli są tygodnie i tygodnie na bożym świecie. Ów zaś tydzień uroczy dla nowożeńców i biesiadników weselnych, był dla Chorążyny czasem pracy, zabiegów i kłopotów. — Po uśpieniu lwa przebudzonego, jeżeli raczycie przypomnićć, pozostawiliśmy tę zacną panią w karecie, która potoczyła się do miasta powiatowego, dokąd równie pośpieszyli pan Assesor i jego adjunkt z gotowym protokółem śledztwa. Tam Chorążyna na nowo przybrała rolę stroskanéj rodzicielki, przez co poruszyła, co do ostatniéj, wszelkie serdeczne żyłki wszystkich matek powiatowych, a te z kolei podniosłszy lament ogólny, obudziły czynność panów urzędników.

Ponieważ ze śledztwa, wszelkie pozory zbrodni padały na bandę Karmeniuka, z którym żartów nie było, zatém natychmiast ściągano wojska, zbrojono okolicznych chłopów, zarządzano obławę po lasach i przy wszelkich depozytach podwojono straże; matki

zaś, przerażone smutnym przykładem, dorosłe córeczki silniéj obwarowały. Zapewne przypominacie że według zeznania Szmula, gwałciciele ze swoją ofiarą mieli puścić się za granicę; więc jak się to dziać zwykło, a nie tylko w powieściach, naciągnęło się do téj okoliczności całe śledztwo, znalazły się nawet pewne ślady i poszlaki, w skutek których w tym kierunku pogoń zarządzono i sąsiednie władze zagraniczne do czujności wezwano. Działo się zaś to wszystko w jednym i tym samym czasie, kiedy w zupełnie przeciwnym kierunku — w domu braci Mostrongów, odbywały się świetne weselne gody, których ochoczy orszak wszędzie suto podejmowany dążył wesoło, jak mówią rzemiennym dyszlem, ku salonom Generałowéj.

Kiedy tak ucztowali, Chorążyna tymczasem z powiatowymi urzędnikami, a z cierpliwością pajęczą, snuła sobie w cichości sieć kryminalnego procesu, pozostawiając swobodę działania wykradającym. Skoro zaś była zawiadomiona przez wiernego Szmula, że tak gwałciciele jako i ich ofiara zgromadzili się, jakby w samotrzasku, do jednego miasta, gdzie właśnie wyższy sąd kryminalny zasiadał; natenczas władzę na ślad prawdziwy zręcznie naprowadziła, nowy obrót śledztwu nadała i reczywistych sprawców porwania na wierzch wysadziła. Sama zaś w towarzystwie biegłego prawnika, słynącego z prowadzenia spraw

podobnie zawikłanych, owéj nocy pamiętnej kiedy Generałowa witała nowożeńców wspaniałą ucztą, cichaczem do grodu ściągnęła. — Jeszcze nie przebrzmiały dźwięki ochoczéj muzyki, nie miały czasu wyszumieć się rozbawione głowy, kiedy już nieszczęsna matka kołatała do władzy, o wymiar sprawiedliwości za ciężki cios jéj rodzicielskiemu sercu zadany.

Czemże był ów tydzień dla głównéj sprężyny opowiedzianych zdarzeń, zręcznego Szmula, znanego nam jako spólnika zbrodni? Szmul, przerzuciwszy się z onego stanowiska w nieszczęsną ofiarę, ową rolą którą zdawał się odegrywać kwoli dogodzeniu zacnéj spólniczce, tak doskonale przejął się, iż przeniósłszy śledztwo do karczmy, dobrowolnie przez się na rozcież otworzonéj, za pomocą przygotowanych świadków, potrafił przekonać adjunkta o zadanych jemu i rodzinie gwałtach, których nikt się nie dopuścił, i takowe na drogę prawnego poszukiwania wprowadził. Uspokojony zatém że owa podwójna komedya, w dwójnasób też miała się wynagrodzić, podążał żółwim krokiem, skromną jednokonką, za świetnym weselnym orszakiem; a nie bacząc na sporą dzielącą ich przestrzeń, aż do samego miejsca ucztujących z oka nie spuścił i o każdym ich ruchu Chorążynę zawiadamiał, a z nią razem do miasta zdążył i jednocześnie kroki prawne rozpoczął.

Ów tydzień dla naszych znajomych to zabawą, to

pracą urozmaicony, dla owego nieszczęsnęgo, na zawsze uśpionego lwa, pana Marcina był czasem ciężkiéj jednostajnéj boleści—ten chorobą na łoże powalony, osamotniony w cierpieniach, wystękiwał swoję ulubioną zwrotkę:

— Nomina sunt odiosa!

Nie trzeba powiadać, iż tak zręczna kobiéta jak Chorążyna umiała systematycznie, z dojrzałą rozwagą rzecz całą przeprowadzić; nie możemy więc wątpić o dobrym skutku jéj starań u władzy, przed którą umiejętnie i zręcznie tak swoję osobę, jak i skargę przedstawić zdołała.

Skutkiem tych zabiegów, owo całe rozbawione weselne grono i Mamerta z objęć małżonki, a wszystkich jeszcze napół sennych—po trudach uczty u Generałowéj i nie wytrzeźwionych z uroczych marzeń, zaprowadzono do aresztu.

Wyobraźcie sobie, co to za smutne było rozczarowanie i jak okropne przebudzenie onego weselnego orszaku, tem bardziéj iż składający go weseli i spokojni, ani razu nie obejrzeli się po za siebie, jak czynią wszyscy, mogący patrzeć przed się przez zwodnicze pryzma nadziei. Cóż dopiéro powiedzieć o Kloci, obecnie czułej i rozkochanéj małżonce, której przerwano piérwszy zapał miłośny, wydarto ideał młodzieńczéj wyobraźni? A któraż rozmiłowana kobiéta, dla

wyratowania podobnych skarbów, bez namysłu w ogień nie wskoczy?

Wierzcie mi, że na braku organów gazeciarskich nie wiele cierpią nasze, więcéj nawet zaludnione, miasta. Dziwniejszém może wyda się to zdanie, że ów brak nie tylko nie przeszkadza, ale w pewnym względzie dopomaga szerzeniu się nowin; każdy bowiem z mieszkańców poczytuje za święty obowiązek nosić na sobie cechę czynnika nowiniarskiego, a co większa ma za punkt honoru nie dać się prześcignąć bliźniemu,—dla tegoż przerażone kółko Generałowéj nie długo zagłębiało się w domysłach, na odszukanie przyczyn tego okropnego skutku. Klocia nie dowierzając z razu ażeby matka, jéj niejako spólniczka w tém co zaszło, mogła tak nagle i niespodzianie naprzeciwko stanąć, natychmiast do niéj pośpieszyła szukać pomocy i pociechy, których niewyczerpane źródła sama natura w łonie rodzicielskiem złożyła.

Przed powitaniem dwojga niewiast, jako matki i córki, każde pióro chociażby z lewego a serdecznego skrzydła najczulszéj gęsi wyrwane, zamilknąć musi. Nim Chorążyna nacieszyła się córką, ta zaś niemą swą skargę we łzach na łono macierzyńskie przelała, obie kobiéty pozostały w milczeniu. Nakoniec Chorążyna jako starsza, prędzéj potrafiła zapanować nad oném serdecznem wylaniem i odezwała się:

— Opowiedz że mi, moja droga, wszystko co zaszło

od czasu?... tu przerwała pytanie, jakby nie śmiała dokończyć.

Chorążyna, zadając to pytanie córce, działała jedynie w myśl powierzchownego zadość uczynienia macierzyńskiéj troskliwości, będąc uprzednio przekonana iż nic nowego nie dowié się, o czémby czujny i czynny jéj agent Szmul w swoim czasie nie zawiadomił. Jakież musiało być jéj zdziwienie, gdy z kolei opowiadania Klocia doszła do tajemnego ślubu, o którym że Szmul, a samo przez się i jego spólniczka Chorążyna nic nie wiedzieli—łatwo się to wyjaśnia ściśle zachowaną przez braci Mostrongów tajemnicą. Na tę wieść niespodzianą, krzyżującą dotychczasowe jéj zabiegi, matka przemówiła surowym głosem:

— Do czegoż to ciebie zobowiązuje że jakiś tam ksiądz-huzar, bo żaden inny ze znanych mi w okolicy tego by się nie podjął, tajemnie was połączył? — a następnie dodała znacząco:

— Lecz spodziewam się, że pomna na moje przestrogi, poddałaś się jedynie temu tylko, co na tobie gwałtem wymożono... i nic więcej?

— Mamert jest moim mężem — odparła stanowczo zapłoniona córka.

— Czy już, tak prędko? — zapytała matka z szyderstwem i złością.

W téj chwili w szafie znajdującéj się obok kanapy, na której odbywała się ta czuła scena, dał się sły-

szeć lekki szmer jakby skrobanie myszy, na które Chorążyna czujnie słuch wytężyła, córka zaś ciągnęła daléj z zapałem:

— Powtarzam, że jestem żoną Mamerta. Wcale tu nie idzie o zalety i moralność księdza, który nas połączył, a dość że przed Bogiem przysięgłam mężowi mojemu wiarę i posłuszeństwo. Nakoniec kocham Mamerta, zostanę jego na zawsze i wydrzéć go sobie nie dam — dokończyła ze wzrastającą energią.

Chorążyna nagle ostygając z pierwszego gniewu, mówiła daléj łagodnie a razem oględnie i nieśmiało, jakby obawiała się za wiele powiedzieć—na oną zaś mysz w szafie ciągle pilną baczność dawała.

— Broń Boże, nie idzie tu wcale o wydarcie Mamerta, lecz o wydarcie dla ciebie zapisu i posagu, których ci dać nie mogę. A wierz mi, moje dziecko, zła miłość o głodzie.

— Matko droga! sama wiész że byłam ci posłuszną we wszystkiém, a jeżeli stało się więcéj nad zakres przez ciebie zamierzony, trudno mię o to obwiniać—Bo czyliż można igrać z uczuciem? Teraz zaś błagam cię na kolanach, cofnij tę nieszczęsną skargę, powróć mi mojego najdroższego męża! — u nóg matki wypłakała młoda kobieta.

Chorążyna rozrzewniona, przenosząc córkę od swoich kolan na macierzyńskie łono, wytężyła słuch na owo skrobanie, znów powtórzone w innéj stronie sza-

fy, a po krótkiém zastanowieniu jakby je chciała zbadać dokładnie, z podwojoną słodyczą przemówiła:

— Moje dziecko, jeżeli ty chcesz kochać nieoględnie, ja za nas obie muszę być rozsądną i wrócę ci twego najdroższego, lecz nie inaczéj, jak z gotowym już dla ciebie zapisem.

— A kiedy tak — zawołała Klocia tonem draśniętéj lwicy — więc potrafię obronić tego, któremu przysięgłam miłość i wiarę, i ztąd zaraz udam się do władzy, a chociaż przeciw matce będę przymuszoną działać, wyznam czém było ono moje porwanie i jaki w niém udział wzięłam.

Chorążyna, jakby w jakiejś niepewności, przybliżyła ucho do szafy przysłuchując się skrobaniu, które z innego tonu słyszéć się dało, a po wysłuchaniu onego energiczniéj i więcéj stanowczo przemówiła:

— Nie mówię już o roli, jakiéj podejmujesz się, zadania fałszu własnéj matce, lecz uprzedzam cię że te wszelkie delacye przeciw sobie wymierzysz: musisz więc wyznać że sen twój był udany, nie zaś wywołany przez występne środki, żeś dobrowolnie dała się wykraść przewidując koniec romantyczny całéj katastrofy. Słowem przez podobne wyznanie utracisz urok, otaczający cię w obec męża *jak go tam nazywasz*, i niezawodnie sama przyśpieszysz to rozstanie, którego ja wcale nie pragnę. Powiem ci moja droga otwarcie — kończyła niby rozczulona matka — że cię olśnił

chwilowo zbytek którym cię otoczono; atoli ja znam odwrotną stronę tego medalu, a nią jest nie opłacony kredyt. Nie przeczę, że i mąż młody posiada pewien urok, lecz lepiej go mieć z dobrym zapisem, do czego właśnie dążę.

Młoda kobiéta, blada i przerażona, słuchała tych słów matki tchnących zimném wyrachowaniem, nigdy bowiem nie spodziewała się że piérwszy zawiązek tego dramatu tak poetycznie osnutego, zaprowadzi ją do podobnego rozczarowania i w matce, twórczyni i spólniczce całego przedsiewzięcia, znajdzie jawną przeciwniczkę.

— Gdybym nie z matką mówiła, wyraziłabym otwarcie co o podobném postępowaniu myśléć należy, lecz wzajemny stosunek, w którym los nas postawił, usta mi zamyka — Zmówiwszy to sucho i prawie pogardliwie, córka opuściła matkę.

Skoro turkot powozu odjeżdżającéj Kloci dał się słyszéć na dziedzińcu, jakby cudem otworzyła się ona szafa wydająca mysze skrobanie, a z niéj oględnie wysunęła się łysa głowa, mająca niezaprzeczone prawo (na mocy przysłowia o głowach) do łysiny i siwizny, jako stanowiąca własność biegłego i wytrawnego prawnika. Ona głowa, na podwójną powagę wieku i stanu, może nieco za nadto po żakowsku szamotała się, jéj zaś właściciel podskakując wołał radośnie:

— Bravo, bravissimo moja dobrodziczko. Ach że-

bym miał przynajmniéj kogo uściskać z téj radości— i obcesowo skoczył ku Chorążynie obraniającéj się ręką, którą on okrywał tymczasem gorącemi pocałunkami.

— Ależ uspokój się, mój Kadziubski, nie widzę bowiem powodu radości, chyba z tego cieszysz się że ta szalona, przez jakieś sentymenta, zgubiła całą sprawę.

— Przepraszam dobrodziczkę — ciągnął z poprzedniemi oznakami radości mieszkaniec szafy — wszystko co kto zgubił my odszukamy. Owa zaś córunia dobrodziczki złociutkie dzieciątko, a pomyślniejszéj alternaty dla naszéj sprawy wymyslić nie można.

— Uspokój-że się nakoniec, szalony człecze, bo coraz mniéj cię rozumiem, tak jak to twoje skrobanie, którego na ten raz sensu schwytać nie mogłam — odparła Chorążyna głosem zdradzającym niecierpliwość.

Może nie bez racyi Chorążyna starała się przyprowadzić prawnika do porządku, ponieważ Kadziubski jak się rozigrał, stawał się niezrozumiałym. Był to maleńki człeczyna, jowialny i wesolutki, a zawsze bardzo ruchliwy, przez co jak podejrzewano starał się unikać spojrzenia w oczy mówiącemu—a tym końcem to robił coś z chustką, to nos tabaką zapychał, gubił jedno, wynajdywał drugie, mówił prędko z gestami aktorskiemi, a najczęściéj wyrazów zdrobniałych uży-

wał. Teraz zaś, odsapnąwszy po onych oznakach radości, jął mówić stateczniéj:

— Skrobanie, które pani dobrodziejka niezrównanym dowcipem, według umówionego znaczenia pojąć raczyłaś, miało na celu zrównoważenie na wszelki wypadek czułości macierzyńskiéj, bacząc że to zawsze córunia a serduszko nie skała—tak ci prawo każe — (było to jego ulubione przysłowie).

— Wyznam szczerze acani dobrodziejce — ciągnął po namyśle prawnik — iż, wertując sobie jakby z przeczucia tego co właśnie zaszło statucik, znalazłem tam w rozdzialiku jedenastym, artykulikach pierwszym i trzynastym, okoliczności za nami przemawiające. W tym zaś mościa dobrodziejko ostatnim artykuliku: — «Co do gwałtownego wzięcia w małżeństwo dziewki, wdowy i każdéj niewiasty» — najduje się maleńka sentencyjka: «iż ten ktoby się tego ważył ma gardłem karany być, a za nawiązkę trzecia część wszystkiego imienia ma spaść na tę personę. A szkody któreby się przy takim gwałcie stały, za dowodem na dwóch częściach tegoż imienia mają być skazane» Owoż mosanie jest sęk nie lada, a chociaż o *gardziołek* nam nie chodzi, który i bez tego nowemi zmianami zabezpieczony; atoli za nawiązkę weźmiemy sobie od pana Mamerta, obecnie quasi jejmościnego zięciaszka, alias od jego czcigodnego tateńka, trzecią część imienia, jak ci prawo każe, tak naprzykład wed-

ług mojego rzetelnego wyrachowania Łojowice, Chmielną i Suboczyn, a prócz tego parę propinacyj lub jakiś maleńki kapitalik w dodatku i to tylko in vim nawiązki, resztę możemy zabrać w dochodzeniu szkód, jak to się detalicznie windykuje... tu sięgnął po papier do kieszeni.

— Ufam twéj znajomośći rzeczy — śpiesznie przerwała pani, przerażona retorycznym zapałem jurysty, który chowając na powrót papier, tak daléj prawił:

— I to tylko co się tycze pani interesu. A ów że nieszczęsny Szmulik tyle ucierpiał na szacownêm zdrowieczku i mieniu, a jego czcigodna magnifika i dziateczki, jak się okazuje z obdukcyi lekarskiéj, ciężki szwank na zdrowiu poniosły. Policzy się, dobrodziczko, policzy, co zaś będzie brakowało do zaokrąglenia sumki, możemy o to pociągnąć wspólników gwałtu, wszak jest ich szesnastu: prawda że siedmiu jak tureccy swięci, atoli dziewięciu można dobrze pociągnąć. Mostrongów chociaż gołych także nie zostawią w kozie, bo to burczymuchy, a jak się z czasem wyrwą to wspólnikom uszy za to poobcinać gotowi. Oj to huzarki, huzarki, a dla tego nie chciałbym aby się dowiedzieli, że ja w téj sprawie stawałem, czego jedynie przez szczególny affekt i szacunek dla Chorążyny dobrodziczki podjąłem się—Tu, rzecz ową długą nizkim pokłonem zakończył.

— Obawiam się jednak żeby Klocia, przez stosunki

Generałowéj, nie popsuła nam szyków — odezwała się Chorążyna.

— Mościa dobrodziczko, niema czego obawiać się takich stosuneczków romansowych i miłośnych. A jak ci prawo każe, nic tu nie pomogą nie tylko Generałowe, ale nawet sami Feldmarszałkowie wielkiéj armii — zawołał wesoło, uradowany z dowcipu prawnik — Wszystko zaś jak dotąd wyśmienicie się składa — dodał zacierając ręce — rybki w więcierzu, Szmulik kochany działa, skoro słoneczko zajdzie wychylę się dokąd potrzeba, a tymczasem jeszcze pareczkę pozewków spreparuję. — Domawiając tych słów, jurysta z kawalerską galanteryą ucałował rączki zacnéj klientki i wsunął się w oną szafę, po za którą ukrywała się jego tajemna komóreczka, fabryka gromów na obwinionych, i drzwi mocno zaryglował.

Ów pan Kadziubski był to owoczesny pokątny doradzca, coś niby z rodzaju jaki nam teraz unieśmiertelnił Anczyc w «Łobzowianach» pod charakterem Protazego. Na nieszczęście był człowiekiem dobréj nauki i wielkiego doświadczenia w swoim fachu, a chociaż jako procesowicz i pieniacz, wyrokiem Senatu od adwokatury był usunięty, wcale mu to nie przeszkadzało być, co do niéj, jeszcze czynniejszym potajemnie. W każdéj zawilszéj sprawie, strony jedna przed drugą dobijały się aby go mieć po sobie, on zaś w takim razie ukrywszy się za plecami innego

prawnika, działał skrycie, atoli szalę sprawiedliwości zawsze przeważył. A sam ów tajemniczy przemysł zniewalał go do przezornego zachowania się, iż czyhającym na niego jawnym spółzawodnikóm nigdy pojmać się nie dał.

Nikt nie wiedział gdzie przebywał i gdzie go szukać należało, atoli w razie potrzeby wyskakiwał jakby z pod ziemi i stawał po stronie, gdzie były lepsze szansy lub więcéj do zyskania. I teraz Kadziubski, nie zdradzając incognito, podszył się pod firmę jakiegoś młodego adwokata bez klienteli, jak zwykle czynił dla łatwiejszego kierowania swoim parawanem i utaiwszy swoję obecność za oną szafą, całą rzecz prowadził. Nie przewidując fortelu, strona przeciwna sprawę lekceważyła, a mając przeciw sobie słabe i niedoświadczone siły onego adwokaciny, była już pewna wygranéj.

Aresztowanie Mamerta nastąpiło podczas snu Generałowéj, a następnie zdziecinniała staruszka cała zajęta nowém cackiem zdobiącém jéj salony, Klocią, nie bardzo dopytywała się o synowca, którego nieobecność utaić przed nią nie było trudno. Lecz przez ukrycie za murem więziennym naraz tylu kwiatów towarzystwa, a bohaterów sławnéj wyprawy, rum wielki powstał między adherentami i adherentkami Generałowéj. Z początku chciano szturm przypuścić do serca i wspaniałomyślności Chorążyny; lecz Klocia po widzeniu

się z matką, oburzona jéj postępowaniem, postawiła ją za obrębem działań swojej koteryi i poniżać się przed nią nie chciała. Tak zaś biedną Klocię oplątał dziwny zbieg okoliczności, iż mimo najszczerszych chęci do wyswobodzenia męża przyczynić się nie mogła. Z drugiej strony uniewinnienie Mamerta i jego spólników trzymała w swém ręku i jedno to wyrzeczenie: «Byłam uprzedzoną o wykradzeniu, sen udałam, a następnie olśnił mię zbytek, działałam przez próżność» i t. d. fakt opowiedziany jakośmy przytoczyli, sparaliżowałby od razu wszelkie knowania komórki Kadziubskiego. Atoli podobna para słów zaledwie przecisnęłaby się przez usta jakiegoś Katona, podobne wyrzeczenie wielkiego zaparcia się jest nad siły ludzkie, a bardziej siły młodéj kobiéty, od któréj trudno wymagać podobnie skruszonéj spowiedzi, zdejmującéj urok z całego życia.

Nie wchodzi w zakres naszego opowiadania stawać w obronie owoczesnéj procedury karnéj, któréj nie wiem o ile słusznie, zarzucano wiele niedokładności. Przyznać to tylko należy, iż ówczesne sądy kryminalne na partykularzach, pozbawione szerokiego pola działań, a wertujące bezustannie jedne i te same karty prawa, nie były w stanie rozwinąć znakomitych zdolności i zdobyć rozgłośną sławę sądów wielkich stolic. Na prawdę, w tych naszych barbarzyńskich zakątkach, nie było bardziéj jednostajnego zajęcia nad

urzędników śledczych i sędziów kryminalnych: bo jeżeli sprawa o zajazd, to znaczyło że jeden worał się w miedzę drugiego; jeżeli o gwałt, to już co najwięcéj zabicie cudzéj świnki w szkodzie; kradzież, to jakaś tam kurka a najwięcéj szkapa; kiedy niekiedy zabójstwo przy pijatyce, i to dokonane na głowie już uprzednio trunkiem usposobionéj. Na sąd ekonomistów, wnioskujących o stopniu oświaty z ilości popełnionych występków, staliśmy bardzo nizko. O sprawach miłośnych raptów, a do tego skomplikowanych, słychać nie było; a jeżeli tam jaki parobek zawinił coś w podobnym względzie, to do sądów nie dochodziło,— a zwykle sam proboszcz, władzą św. Kościoła, małżeństwem sprawę zagodził.

Ztąd też biedni sędziowie, kręcący wiecznie to jedno kółko dziwnie nużącéj jednostajności, chciwi byli większych skandalów i skoro taka sprawa jak Mamerta nawinęła się, to zabawiali się nią jak kot myszą. W onym zaś grodzie cichym i skromnym podobna gratka, to jakby na minę złota natrafił. Wzięliż się sędziowe nie na żarty, a każdy ze swoim bodźcem gorliwości: jeden, jako ojciec dorosłych córek, z saméj zasady moralnéj brał to do serca; inny rad był popisać się jurysprudencyą pleśniejącą w bezczynności; a nie jeden rad że przerywał owo kryminalne ziewanie, spowodawane jednostajnością w występkach. Mniejsza o powody, lecz skutek onych smutnie oddzia-

ływał na obwinionych, którym według całej ścisłości prawa proces wytoczono.

Jakkolwiek srogo się wzięli do bohatérów wyprawy, zawsze to jednak była złota młodzież, synaczkowie bogatych, niektórzy już sami przez się bogaci; cała zatém sprawa silny ruch wywołała, zgromadzali się do miasta krewni, przyjaciele, a nawet i ciekawi; z siąsiednich grodów zwoływano biegłych prawników, a wszystko przeciw onemu skromnemu adwokacikowi, na którego jakby Duch Święty zstąpił, — gdybyż to wiedzieli o tajemniczéj szafie naszego Kadziubskiego?

Mamert, oceniając poświęcenie przyjaciół, z wrodzoną sobie szlachetnością rad cały ciężar winy na siebie przyjmował, byle ulżyć towarzyszom; przez to jedynie krewni i przyjaciele, z niemałą forsą zaledwie tyle dokazali, że wspólników winy Mamerta za porgką na wolność wypuszczono, wszakże z grodu wydalać się nie mogli. Sam zaś Mamert tymczasem w więzieniu pozostał.

Biedna Klocia, oszczędzając zdrowie tak do niéj przywiązanéj staruszki ciotki, od samego początku musiała zapanować nad rozpaczą i żalem i przyjmować udział w zabawach na cześć jéj urządzanych, co bez wątpienia czyniła z przymusu wdzięcznego serca; oddajmy i tę sprawiedliwość że z początku czarno ubierała się, co właśnie nie psuło effektu przy jéj jasnych warkoczach, do których (jak wyżéj cytowa-

ny Karr utrzymuje) kolor ten najstosowniéj nadaje się. A że we wszystkiém winno być stopniowanie, więc i strój coraz jaśniejszym się stawał, do czego i twarzyczka stosować się musiała; trudno bowiem kobiécie wielkiego tonu niewłaściwość wprowadzać do stroju — z drugiéj strony niepodobném było nie wysłuchiwać kondolencyi dobrych przyjaciół, bo bez nich jakaż na świecie pozostanie pociecha? — Przy tém wszystkiém, jako czuła małżonka, codzień wyszukała w niedostępnych murach więzienia jakiś wyłom i zawsze jakąś godzinkę poświęciła drogiemu więźniowi, heroicznie cierpiącemu dla jéj miłości. We dnie więc była pociechą więzienia — w nocy ozdobą salonów, a taka to była dzielna kobiécina, iż wszystkiemu podołała.

Rycerskie zabawy.

Jeżeli wolno przypomnieć, rozstaliśmy się z Ananyaszem Warchlakiem Gondziorkiem w chwili, kiedy zaprzysiągłszy na sztylecie wiśniówką Podsędka zmoczonym pomścić swoję ulubioną, popędził w pogoń z młodzieniaszkami, wskazanym przez Szmula śladem. W drodze imaginacya dostarczała im nowych poszlak do saméj granicy, przez którą przedarłszy się, zjeź-

dzili znaczną przestrzeń Galicyi — aż pod Lwów. Tam dopiero doszły ich pewniejsze wieści o sprawcach gwałtu, a w skutek tego po prawdziwych już śladach do Żytomierza dotarli.

Nim rozwiniemy dalszą działalność Ananyaszka, przyznacie sami, że dotychczasowy kawalerski animusz tego bohatéra zniewala nas do zabrania z nim bliższéj znajomości. — Gorszcie się jeżeli ochota, a ja powiem swoje, że ów sztyletowy bohatér Gondziorek należał do rzędu anomalii, wytwarzanych przez uczęszczanie dzieci zamożniejszéj szlachty do szkół wyższych. Owoż właśnie był czas, kiedy szkoły wyższe u panów, a raczéj paniczów, w modę wchodzić poczynały. Nie tak to dawno jeszcze, jeżeli jakieś magnackie dziecko otarło się o liceum lub uniwersytet, a do tego przez traf szczególniejszy schwyciło stopień, oglądano je niemal za biletami, jak ciele o sześciu nogach, lub doszukiwano się jakicheś osobliwszych znaków — co najmniéj rogów na głowie. Chowaj Boże, ażebyśmy mieli powstawać przeciw tak upragnionemu rozpowszechnieniu oświaty; a mowa tu tylko o jednéj kascie, liczącéj posiadłości ówczesnym zwyczajem na ilość *dusz*, a może dla tego mniéj dbającéj o tę jedną swoję własną, iż przy sprzedaży żadnéj cyfry nie przedstawiała.

Kto znał owoczesne szkoły wyższe, zapewne pamięta ów ich podział na kasty ubogą i bogatą czyli, po-

zwólcie tak się wyrazić, na ludzi *gryzących* i *liżących* naukę; a nie dziw, gdyż bogatym służyła ona na przechwałę do wielkich salonów, lub była podstawą fanfaronady—dla tamtych zaś przyszłością i chlebem powszednim dla siebie, a często i swoich.

Nie bez racyi starożytni filozofowie odosobniali swoje szkoły od świata i pychy jego, szkoda że ich przykładu potomność nie naśladowała. Tacy bowiem paniczykowie, przez próżność rodziców utrzymywani na wyższéj stopie, a jako in spe wielkie partye matrymonialne, mający wstęp do modnych salonów, obudzali zawiść w onych biedakach jak nazwaliśmy gryzących mądrość, a co zgubniejsza iż obok tego wyradzała się, w niejaki sposób, cześć bałwochwalcza dla onych młodziuchnych złotych cielątek. Ztąd powstawało uniżenie biedniejszych przed możnymi i z ławy szkolnéj w świat z nimi wędrowało. Panicze po szkołach już tworzyli sobie na małą skalę koterye, sejmikowe partye, gonili za wziętością i popularnością; a w tych niedowarzonych głowach za wcześnie już kiełkowały z jednéj strony pycha i zarozumiałość, a z drugiéj służalstwo. Tak to bywało przed pewnemi laty, a dzisiaj z radością powiemy, iż nie masz prawidła bez wyjątku.

Wprawdzie Gondziorek był to pacholik nie bez zdolności, i gdyby los go był rzucił w oną kastę *gryzącą* naukę, możeby z czasem wyszedł na człowieka.

Lecz w urojonéj pysze rodowéj wykołysany i nią wykarmiony, a na nieszczęście otoczony rodzeństwem upośledzoném od natury, od dzieciństwa poczytywał się za fenixa; obwołany zaś w okolicy cudownem dzieckiem, rósł razem z zarozumiałością, a raczéj ta o wiele go przerastała. Liznąwszy coś mądrości, w miarę ile jéj było potrzeba dla imponowania wielkim salonom i według arabskiego poety, do *otwierania ust podziwu* babkom, ciotkom i sąsiadkom,—krótki pobyt w wyższéj szkole poświęcił na sformowanie sobie koteryi i zdobycie popularności. Na tém ograniczył swoje wykształcenie. A że, jako przyszły władca licznych dusz chłopskich, używał nieograniczenie lichwiarskiego kredytu, zatém miotał pieniędzmi, lekko zdobywanemi przez wystawianie pewnych znaków na papierze. Wreszcie rozpustował, grał w karty — słowem robił to wszystko, czemu wtenczas wielu starszych od niego, a na pozór statecznych ludzi, lubiło się oddawać.

Ananyaszek na przemian bawił się w arystokratę, demokratę, demagoga i t. p., a każdą rolę wedle potrzeby przyjmował i jako tako odegrywał. Jak ów nieszczęsny aktor jarmarkowy, przerzucający się kwoli chleba z bohatéra w trefnisia, Ananyaszek to ogłaszał w pismach czasowych jakieś świeżo wykryte historyczne prawdy o świetności rodu Gondziorków, to znów wyprowadzał pochodzenie swoje z gminu, — wszystko

mu było dobrém, byle z powierzchowności czy też we względzie moralnym nie być tém, czém go Bóg stworzył; owoż dla tego — raz przywdziewał chłopską siermięgę, to znów rozmaite stroje różnych narodowości. Że zaś z natury był tchórzem podszyt, najchętniéj zabawiał się w srogiego wojaka, przedsiębiorąc jakieś urojone donkiszotowskie wyprawy, zwyciężał w nie byłych pojedynkach jakicheś *anonimów*, lub na przemian chromał od ran przez nich zadanych, i w ten to sposób, prawie od dzieciństwa, *przez imaginacyą jeżdżał na koronacyą*.

Nie raz szczerze pożałowałem tych męczenników udawania, wiecznych aktorów na scenie świata, którzy bez celów i zamiarów, poświęcając całe życie komedyi, wytężają ostatnie siły umysłu na to jedynie żeby nie być tymi, jakimi są w istocie. Jedyną ztąd korzyścią, zdobytą przez wysiłek i ciężką pracę, bywa czasem do niczego nie prowadząca chwilowa impozycya gawiedzi. Toż i Ananyasz skupił koło siebie zastęp wielbicieli swojéj wielkości, a składali go prześcignieni spółzawodnicy lub biedniéjsi szkolni koledzy, przeważnie trzymający się kieszeni koryfeusza,

Czy kochał Klocię Gondziorek i jak ją kochał? nie umiemy wyrzec stanowczo; każde bowiem twierdzenie jest niepodobieństwem z ludźmi tego rodzaju, którzy nawet i do pacierza kłamstwo wmieszać potrafią. Atoli po wykradzeniu jéj i trzykrotnéj przysiędze, wypadało Ananyaszkowi jakiś krok stanowczy przedsię-

wziąść, a otoczających zwolenników zadziwić. — Sprawa to była nie łatwa, gdyż na czele partyi przeciwnéj stali Mostrongowie, nalężący do rodzaju ludzi (nie wiemy czy sprawiedliwie odważnymi zwanych?), gotowych w każdéj porze dnia i nocy na wszelką burdę, pojedynek i t. p. Męczyło niepomału rycerskiego Gondziorka, że mając podobnych adwersarzy przed sobą, jakoś mu brakło animuszu do stanowczego wystąpienia, które ile możności zwlekał, — a tymczasem żeby nie stracić wziętości u swoich, udawał że dzielnie sprawę Chorążyny popiera, przez co nieborak biedy sobie napytał; ponieważ przy zręcznie ukrytéj komórce Kadziubskiego, a wątpliwéj zdolności onego adwokacika, strona przeciwna z łatwością uwierzyła, że on to jest główną sprężyną, silnie poruszającą machinę kryminalnego procesu.

Chociaż kółko młodzieniaszków wiele oczekiwało od swojego koryfeusza, i wyglądało z upragnieniem chwili wprowadzenia w ruch zapasu sztyletów, krócic, trucizn i t. p., w które bohatér za granicą zaopatrzył się; lecz on w oględności swojéj pojął dobrze iż miał uszy, które podsuwać siarczystym Mostrongom nie koniecznie było bezpiecznem. Wolał zatem odgrażać się po kątach i szukając niby przygody, starannie jéj unikał; tymczasem zaś wspierał odwagą i pocieszał poświęceniem bez granic prawującą się matkę swojéj jedynéj, która powitała go jako istną opa-

trzność, gdyż owe oberznięte Szmulowe dukaty już się wyczerpały, — a Gondziorek jako panicz pełen kredytu, był w możności zasilić ją nowym zapasem.

Do jakiegoś czasu, dla obu nieprzyjacielskich obozów, wszystko pięknie ułożyło się i trwać by tak mogło jak najdłużéj, gdyby nie małe miasteszko posiadające własność dźwięcznego instrumentu, który szeroko tony roznosi; doleciały też one do Mostrongów, którzy jako lwy ryczące, oddawna już szukali uszu do obcięcia, a takowe jak na złość, jakoś im się nie nawijały; z jednéj bowiem strony za cel zemsty przedstawiała się im Chorążyna, kobieta bezbronna, wyłączona z pod pałaszowego prawa, — z drugiéj równie słaby adwokacina, ów parawanik Kadziubskiego, dający się co do zemsty oznaczyć przysłowiem: *gra świécy nie warta.*

Dwójka żołędna.

Razu pewnego kiedy Gondziorek, otoczony zwolennikami, ostrzył sztylety, czyścił krócice i t. p. czynności rycerskie odbywał, któremi zabawiał się chętnie, a wszytko kwoli rychłemu zniszczeniu Mostrongów i spółki, — drzwi rozwarły się z łoskotem, dając szerokie przejście obu braciom huzarom, którzy

korzystając z dosłyszanych pogróżek Gondziorkowych, co prędzéj w czyn je zamienić pragnęli — jak zwykle huzarzyska niecierpliwi i gorąco kąpani.

Na ten widok mało spodziewany, pobladł biedny Gondziorek, a nóżęta które na ten raz zapomniał według zwyczaju wznieść na paluszki, drgać mu zaczęły. Szczęściem, że dla poprawienia rozprzęgającéj się całości włosy mu się najeżyły — a jak przypuszczali zwolennicy, z odwagi, bowiem wszystkie te oznaki na karb kawalerskiéj sierdzistości i męzkiego zapału policzyli. Tymczasem Gondziorek, drżącemi wargami, jak mógł wybąknął:

— Szczęśliwy jestem że mogę powitać u siebie przezacnych panów majorów dobrodziejów — (uważał za stosowne awansować braci). Czémże mogę mieć zaszczyt im służyć? — dodał jak umiał najsłodziéj, przysuwając krzesła. Z tego początku zwolennicy dobrze sobie tuszyli, upatrując tu rycerską wspaniałomyslność i kawalerską galanteryą względem przeciwników, których śmierć czeka niechybna.

Na onę słodziuchną apostrofę gospodarza, Mostrong 1-mo podawany przez niego stołek z wyrazem niechęci odsunął. Jak to już wspomnieliśmy, bracia Mostrongowie mieli każdy swój wydział: we wszech sprawach prowadzonych na ostro, nie wymagających dyplomacyi i osobliwszéj taktyki, Mostrong 1-mo jako gorętszy i szybciéj dążący do końca przewodniczył, i

on to właśnie, po owém odtrąceniu niewinnego stołka, tonem od złości ochrypłym rzecz zagaił, a w odpowiedź na uprzejmość gospodarza wyryczał:

— Usłużysz nam, młokosie, twojemi uszami, bo pono odgrażasz się, że po nasze chcesz sięgnąć, a więc obaczymy czyje mocniéj do łba przyrosły. — Po téj apostrofie młodzi zwolennicy rycerza nagle znaleźli się opodal i mieli się jakoś ku piecowi, szafom i t. p., snadź było im nie z miodem. Biedny Gondziorek rad nie rad, sam na środku pozostał i coś tam bąkał piąte przez dziesiąte:

— Napadacie mię panowie w moim własnym domu.

— A co to mosanie za napad, nie jesteśmy zboje ani rabusie — odparł Mostrong 1-mo, a dobywając z pod płaszcza dwa pałasze, zwrócił się do brata:

— Niech no brat dobrodziéj da pistolety, może mu lepiéj do smaku przypadną? Mostrong 2-do, zadość czyniąc wezwaniu brata, parę pistoletów złożył na stole. Gondziorek zaś, siląc się na zdobycie o ile tyle przytomności, ozwał się cichym głosem:

— Jeżeli to jest wyzwanie, to winienem przypomnieć, że według praw pojedynkowych, nikt wyzwania osobiście nie przynosi. Do rozprawy musimy mieć sekundantów.

— Mnie pan brat sekunduje, a dla asindzieja spodziewam się dość będzie tych ichmościów, co się

tam z daleka trzymają — przerwał Mostrong 1-mo nie zniżając głosu — Musimy mieć satysfakcyą! A chcesz waść na dwa kroki? to dobrze, na jeden? to jeszcze lepiéj, na pałasze czy szpady? to mi wszystko jedno! — Każdą zaś propozycyą, w miarę jak wymawiał, stosownym gestem uwydatniał, a coraz bliżéj Ananyaszka napierał, tak że i ten miał się już ku piecowi i zwolennikom. Nagle jednak wróciwszy na środek, chłodnąć i przytomniéć zaczynał, a jakaś myśl jakby mu zaświtała w głowie i wróciła nieco otuchy — ów zaś dyszkancik tchórzowski podniósł oktawą wyżéj i tak prawił:

— Skoro panowie podajecie ostre warunki, ja jako wyzwany mam prawo bardziéj je obostrzyć,—zatem proponuję nowego rodzaju pojedynek.

— Co, może wenecki na sztylety? — przerwał Mostrong 1-mo postrzegając na stole Gondziorkowy arsenał — i owszem, chociaż go jeszcze nie praktykowałem, atoli rad jestem z okazyi. — Po tych słowach chwycił ze stołu piérwszy lepszy sztylet i stanął w pozycyi. Biedny Gondziorek sam nie wiedział co począć z takim przedsiębierczym huzarem. Wszakże i w Ananyasza wstępował tymczasem jakiś animusz, o tyle już nawet rosnący iż podniósł go na paluszki, a pomimo że był tchórzem podszyty, lecz jako chytre chłopię, tak się odezwał:

— Ja tedy mam honor proponować panom pojedynek neapolitański.

— Czy to niby coś w guście owych summ neapolitańskich? — wtrącił Mostrong 2-do, który dorównywając bratu odwagą, nie tracił zimnéj krwi i miewał swego rodzaju dowcipy.

— Wszystko mi jedno, neapolitański, marokański, tunetański, szatański, przyjmujemy każdy, to jest ja i pan brat, byle się bić i to na ostro—podchwycił ciągle zapalony Mostrong 1-mo.

— Owoż ten pojedynek zależy na losowaniu, a komu los przeznaczy, ten sam sobie życie odbierze — przemówił prawie śmiało Ananyasz.

— Co też pan pleciesz? to jest chyba samobójstwo, nie mogące mieć znaczenia pojedynku, nadto zaś jest grzechem sciągającym wieczne potępienie — przerwał oburzony Mostrong 2-do, jako religiant w swoim rodzaju, choćby przez samo już obcowanie z kolegą księdzem-huzarem.

— Chociażby i tak nawet, przyjmuję, a jeżeli to grzech jak pan brat twierdzi, to z tym warunkiem że jak los na mnie padnie, każę memu kamerdynerowi żeby mię zastrzelił, a w ten sposób to już nie samobójstwo i grzechu niema. Przyjmuję! — wrzasnął zapamiętale Mostrong 1-mo. Brat jego jednak ciężko się nad tém zasumował, a chociaż był człowiekiem powszechnie

znanym z męztwa i determinacyi, — lecz jeżeli, jak mówi nasz nieśmiertelny bajarz,

«Bardzo się to często zdarza,
Bywa kuglarz nad kuglarza» —

dla czegoż nie mógłby się zdarzyć odważniejszy od odważnego; nie bierzcie więc za złe Mostrongowi 2-do, że pobladł nieznacznie.

— Ależ moi panowie — odezwał się z perswazyą — każdy pojedynek nawet najostrzejszy, w którym śmierć od przeciwnika zadana, pojmuję i praktykować bym gotów chociażby w téj chwili; lecz na podobne szaleństwo, ażeby zamieniać rozprawę honorową na samobójstwo, zgodzić się nie mogę.

Tymczasem przestrach Gondziorka nieznacznie ustępował i ślady przerażenia powoli znikały z twarzy, która natomiast przybierała wyraz jakiejś szatańskiéj złości; bowiem Ananyaszek był to pacholik zły w gruncie, a rad poniżeniem bliźniego podwyższał się, i teraz szyderczo z pewną impozycyą, odezwał się:

— Zatém wszystko proponowane dotąd przez panów dobrodziejów było rozsądném. Nie rozumiem dla czego moja propozycya ma być szaleństwem? Na ostatek jeżeli już rzeczy tak stanęły, decyzya ostateczna zostaje przy sekundantach, prawo zaś obostrzenia pojedynku za ich zgodą stronom przynależy. Oto jest mój sekundant hrabia Narwański. — Domawiając tych słów, wyciągnął z kąta jednego z przerażonych zwolen-

ników i przemocą prawie, po środku pokoju na drżących nóżkach postawił, a zwracając się do niego dodał:

— Cóż ty Edziu na to? Do ciebie należy ostatecznie zawyrokować.

— Aha.. tak.. zgadzam się.. — wybąknął napół żywy młokos.

— Co to mosanie długo deliberować, żaden Mostrong nie cofnął się jeszcze — zakrzyczał brat starszy, a zwracając się do Gondziorkowego sekundanta, ciągnął dalej tonem komendy:

— No, cóż waszeć stoisz jak wkopany, skoro zdeklarowałem się. Masz oto parę pistoletów nabitych i to ostro, wykręć jeden nabój w przyległym pokoju, potém złóż oba pod chustkę, a każdy z nas wyciągnie do łba przyłoży i basta.—Rzecz nie dziwna że Gondziorek, podczas téj przemowy, powoli zaczął powracać do pierwotnego stanu tchórzostwa i nóżki drżące na piętach stanęły.

— Panie bracie, już to ze wszelkich konsyderacyj wynika, iż ja piérwszy powinienem stanąć — ozwał się półgłosem do brata Mostrong 2-do.

— Słuchajno braciszku — odparł tamten — w wyprawach któremi dowodzisz, cicho się zachowuję, tu zaś przy mnie komenda. A na wypadek, jeżeli ją po mnie obejmiesz, to już jak ci się podoba.

Mostrong 2-do jakby przekonany zamilkł i wypro-

stował się, tak coś po wojskowemu. Po czém — bez zasposobionych naprzód jakichściś oznak czułości — ręce dwóch braci wiarusów splotły się w niemym uścisku, a jakoś tak na siebie poglądnęli, iż gdybyś nie wiedział jak od dzieciństwa we wzorowéj żyli zgodzie, to w oném wzajemném spojrzeniu odgadłbyś to niezawodnie. Owo braterskie rozczulenie trwało jedną króciutką chwilę i wcale nie osłabiło energii Mostronga 1-mo, który widząc skamieniałość sekundanta młodzieniaszka, odezwał się do brata:

— Pomóż proszę cię panu do urządzenia tego pojedynku. Ha! kiedy po neapolitańsku, niech będzie po neapolitańsku — zakończył rubasznie.

Gondziorek, z wielkim wysiłkiem wytrzymujący tymczasem swoję przelotną junakieryą, nagle chwycił do rąk karty, któremi bohatérowie w czasie wolnym od zatrudnień rycerskich zabawiali się, a rozpostarłszy je na stole, jak zwykle czynią przy rozpoczęciu gry, śpiesznie zawołał:

— Do czego tyle ceremonii? Możemy losować tak: najmłodszą kartę, stosownie do stopniowania kolorów w preferansie, będziemy uważali za los szczęśliwy, kto zaś wyciągnie starszą kartę, żyć natychmiast przestanie. — Po tych słowach skwapliwie do kart wyciągnął rękę, którą zatrzymując Mostrong młodszy, odezwał się:

— I na to zgoda, lecz ponieważ rzeczą jest sekun-

dantów czuwać nad usunięciem wszelkich podejrzeń, zatém proponuję ażeby ciągnący losy przystępowali do tego z zawiązanemi oczyma — dobywając zaś chustkę z kieszeni, rzecz zwrócił do Narwańskiego :

— Pan dobrodziéj, jako sekundant strony przeciwnéj, zechcesz tę usługę oddać memu bratu, ja zaś... —Po téj niedokończonéj mowie, skłonił się uprzejmie Gondziorkowi i gestem ukazał mu co uskutecznić zamyśla. Ten Mostrong 2-do był gracz na różne sposoby, a nawet i karty nie były mu obce. Czyli ten nowy rodzaj losowania wprawił go w podejrzenie, tak iż przeciw niemu wybieg wynalazł, lub upatrywał w tém nieczystą sprawę? — trudno powiedzieć; atoli to pewne że po zawiązaniu oczów Ananyaszka, nóżki jego, dotąd starannie podniesione do możliwéj wysokości na palcach, nagle opadły i widocznie wymawiały posłuszeństwo. Nie godzi się posądzać Gondziorka, ażeby miał wypatrzéć sobie, przypuśćmy, tuza winnego, lecz jako gracz namiętny mógł ufać w szczęśliwą szansę, któréj rozważny Mostrong 2-do zapobiegał. Jak było, twierdzić na niepewne nie godzi się, to jednak pewna, że propozycya zawiązania oczu odebrała bohatérowi resztki odwagi.

Panicze z za szaf i pieców jeszcze nie wysuwali się i sam Narwański przemocą postawiony na widowni, oparty o stół, trząsł się jak w febrze a był napół martwy. Zaiste przerażający był to widok niepraktyczny-

kowanej gry o życie. Wszakże Mostrong 1-mo stał spokojnie z zawiązanemi oczyma, a z zimną krwią i pewną ręką, niedbale dokonane ich przez Narwańskiego zakrycie, sam sobie drugą chustką poprawił. Brat zaś, pokrywając przerażenie i smutek grobową powagą, wielkim był i godności pełnym w tej stanowczej chwili, — rzekłbyś, posąg z pięknego marmuru, w który twórca wcielił myśl *smutnéj konieczności*. Co do zaszafowych i zapiecowych młodzieniaszków, tych wyłączamy z obrazu, jako w niekorzystném postawionych świetle.

— Nie mamy powodów do przedłużania naszéj smutnéj czynności, a więc do rzeczy, proszę panów losować — przemówił Mostrong 2-do głosem pewnym, w którym przebijało się może jakieś drzenie, lecz je ledwie serce braterskie dosłyszéć mogło. Widząc zaś iż Narwański pozostawał jak wryty na miejscu, wziął rękę Gondziorka przysunął do kart i odezwał się:

— Proszę brać kartę.

Gondziorek siłą prawie przyciągniony do stołu, z konwulsyjnem drzeniem w kupkę kart rękę zapuścił, tak iż wiele z nich spadło na ziemię; przebierał potém jakby czegoś doszukiwał się, nakoniec schwycił kartę, a nie doczekując losowania przeciwnika szepnął niespokojnie do sekundanta:

— Narwański, co to jest?

— Dwójka żołędna — wybąknął, ciągle przestraszony, sekundant.

— Uf! — odetchnął pełną piersią bohatér, zapewne obliczając w myśli, iż z reszty szans pięć tylko przeciw niemu pozostało t. j. cztery tuzy i dwójka winna. Tymczasem Mostrong 2-do, spełniając do reszty smutną powinność, ujął rękę brata, niewidomie a serdecznie ją uścisnął i na kartach położył. Mostrong 1-mo niedbale piérwszą lepszą kartę wyciągnął, którą brat jego, nie oglądając uprzednio, Narwańskiemu podał.

— Co tam jest? — szepnął niespokojny Gondziorek do sekundanta.

— Tuz czerwienny — odpowiedział bezmyślnie zastraszony Narwański.

Następnie Mostrong 2-do rozwiązał graczom oczy. Co czuł, nie wiadomo? — lecz na przywykłém do ukrywania wrażeń obliczu nic nie zdradził; samo bowiem rycerskie poczucie zniewalało go do ukrycia radości z szczęśliwego losu dla brata, a jako człek bywały we wszystkiém miarkować się umiał.

Nie było czasu rozpatrzéć się, co się działo z bohatérem Gondziorkiem, do którego natychmiast Mostrong 1-mo przystąpił, a drżącym głosem przemówił:

— Słuchaj szlachetny młodzieńcze, ja który mógłbym być twoim ojcem, a nawet dziadkiem, nie przebaczę sobie iż, jako stary wyga, przyjąłem tę nie-

wczesną propozycyą, zamiast posłuchać rozsądnych przełożeń pana brata, upominającego nas nawet i z chrzescijańskiego stanowiska. — Daléj zaś ciągnął prawie ze łzami:

— Ty masz starą matkę, młodość przy sobie a przyszłość przed sobą, ja zaś stary weteran, samotny jakby na straconéj wedecie i koniec mój tak czy owak już nie daleki. A ponieważ każda sprawa honorowa, ażeby w pośmiewisko się nie obróciła, winna złożyć ofiarę, ja więc jako stary i nie na wiele przydatny, będę tym kozłem ofiarnym. Nakoniec jam tu jeden przewinił, dałem powód, zrobiłem burdę, i słuszna żebym sam odpokutował — a zatem zaklinam cię, chciéj ze mną zamienić kartę.

Po tych słowach, z kartą w ręku przystąpił do Gondziorka, który nieruchomy jak posąg, swoję kartę ściskał konwulsyjnie i prawie znaku życia nie dawał. Szczery i poczciwy huzar, przypisując to zachowanie się przeciwnika silnemu postanowieniu i skupieniu ducha przed stanowczą chwilą, tak daléj mówił, a z trwogą i błagalnym głosem:

— Zaklinam cię na wszystko najświętsze, nie spełniaj niegodziwego i grzesznego zamiaru, który spadnie na moją nieszczęsną duszę, zgniecie sumienie ciężarem do nieźniesienia i przekleństwo twojéj staréj matki ściągnie na moję głowę, wiekiem już pochyloną. Chcesz zadość uczynienia? przeproszę cię publicznie,

bom zawinił, napadając cię w twoim własnym domu, uderzę przed tobą tém siwém czołem, które nie dojrzało do należytéj wiekowi rozwagi. — To mówiąc szczęśliwy gracz o życie, zaledwie od łez wstrzymał się.

Gondziorek, na którego przytomni nie zwracali uwagi, tak ich ta szlachetna i serdeczna mowa zajęła, gniótł tymczasem ową nieszczęsną dwójkę i tylko kiedy nie kiedy, przy podniesieniu głosu starca, potrząsł machinalnie nieprzytomną głową. A nazwaliśmy Mostronga 1-mo starcem, bo w rzeczy samej nie poznałbyś obecnie owego, przed chwilą jeszcze krzepkiego przewódzcę burd i swawoli huzarskich, którego jeżeli przypominacie, przy wykradaniu Kloci, brat młodszy powagą dowództwa musiał hamować, tak go zmieniła ta jedna chwila nierozwagi i popędliwości. Do rospaczy prawie doprowadzała go nieugiętość i jak przypuszczał, stałe postanowienie przeciwnika, którego już z innej strony zachodził:

— Pojmuję, zacny młodzieńcze, twoję odwagę i poczucie obowiązku honoru; wszakże bez urażenia téj delikatnej strony, możemy złemu zaradzić, fakt ten nieszczęsny, wynik mojéj zapalczywości, uważajmy za nie były, naszą zaś urazę, zajście czy jak chcesz rozumiéć, puśćmy na losy walki; atoli walki równej, jaka honorowym i statecznym ludziom przystoi, a nie szalonéj i występnéj, jaką przed chwilą

rozpoczęliśmy. Wybierz broń, oznacz czas i miejsce, a spotkamy się z sobą; w tym celu możemy udać się w jakieś ustronne miejsce, lub jeżeli wola, tu zaraz w téj chwili. Z góry przyjmuję wszelkie warunki, byle nie takie jak te ostatnie, co obciążają sumienie uczciwego człowieka.

Gondziorek przez ten czas, trzęsąc zsiniałemi wargami, stał osłupiały i słowa nie przemówił. Mostrong 2-do z swojéj strony propozycyą brata co do zamiany pojedynku gorąco popierał. Młodzieniaszkowie zaś widząc się niejako na stronie i czując, że ich pargaminom grzbietowym nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, powysuwali łebki z za pieca, a ciekawie przyglądali się téj scenie. Wszyscy w niemałym znajdowali się kłopocie, co mają począć z tym niby posągowym bohatérem, który wszakże po niejakim czasie, wstrząsnął głową, najeżył włosy, nawet nieco wzniósł się na paluszki i głos jaki taki wydobywając, z następną ozwał się sentencyą.

— Każde zobowiązanie honorowe winno być niecofnione i nieodwołalne, zatém proszę jedynie o miesiąc zwłoki dla załatwienia niektórych ważnych spraw. — Co zmówiwszy, powoli zaczął wracać do przytomności i zwykłą bezczelność odzyskiwał.

— Masz zwłokę nieograniczoną — zawołał uradowany Mostrong 1-mo, przyciskając przeciwnika do serca — a tymczasem opamiętasz się, lub może jaki

mądry spowiednik przedstawi ci całą okropność tego grzechu, przez co zdejmie wielki ciężar z mojego sumienia — A powtarzając uścisk dodał — pozwól tedy zacny młodzieńcze, że z zaciętych zapaśników, zostaniemy przyjaciółmi do śmierci.

— Na krótko! — wymówił Gondziorek uroczystym, pozaświatowym głosem, jakby cień matki rodu Dobratyńskich na jarmarkowej scenie, a stanąwszy na koniuszkach palców, włosy niemal pod sufit najeżył. Poczciwi huzarzy złowieszcze to proroctwo serdecznym uściskiem zagłuszyli, po czém Mostrong 1 mo, zwracając mowę do młodzieniaszków, odezwał się:

— A panów dobrodziejów upraszam o zobowiązanie się słowem honorowém do zachowania w tajemnicy tego niewczesnego wystąpienia, które nie przystoi moim siwym włosom.

Młodzieniaszkowie przekonawszy się, iż osobiście im nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, powyłazili byli z kątów i zaczęli podnosić długie uszy uwielbienia na cześć bohatéra; lecz na ów grom głosu Mostrongowego do nich wymierzony, poczuli na nowo mrowię, przebiegające po skórze i powtórnie skierowali się ku piecowi i szafom, z za których żadaną przysięgę złożyli.

Jeszcze raz ponowiły się między przeciwnikami oświadczenia przyjazne. A chociaż Gondziorek nie odstępował od fatalnego zamiaru, a odroczył go tylko,

szlachetny jego przeciwnik tém się pocieszał, iż czas, wielki lekarz, ostudzi ów zapał rycerski. Trudno wystawić, jak po odejściu Mostrongów, młodzieniaszkowie odważnie wyfrunęli z kątów na środek, jak pochwyciwszy sztylety i broń rozmaitą, miotali obelgi na huzarów i grozili podwojom za nimi zawartym. Nakoniec z jakiém namaszczeniem i skupieniem rycerskiego ducha, przyjmowali mowę bohatéra, zapowiadającą krótki jego pobyt między nimi.

Chociaż młodzieniaszkowie uroczystą przysięgą przed Mostrongami, zabowiązali się do zachowania tajemnicy, a przypuszczać należy że kawalerskiego parolu dotrzymać byli powinni, trudno więc pojąć w jaki sposób gruchnęła o tém pogłoska po miasteczku i obiła się o salony Generałowéj, spragnione oglądać i podziwiać rycerza, już prawie nieboszczyka. Sami zaś bracia huzary, osobliwie Mostrong 1-mo dręczony wyrzutami sumienia, starali się oderwać przeciwnika od zbrodniczéj myśli i wprowadzili go do domu téj pani.

Naraz na horyzoncie salonu, obok jasnej gwiazdy Kloci, zabłysł nowy jakby przelotny meteor, zagrożony upadkiem — bohatérski Gondziorek. Klocia i Gondziorek wzrastając razem od dzieciństwa jako jednoletni, niegdyś w dwóch linijach jeszcze pisywali do siebie miłośne liściki. Lecz każdemu wiadomo, jak w danym czasie dziewczyna wyprzedza chłopca dojrza-

łością, a kiedy ten bez myśli i celu goni jeszcze za wrażeniami, ona spoważnieje nad wiek, a całą poezyą życia i marzenia młodości zanurzy w trosce o przyszłość, jak dotąd zawartą dla kobiéty w tém jednem pojęciu: małżeństwo, po za które myślą nawet sięgnąć jéj nie wolno. — W ten sposób rozwiały się dziecinne uczucia Kloci dla Ananyasza i może poszłyby w niepamięć, gdyby nie to, że obecnie ów piérwszy cel uderzeń niewinnego serca dziewczyny zolbrzymiał nagle na bohatéra, i z własnéj woli dla swego ideału na smierć skazany, spełniał nadludzką ofiarę.

Klocia, od pojawienia się Gondziorka na salonach Generałowéj, pod pozorem migreny lub niedyspozycyi, rzadziéj już zaczęła szturmować do murów więziennych, po za któremi jęczała inna ofiara jéj miłości; natomiast zaś nowego bohatéra otuliła uczuciem, jakby przez nie chciała go przed niechybną śmiercią zasłonić. Czyli na woskowém sercu, dwunastoletniéj niegdyś dziewczynki, czas nie zupełnie zatarł dziecinne wrażenia? Co tam się działo w tém sercu, ktoż powie? Może to była tylko chwila kaprysu lub próżności? Zawsze dla szczęśliwego Ananyasza była to jedna z tych chwil uroczych, za którą nie jeden z wielbicieli przecudnéj Kloci, z odwagą i zaparciem siebie, chętnie sięgnąłby po oną dwójkę żołędną, chociażby nie miesiąc, a godzinę tylko takiego upojenia przyszło życiem opłacić.

Zeszłowieczny szlachcic.

Ani się domyślacie, jakie to trudne zadanie wszrubować do współczesnéj powieści skromną i cichą postać zeszłowiecznego szlachcica? Jak obok świetnych, błyszczących i szumiących bohatérów, dziką wyda się podobna osobistość, któréj życie upływało między dwoma skibami? To zadomowane subjectum, szukające u stóp ołtarza uciech i wrażeń, za któremi my tak rączo gonimy po świecie, a celu życia w spełnieniu obowiązków chrześcijanina i obywatela, niewinnéj zaś rozrywki w skromnéj pogadance, przy ognisku domowém, z takim jak sam gospodarzem sąsiadem lub księdzem proboszczem.

Owoż w kilku słowach mamy zamiar skreślić portret ojca naszego bohatera Mamerta. Karty dziejowe takiego ojca, do końca księgi żywota, dwoma wyrazami zapisane: *praca* i *modlitwa*; a jeżeli kiedyś, na jednéj z początkowych stronic, stały jakieś świetniejsze litery, to dziś już tak wybladły że je wyczytać nie można. Ten ojciec był za młodu dzielnym towarzyszem jakiejś chorągwi, lecz późniéj skoro osiadł na znacznéj ojcowiźnie i ożenił się, sąsiedzi mieniąc być tytuł prostego towarzysza nieodpowiednym majątkowi i powadze, zamianowali go panem Prezesem.

Wiadomy bowiem dziwaczny kaprys naszéj mowy, iż nie godziło się szlachcica osiadłego, a szczególniéj możniejszego, nazwać własném mianem, a należało dać mu jakiś tytuł chociażby zmyślony, jeżeli nieposiadał rzeczywistego. Nie rozumiem, jak to pogodzić ze znaczeniem, jakie szlachectwo u nas miało? — lecz że tak działo się w istocie, więc za przykładem sąsiadów, nowego naszego znajomego zwać będziemy panem Prezesem.

Z tego co się rzekło, widzicie że Prezes nie zdał by się na bohatéra romansu, chociaż rzadkiém był w swoim rodzaju zjawiskiem: prawdziwy magnat co do majątku — cichym i pokornym szlachcicem był w duchu. Widzieliśmy jak wspaniałomyślnie postąpił z jedyną siostrą swoją, Generałową, — taka też hojność i uczynność cechowały jego stosunki nie tylko z rodziną, ale i z dalszymi; ztąd zyskał ogólny szacunek i wziętość w okolicy, do któréj przyrósł nie samym tylko duchem, ale i ciałem,—a prócz kościoła poblizkiego miasteczka, reszta świata była dla niego terra ignota. Zatém taki żywot jak Prezesa, pomimo wysiłku imaginacyi powieściopisarza, nieda się rozwałkować na dramatyczne sytuacye i romantyczne niespodzianki, radzi więc nie radzi, zamkniemy go w kilku wyrazach:

Prezes w danym czasie, pojął za żonę bogobojną i poczciwą szlachciankę, z którą dochował się licz-

nego potomstwa, bo aż siedm córek i jednego syna, naszego znajomego Mamerta. Następnie zgon zacnéj towarzyszki ciężko opłakał, jéj zaś pamięć zawsze pielęgnował w swojém czułém sercu. Córki po dojściu do lat, postanowił statecznie w swojém kółku, według miana i wiana. Ktośby się zdumiał nad tém zadaniem, w jaki sposób siedm dziewcząt wydać za mąż jedną po drugiéj, z wiejskiego zacisza, nie wożąc je po balach, redutach, kontraktach, jarmarkach, nakoniec zagranicznych wodach (co zwykło praktykować się u możniéjszéj szlachty). Nad podobném pensum pozwól, miły czytelniku, nieco pofilozofować:

Mówiono mi o takich rzeczach — o horrendum! iż jacyś uczeni dowodzili, jakoby małpa miała być prototypem człowieka, i ciż uczeni upatrywali wielkie podobieństwo między temi dwoma rodzajami. Co do nas, poglądając na rzeczy ze szlacheckiego stanowiska, wierzyć temu nie możemy, chociażby na zasadzie przysłowia: «wielka różnica małpy od szlachcica», a nie daremnie, jak powiadają, w przysłowiach mieści się mądrość narodów. Wszelako zachodzi pewna trudność w orzeczeniu, kto na ten raz mędrszy—czy owi uczeni lub przytoczone tu przysłowie? a to zważywszy tę okoliczność, iż w zdolności do naśladownictwa bodaj czy szlachcic małpie nie dorówna. I tak weźmy każdy zakątek zamieszkały przez szlachtę, vulgo obywateli. Przypatrzcie się ino ich życiu, usposobieniu,

zabawom etc., a przekonacie się że ów ogólik urobił się na wzór jednego, który z tytułu, wziętości, rozumu, częściej zaś jeszcze bogactwa, rej wodzi w okolicy; niech ów będzie pobożny, skromny a pokorny, to w całym zakątku wszystko cicho, jakby mak siał i po bożemu jak w raju; a przeciwnie postaw na czele tegoż samego zakątka ateusza, hulakę, suszykufla, zawadyakę, a niepoznasz tych cichych ludzi i siedm mil drogi nałożysz ażeby ich wyminąć. Owoż to od dziada pradziada Prezesowego poczciwy wzór miała owa okolica, tak iż można jéj było wybaczyć tę, wspólną z prototypem, cechę naśladownictwa; był to niejako światek osobny: chowali się doma, łączyli się między sobą, a miasto znikających pokoleń narastały nowe ze starą cnotą — końcem zaś rozmnożenia onych na chwałę bożą i pożytek ludzki, hoże i dorodne, acz domorosłe prezesówne wielce przydały się. Nie myślcie jednak ażeby prócz ponęty wdzięków posiadały inną, tak dziś poszukiwaną, w znacznej gotówce, — bowiem Prezes lubo bogaty, wyposażył córki dość skromném wianem, które przez liczbę siedem pomnożone, niedorównywało jeszcze w połowie działowi majątku syna jedynaka. A czyli to sprawiedliwie czynił, ażeby płeć słabą kosztem mocniejszéj ukrzywdzać?.. Co do mnie, gdybym miał synów i córki, a tym ostatnim dawał posagi... Masz szczęście, czytelniku, że *sterilis*'em schodzę ze świata, a co prawda

posagu, chociażby było komu, nie mam do dania — bo inaczéj do jutra słuchałbyś onego filozofowania. A jeżelibyś z poetą chciał wołać:

«I mnie w Arkadyi szczęścia dzień zabłysnął!»

nie pytaj napróżno nad jaką rzeką, za jakiemi górami leży ów błogosławiony zakątek? — daremniebyś się fatygował, ponieważ... mutantur tempora!

O jedno nam jeszcze idzie, dla czego z onéj Arkadyi wyleciał Mamert, jakby niewdzięczne pisklę z własnego gniazda i puścił się nieoględny na burzliwe fale *pozakątkowego* oceanu? Mamert był wychowańcem szkół pijarskich,. czy bazyliańskich — nie wiemy z pewnością, jedne bowiem i drugie, sąsiednie zakątkowi, roztaczały promienie światła na młode jego pokolenia; a po ukończeniu szkół najspokojniéj kształcił się w wielkiéj szkole cnoty domowéj swojego rodzica, z któréj go niespodzianie przybycie ciotki Generałowéj wyrwało. Ojciec jego chociaż zadomowany lecz niecałkiem zacofany, wiedział przynajmniéj z teoryi, nie praktykując tego za młodu, że «trzeba użyć świata póki służą lata» — i czyli zaślepiony miłością dla jedynaka, lub uczuciem braterskiém dla jedynéj siostry, młodości syna nie chciał trzymać na wodzy i w świat szeroki go wypuścił — a już daléj wiécie co się stało. Sensem zaś moralnym tymczasowym, nim do ostatecznego dojdziemy, niech wam służy to: że kto natrafi na podobną Arkadyą jak ów zakątek,

niech lepiéj w niéj siedzi, jak u Pana Boga za drzwiami, — my zaś idźmy daléj.

Podczas kiedy działy się owe nieprawdopodobne małżeństwa, gry o życie i inne okropne rzeczy, którym może nie dajecie wiary (a co właśnie złém jest z waszéj strony, ponieważ osłabiacie kredyt na którym świat stoi), na Prezesa, któremu ze wszech względów wartoby życzyć dobrego powodzenia, straszny grom spadał. Owoż posiadał on w swoim majątku kilka kontrowersów i sporów granicznych. Ktoż tego nie miał na ów czas? a było to najlepszym dowodem smutnego stanu u nas sztuki mierniczéj, którą zastępowały niedołężnie sądy podkomorskie, późniéj graniczne. Liczne tego zdarzały się przykłady, iż wielu lekceważących ową niedokładność granic ciężko odpokutowało, a zastępy pieniaczy, z rodzaju jak znany nam Kadziubski, wyszli na panów. Jeden tedy z podobnych pomału ponabywał pretensye graniczne do Prezesa od siąsiadów, którym zdaje się przebaczyć należy — na zasadzie iż nie wiedzieli co czynili (lub może, co byłoby przykrém do wyznania, i do onéj Arkadyi wkradły się złość i zawiść krążące między ludem bożym); skutkiem czego Prezes, lekko traktujący owe napady, którym już para pokoleń oparło się, niebacznie dopuścił kilka kondemnat i nakoniec per contumatiam osądzony, przegrał z kretesem i ani się

spostrzegł, jak wyzutym został z całego mienia, które in vim kalkulacyi i prejudykatów prawnik zagarnął.

Bolał nieszczęśliwy nie za siebie, bo od dzieciństwa przywykły do świętéj mierności, mógł śmiało lichym ostatkiem resztki żywota dopędzić; nie za córki, które wianem niegdyś ich matki obdzieliwszy, przez to samo od napaści prawnika zabezpieczył; mniéj jeszcze bolał nad jedynakiem, gdyż w owéj Arkadyi żyła jeszcze ta zacofana wiara, iż przy zdrowych rękach i głowie szlachcic może jakoś przeżyć bez chłopów; dla tego najwięcéj trapiła Prezesa przyszłość jakkolwiek nie długa staruszki siostry, dla któréj zbytek był głównym żywiołem i jedyną podnietą gasnącego życia. Ze stoicyzmem tedy starożytnego filozofa, lub lepiéj powiedzmy z rezygnacyą chrześcijanina, Prezes dozwoliwszy prawnikowi wyrugować się z siedziby ojców, przeniósł się cichaczem do innéj okolicy, na jedyny lichy kawałek ziemi pozostający mu z licznych włości; następnie zaś puścił się w drogę, powiedziećby można krzyżową, do ukochanéj siostry, aby braterską, dotąd wspierającą, ręką ostateczny cios jéj zadać.

Jeżeli z was którego, mili czytelnicy, zmusiła kiedy konieczność rozszarpać ukochane serce wydarciem nadziei, zabić wesele smutkiem, niszczyć pokój trwogą, nie będę w was ożywiał téj smutnéj pamięci opowiadaniem tego, co się działo z nieszczęsnym Pre-

zesem, kiedy po odbytéj onéj złowróżbéj drodze progi siostry przestąpił. Co smutniejsza, że przez dziwną sprzeczność z moralném jéj otrętwieniem, Generałowa posiadała jedno rzetelne pojęcie dobrodziejstwa, wyświadczonego przez brata i pewnym rodzajem miłości, na jaką zdobyć się mogła, odpłacała jego wielkie uczucie. Tém boleśniejsze było dla brata szczere i serdeczne powitanie siostry, któréj gotował cios straszliwy, równający się wyrokowi śmierci, próżnemu bowiem i rozbawionemu staremu dziecku zagrażał nędzą i osamotnieniem.

Klocia, obecna powitaniu przybyłego z siostrą, bez trudności odgadła w nim ojca Mamerta, a jako umiejąca trafnie kierować piérwszym popędem, bez żadnych wstępnych kroków, u nóg jego znalazła się, a wzruszającym do głębi serca głosem zawołała:

— Ojcze, przebacz i błogosław!

A skoro zdziwionemu starcowi objaśniła w kilku słowach że jest jego synową, on upojony czarownym widokiem téj anielskiéj istoty, ze łzami tulił Klocię do serca, a podnosząc wzrok ku niebu, wymówił jakby w modlitwie:

— O dobry Boże, Tyś mi ją zesłał na pociechę moich smutków i osłodę starości. — W myśli zaś dodał tę radośną nadzieję, iż plemię jego rozmnoży się i tyle pożądanych w jego położeniu rąk do pracy przybędzie. Taki to był ów ojciec staréj daty, którego

syn obawiał się więcéj niżli wiszącego nad głową kryminalnego procesu. Snadź onę Arkadyą zamieszkiwali ludzie serdeczni.

Trudniejszém stało się położenie Kloci, skoro ojciec zapytał o syna,—należało zatém całe romantyczne przejście małżeństwa opowiedzieć; lecz to opowiadanie osłodzone koralowemi usteczkami Kloci, przybrało łagodniejsze znaczenie, tak iż przez wzgląd na śliczną synowę ojciec naprzód synowi przebaczył. A ponieważ areszt Mamerta coraz lżejszym i dostępniejszym się stawał, więc niespełna w godzinę po przybyciu Prezesa, jeden z dozorców więzienia, zaglądając przez dziurkę od klucza do celi uwięzionego, targał wąsy niby ze złości i coś robił koło oczu, jakby mu tam piasku nasypał—dziwném mu się wydawało to rzadkie w więzieniu zjawisko, jak dwoje młodych klęczało u nóg starca, a ten w błogosławieństwie łącząc ich głowy, łzami je oblewał.

— Ej do czego to! — wyburczał niecierpliwie pan dozorca, a potarłszy silniéj oczy, nagle zwrócił się w inną stronę.

I tak Klocia stawała się pociechą całéj rodziny, bo Prezes patrząc na jéj uroczą postać, a oceniając jéj poświęcenie dla syna, zapomniał o swoich kłopotach; a ponieważ półroczną kwotę, na utrzymanie Generałowéj, wypłacił niedawno do rąk jéj marszałka dworu, więc i ów kielich goryczy, zadania ciosu uko-

chanéj siostrze, na czas jakiś od niego oddalił się, obecnie zaś radując się szczęściem syna, mógł jeszcze odetchnąć swobodną piersią i w spokoju cieszyć się synową, do której przywiązanie i uwielbienie z każdą chwilą zwiększało się w sercu uszczęśliwionego ojca.

Rodzina.

Prezes, jako człowiek czynu i pracy a prawdziwie męzkiego charakteru, przy czułém sercu szeroko obejmującém rodzinę i bliźnich, był zamknięty w sobie, a uczuć i wrażeń nie wylewał na zewnątrz, czém nie raz inni posługują się dla oka ludzkiego, częściéj zaś dla widoków osobistych. Po zapadnięciu tedy fatalnego wyroku, widząc w tém jedynie swoję winę przez lekceważenie procesu, poddał się bez szemrania. A ponieważ nie należał do rzędu lubiących sobą świat zajmować, podziwiać lub rozczulać, uwinął się cichaczem z wykonaniem wyroku,—unikając zaś do niczego nie prowadzących kondolencyj, zanim sąsiedzi i blizcy dowiedzieli się o smutnéj katastrofie, co prędzéj do siostry pośpieszył.

Musiała zatém Klocia silnie przypaść do serca swojemu teściowi, kiedy ten uczuć, zwykle trzymanych na wodzy, nie hamował i na chwilę od niéj oderwać

się nie chciał. Mamertowi — uszczęśliwionemu z wrażenia jakie najdroższa jego Klocia uczyniła na ojcu, a równie iż owa straszna chmura gniewu ojcowskiego nad nim zawisła, zamiast grożącéj nawałnicy w ciepłą łzę rodzicielską przelała się—rozkosznêm niemal wydało się więzienie, w którém na rozmarzone głowy kochanków święte błogosławieństwo ojca spłynęło.

Trzy z córek Prezesa zamieszkiwały z mężami w owym błogosławionym zakątku, chociaż w odleglejszém sąsiedztwie ojca, cztery zaś inne los za granice zakątka przerzucił. Prezes nie wykształcił córek na nerwowe lalki, lub heroiny romansów, a od dzieciństwa wdrożył je do szanowania i spełniania obowiązków, przy których mocno też stały. Jak żołnierz wyćwiczony podczas pokoju, dzielnym jest na wojnie — tak i niewiastę należałoby przez wychowanie więcéj przygotować na pociechę i podporę rodziny, niż do noszenia krynolin, koków i tańcowania polki-mazurki. Atoli bez wątpienia musi być z tém lepiej towarzystwu, skoro się tak urządza; zatém jeżeli ona bazgranina zawadzi wypadkiem o jakie pyszne salony, do których wstęp jedynie dozwolony *Ponson du Terrail*'om i innym podobnego rodzaju znakomitościom, wybaczcie ten wyskok zaliczając go do bredni, a tych w księdze nie mało,—ale posłuchajcie daléj o prezesównach, które, o zgrozo, karmiły dzieci bez pomocy mamek, wychowywały bez bon Angielek

i Francuzek, a nie raz bez rękawiczek uwijały się po kurnikach, oborach i t. p. — Dla miłości zaś ojca mogły tylko poswięcić chwile wolne od obowiązków i dla tego rzadko go widywały. Rzecz dziwna, co wam tu powiem: oto zapewniały mię niektóre kobiéty, rozumie się z rodzaju prezesówien, (wcale nie *comme il faut* jak my z tobą pojmujemy, arystokratyczna czytelniczko!) że jakoby dla tych obowiązków nigdy dość czasu, który przy nich zawsze krótszym wydaje się i rychléj bieży, niżli przy francuzkiém ziewaniu na modnych salonach — W każdym razie nie przyjmujemy odpowiedzialności za ten aforyzm.

Jakkolwiek gracko i tajemniczo uwinął się Prezes ze swoim kłopotem, lecz że nic się nie utai na świecie — nie tylko szydło w worku, zatém i wieść smutna doszła do córek, które nie spazmując, a bez oznak rozpaczy i żalu uprzywilejowanych przez modę, pomyślały o czynném wdaniu się i skutecznéj pomocy, a stanęło na tém — rozumie się za zgodą panów mężów (co za barbarzyństwo?), że posagi prezesówien miały na nowo wpłynąć do pierwotnego źródła, tytułem pożyczki, i służyć nieszczęśliwemu ojcu na odbudowanie fortuny lub tentowanie nowych, pomyślniejszych kolei procesu. Z familijnéj tedy narady siedmiu córek, raczéj siedmiu zięciów, wynikło że posagi zbiły się na prędce w gotówkę, zięciowie zaś według możności ze swojéj strony dodali. A ponieważ czas

był gospodarski, a jakoś młodym parom obowiązki przybywały, zatém z owym zasiłkiem jeden z zięciów, jako delegowany od całego serdecznego gronka, do Żytomierza pośpieszył i nową pociechę strapionemu ojcu przynosił.

Nie długim wszakże był spokój Prezesa, liczni bowiem wierzyciele Mamerta, powziąwszy języka o ruinie jego ojca, tłumnie ze wszech stron go obsaczyli. Na nieszczęście, w całéj téj szczodrości matrymonialnéj Mamerta okrutna lichwa figurowała: jedna taka garderoba od słynnéj Żanci, sama przez się reprezentowała piękny mająteczek, a z dołączeniem karety, paradnego cugu, i skutkiem tego lichwy niepomiarkowanéj, jedno to już pochłaniało serdeczną ofiarę zięciów i córek, — owe zaś brylanty, bodaj że główny powód rychłéj decyzyi Kloci do małżeństwa, więcéj niż drugie tyle ważyły w kredytowym bilansie. Dotąd nie świadomy rozrzutności syna, Prezes spodziewał się przy pracy i oszczędności, będących godłem i podstawą jego całego życia, podołać na skromne utrzymanie dzieci.

Jeden jeszcze ratunek biednemu ojcu pozostawał: wierzyciele zgadzali się na umorzenie znaczniejszéj części długu przez zwrót brylantów i kosztowniejszych przedmiotów, które jako dary ślubne Mamerta figurowały. Chociaż Prezes ani na chwilę nie zwątpił, iż w szlachetném i zdolném do poświęcenia sercu synowéj

znajdzie pomoc i współczucie, osobliwie w razie kiedy chodziło o ratowanie imienia i spokoju jéj męża, wszakże bolał sam nad tą smutną koniecznością i w dopełnieniu jéj wahał się.

Klocia, jak czynią wszystkie tego rodzaju czarodziejki, uważając za podstawę działań ową rycerską maxymę — «co na placu to nieprzyjaciel» — dołożyła wszelkich starań do usidlenia Prezesa, co też doskonale jéj się powiodło. Ukrywszy bez trudnośsi stosuneczki z Gondziorkiem, cała wylała się na usługi i kaptowanie nowo przybranego ojca. Oddajmy jéj i tę sprawiedliwość, że co chwila wyglądała i z téj strony jakiejś hojnej niespodzianki — nowych brylantów, zapisu, lub jednéj przynajmniéj z tych dwóch bagatelek, od oczarowanego a bogatego tatulka. Dotąd nie doszła do niéj wieść o przegranym procesie; wieść tę bowiem sami wierzyciele Mamerta starali się ukrywać, chcąc tymczasem nakłonić Prezesa do odszukania w celu zaspokojenia ich nowego kredytu, czyli tak po ludzku ogień cudzemi łapkami zagrzebać. Z tego powodu katastrofa Prezesa dotąd nie przeszła w dziedzinę miejskich plotek — Klocia zaś równie też nic o niéj nie wiedząc, najczulszém staraniem przywiązanéj córki nowego rodzica otaczała.

Prezes odwiedzając o ile mu czas pozwalał siostrę, posiadał w pałacu Generałowéj skromniutki według swoich potrzeb i wymagań pokoik, który mu teraz

Klocia na prędce przyozdobiła i starała się uczynić najwygodniejszym. Pomimo przedłużanych zawsze prawie do świtu czuwań na salonach Generałowéj, których brat jako przywykły do wiejskiego wczasu starannie unikał, zawsze pierwsza Klocia życzyła mu dnia dobrego i sama przynosiła świeżutką kawę. Poczciwa córka! Ojciec, nim go smutne interesa do miasta wypędziły, lubował się w jéj miłém towarzystwie; a coraz to bardziéj do niéj przylegał, tak iż między własnemi, a tém przybraném dzieckiem nie robił żadnéj różnicy. Dla tego właśnie bolał nad rozczarowaniem, które miał jéj zadać na wstępie do nowego zawodu, i tę przykrą dla siebie chwilę odwlekał jak mógł najdłużéj. Atoli pewnego poranku, kiedy mu Klocia kawę przyniosła, Prezes zdobył się na odwagę i rzecz tak rozpoczął:

— Moje dziecko, mam z tobą do pomówienia w ważnéj okoliczności, do czego wprawdzie trudno by mi było przystąpić, gdybym nie był pewny twoich szlachetnych i bezinteresownych uczuć dla mego jedynaka, razem i drogiéj dla mnie przychylności, którą na resztę dni moich postaram się zaskarbić.

— Ojczulku drogi, czyli możesz wątpić o moich uczuciach dla siebie i Mamerta? — zawołała Klocia z zapałem, słowa zaś te poprzedził uścisk tak rzewny i serdeczny, że na obliczu uszczęśliwionego starca

wywołał dwa sprzeczne żywioły — łzę w oku i uśmiech na ustach.

— O, niech cię Bóg błogosławi i nagrodzi twoje niezrównane serce, nasz jedyny aniele stróżu — rzewnym głosem przemówił starzec, składając na snieżném czole synowéj pocałunek pokoju i błogosławieństwa. Po czém nastąpiła chwila uroczystego milczenia, podczas któréj zdawało się iż każde z nich zagłębia w sercu przelane przez usta uczucia. Nagle Prezes jakby nabrał nowéj odwagi, a stanąwszy przed synową, wysilonym i drżącym głosem wyrzekł:

— Moje dziecko, jesteśmy zrujnowani i ubodzy.

Na te słowa złowieszcze twarz Kloci pobladła i wykrzywiła się do niepoznania; atoli starzec wzroku na nią podnieść nie śmiejąc, stał jakby zawstydzony i owéj zmiany nie dostrzegł. Klocia zaś, jako uczenica dobréj szkoły świata, silnie władnąca wrażeniami i uczuciami a zdolna w razie potrzeby wewnątrz je zanurzyć, miała czas przez krótką chwilę przebiedz myślą jak błyskawica to co usłyszała, a nagły wynik rozumowania tak na prędce w myśli wyjaśniła: Trudno przypuszczać ażeby człowiek tak majętny, rządny i umiarkowany mógł dojść do ruiny, lub gdyby tak być miało, niepodobna ażeby w salonach wszechwiednéj Generałowéj coś o tém nie szeptano, — od razu więc bystrym rozumem przyszła do wniosku, że to był tylko fortel ze strony przebiegłego starca w celu łat-

wiejszego zbadania jéj uczuć dla syna. Stosownie tedy do tego rolę sobie ułożyła i w oka mgnieniu, zostając na nowo tą dawną miłującą żoną i córką, chwyciła rękę ojca, okryła ją gorącymi pocałunkami, a przemówiła drżącym od wzruszenia głosem:

— Gdyby nawet i nędza z wami! Pracą rąk moich wyżywię was, miłością wasze czoła wypogodzę.— Starzec, na tę poczciwą a serdeczną mowę, zanosił się od płaczu. Przeraził Klocię ten widok—gra nazbyt byłaby subtelną, na tę pełną szlachetnéj prostoty postać — wahać się poczęła czemu dać wiarę i mimowoli jakaś ją trwoga ogarnęła. Nakoniec Prezes uspokojony po owém wylaniu uczuć, z uwielbieniem i miłością, nie do opisania, wpatrzył się w to nowe dziecię swojego serca — a tak daléj mówił:

— Moje dziecko, już od téj chwili podwójna miłość związała nas z tobą na zawsze; bowiem prócz tego że jesteś osłodą i ozdobą życia mojego jedynaka, lecz nadto przypominasz mi słodycz i poświęcenie bez granic mojéj nieodżałowanéj świętéj towarzyszki, która pomimo możności, a poniekąd bodaj i chęci z méj strony, przez całe życie od wszelkich zbytków powstrzymywała mię. A chociaż pobraliśmy się za młodu, ona widziała we mnie tylko kochającego i kochanego małżonka, a nie bogacza. Czy uwierzysz — dodał z ciężkiém westchnieniem — że zaklęła mię na mi-

łość naszę, co wprawdzie najświętszem mi było na ziemi, abym w pierwszych nawet chwilach nie rujnował się na wystawy i zbytki i starym moim koczobrykiem zawiózł ją z kościoła do domu, pieniądze zaś przeznaczone na nabycie powozu, na dobry uczynek obrócił. Święta to była niewiasta!

Przy tych słowach, Kloci mimowoli stanęły w myśli kareta i piękny cug, dar rozkochanego Mamerta. Tymczasem pilnie śledząc każde słowo Prezesa, łamała nadobną główkę nad rozwiązaniem zagadki, starzec zaś zawsze smutny, chociaż już uspokojony, tak dalej ciągnął:

— Moje dziecko, pewny jestem iż twoje szlachetne i czułe serce pojmie i podzieli to zdanie, że nie na zbytku i próżności szczęście zależy. Z łaski Boga na mierność nam jeszcze wystarczy. Nie posądzaj mię o egoizm, prawda że ścisłe umiarkowanie towarzyszyło od młodości całemu mojemu życiu, dla ciebie zaś radbym dziś nieba przychylił. Lecz niestety, los zrządził inaczej. Sam pracować umiem, a nim nas śmierć rozłączy, was moje dzieci wdrożę do pracy, a przy takim aniele jak ty, Bóg nam pobłogosławi i życie przejdzie bez chmurki.

Po tych słowach, usta poczciwe nieskalane fałszem i obłudą złożył na czole synowej — a nie dostrzegł że to czoło było zimne i zlodowaciałe od przebiegających je myśli, które ogień serca nie ogrzewał.

Szczęściem że prostoduszny starzec nie posiadał sztuki Lavatera, w téj bowiem chwili oblicze Kloci więcéj odbijało, niż wydać chciała na zewnątrz. Prezes tymczasem zbliżał się do owego wątku mowy, który coraz trudniéj przez usta przedzierał się, a nakoniec dobywając sił ostatnich, wymówił nieśmiało:

—Dowiedz się moje dziecko, że przegrałem proces, który ledwie jakąś setną część z dawnego mienia nam pozostawia.

— Proces! — wykrzyknęła Klocia, coraz więcéj przerażona. Prezes, jakby niedosłyszał wykrzykniku, ciągnął daléj z uczuciem:

— Serce mi się kraje, patrząc na twoję młodość i wdzięki, które w nędzy prawie musisz zagrzebać.

Nędzy! — wyjęknęła jakby do siebie Klocia z rosnącym przestrachem, Prezes zaś mowy nie przerywał:

— Tém bardziéj wyrzucam sobie, iż stało się to przez moję winę, za którą jakżem srodze skarany! Że syn mój pragnął otoczyć świetnością i zbytkiem to nieocenione życie, które mu poświęcasz, nie mam mu za złe i sam piérwszy szalałbym dla ciebie na starość, gdyby mię było stać na to. Dziś Mamert w więzieniu przez miłość dla ciebie, czego mu nie jeden pozazdrości, i sam to poświęcenie pojmuję, lecz jutro jeżeliby się stamtąd wydostał, zostanie uwięzionym jako dłużnik nierzetelny, bankrut!.. — Po

tych słowach biedny ojciec, zakrywszy twarz rękoma, łez wstrzymać nie był w stanie. Klocia zaś jakby skamieniała na miejscu, blada i drżąca, korzystając że ją łkania starca zagłuszały, powtórzyła kilkakrotnie:

— Bankrut!. bankrut!.

Wszakże w porę zapanowawszy nad sobą, kiedy Prezes ochłonął i uspokoił się, spytała obojętnie:

— Co mam przez to rozumiéć?

— Moje dziecko — mówił z nieustającym zapałem ojciec, nie dostrzegając zobojętnienia synowéj—pewny jestem że spełniwszy jedną ofiarę, nie cofniesz się przed nową, skoro idzie o ratowanie imienia i honoru twojego męża.

— Coraz mniéj pojmuję — przerwała Klocia niecierpliwie. — Prezes odetchnąwszy całą piersią, jakby z niéj wielki ciężar zdejmował, tak daléj śmiałym głosem rzecz prowadził:

— Owoż chciałem powiedzieć, że wszystko co mój syn w danym czasie miał szczęście tobie ofiarować, nie było nad jego możność, wtenczas jeszcze nie mogliśmy przewidywać téj smutnéj katastrofy, która z zamożności spycha nas prawie do nędzy. Dziś przy wielkiém poświęceniu moich córek, nie jestem w stanie ochronić syna od plamy nierzetelnego dłużnika; a mógłbym tego dokazać jedynie za twoją pomocą, jeżeli zgodzisz się, o czém nie wątpię, z darów twojego

męża uczynić na rzecz jego honoru ofiarę i zwrócić je kredytorom na umorzenie części długu.

Klocia słuchając téj mowy, wodziła bezmyślnym wzrokiem do koła, a w pięknéj główce szumiała złowieszcza groźba rozstania z brylantami, sobolami, karetą i t. p. Rozstania z tém co ją tyle cieszyło. Prezes kładąc to jéj milczenie na karb oburzenia, z powodu iż z pewném powątpiewaniem przekładał jéj tę ofiarę, pośpieszył ku niéj z otwartemi ramiony, wołając:

— Daruj mi moje dziecko, że tak mało pojąłem i oceniłem, twoję wzniosłą duszę. — Klocia nagle przechodząc na drugi koniec izby, uniknęła nowego wylewu czułości starca i przerwała z pewną ironią.:

— Ja nie tylko mało, ale nic nie pojmuję.

Na te słowa Prezes cofnął się przerażony, a spojrzawszy w oczy synowéj, jakby przewidział w dotychczasowém zaślepieniu i ozwał się głosem wcale nie zdradzającym czułości:

— Ja rozumiem że każda uczciwa żona, w podobnym razie, większą jeszcze poniosłaby ofiarę, niż tam jakieś nędzne błyskotki, kosztem lichwy zdobyte, a dla ocalenia zacnego imienia nie cofnęłaby się nawet przed nędzą i pracą.

— Cha! cha! — przerwała Klocia piekielnym śmiechem — Piękna mi przyszłość nędza i praca, których wcale nie szukałam. Czy to dla tych roskoszy nędzy i pracy, uczyniliście mię ofiarą gwałtu i jeszcze wy-

drzéć mi chcecie jakieś tam liche podarki? — Przy tych słowach spadła maska z téj pięknéj twarzyczki, która w jednéj chwili stała się prawie przerażającą. Tu już Prezes nie hamując oburzenia i pogardy, przerwał:

— Ja wexle na moje imię przepiszę i wyratuję honor mojego syna, którego żoną już pani nie jesteś.

Po tych słowach, chwyciwszy czapkę udał się prosto do więzienia, gdzie Mamert upojony niespodzianém szczęściem błogosławieństwa ojcowskiego, marzył spokojny i szczęśliwy, co nie zawsze jest więźniów udziałem. Uścisk powitania między ojcem a synem trwał dość długo, po czém Mamert zapytał wesoło:

— Cóż drogi ojcze, czy zawsześ rozmiłowany w synowéj?

—Nie mam synowéj — odparł ojciec surowym głosem, na dźwięk którego zadrżał biedny zakochany — i ty nie masz żony, mój synu. Poczynałeś bez ojcowskiego błogosławieństwa i omal nie byłeś ciężko ukarany sromotą i hańbą, które wniósłbyś w gniazdo poczciwe i nieskalane, atoli Bóg miłosierny czuwał nad tobą.

— Ojcze, tyś ją ocenił jak warta, tyś ją pokochał jak własne dziecię, a dziś?.. — przemówił przerażony syn w rozpaczy.

— Zdarła się maska obłudy; oceniłem ją dziś edle lichéj wartości. Mój synu, towarzyszki życia

szukać ci było w naszym bogobojnym zakątku. Jam to winien, żem nie dawał baczenia, że cię puściłem w ony świat zepsuty, ty zaś biedne dziecko przecierpiéć musisz. — Na te słowa biedny syn wybuchnął głośnym płaczem, ojciec zaś złożywszy jego głowę na swojéj piersi, rzewnym głosem przemówił:

— Płacz moje dziecko, tu na téj piersi, a w téj jedynéj bije prawdziwie kochające cię serce i w niém znajdziesz niewyczerpane źródło pociechy.

—Ojcze mój, niedawno jeszcze na tém miejscu błogosławiłeś nas — wyjęczał syn ze łzami.

— Moj synu, miałeś czas mię poznać, że o ile cię kocham, o tyle niezachwiany jestem w postanowieniach. Prawda że niedawno jeszcze was błogosławiłem, dzisiaj zaś to odwołuję, albowiem na głowę przewrotnéj i płochéj niewiasty błogosławieństwa bożego wzywać niegodzi się. Teraz zaś ciebie jednego błogosławię synu, na drogę cierpienia i wytrwania i proszę Boga ażeby ci zesłać raczył rychłe zapomnienie téj, która nie była godna pamięci. Pokój z tobą moj synu! — Po tych słowach ojciec wyszedł z izby więziennéj i tak rozłączyły się one dwa rozdarte serca.

Jabłko nie daleko pada od jabłoni.

Po rozstaniu z Prezesem, Klocia udawszy się do swoich apartamentów, pośpieszyła prosto do schowka gdzie znajdowały się owe bogate klejnoty, a sprawdziwszy ich obecność długo i czule na nie spoglądała, jakby im opowiedzieć żądała, że chciano je z nią rozłączyć. Następnie opatrywała po jednemu wszystkie dary czułego małżonka; nakoniec wydała kamerystce rozkaz ułożenia tego co posiadała do owéj karety, której elastyczne materace piérwsze ją po wykradzeniu zajęły. A podczas kiedy Generałowa, słynąca z tego że światła dziennego nie znosiła, spoczywała snem sprawiedliwych, Klocia opuściła dom jéj na zawsze.

Wielki czas zajrzéć na nowo do tajemniczéj komórki Kadziubskiego, z któréj gromy kryminalnego procesu spadały na głowy naszych bohaterów. Niezmordowany Kadziubski zawsze ukryty za plecami onego adwokacika, działał gorliwie i sprężyście, do układów nawet przystępował w których chodziło już tylko o doniosłość okupu. Wszakże cała ta prawna żegluga rozbijała się dotąd o jeden twardy szkopuł, zeznanie Kloci, które o ile możności zwlekać starał się Kadziubski, ponieważ dobrowolne jéj chociaż tajemne przystąpienie do sakramentu małżeństwa, sprawę gwałcicieli w korzystniejszém świetle stawiało. Sam zaś Konsystorz, rozpatrując niezależnie od kryminalnéj duchow-

ną stronę sprawy, chociaż kapłana udzielającego błogosławieństwa bez form kanonicznych na pokutę kościelną skazał, wszakże ślub uznał za ważny, z tém jednak zastrzeżeniem, jeżeli obie strony na dochowanie onego, w obec Konsystorza po raz drugi, zgodzą się dobrowolnie—w przeciwnym zaś razie ślub miał być rozerwany.

Przybycie Prezesa i jego nagłe rozmiłowanie się w synowéj nie pomału zatrwożyło Chorążynę; obawiała się bowiem, ażeby bogaty ojciec sprawy syna na lepszéj nie postawił stopie i nie ponowił ślubu bez dokonania zapisu, na który i dla siebie coś liczyła, — pojmujecie iż na ten raz wszechwiedna Chorążyna nic nie wiedziała o ruinie Prezesa. Kadziubski chociaż równie przewidywał owe trudności, jednak ufny w swoję szczęśliwą gwiazdę, pocieszał jak umiał zacną spólniczkę, z którą obecnie przy szczelnie zapuszczonych firankach popijał ranną kawę.

—Nie ma czego rozpaczać, moja dobrodziczko, zrobi się wszystko jakoś. Nie takie to impedymenciki przy łasce Bożéj zwyciężało się — mówił on pocieszyciel wykraczając przeciw drugiemu przykazaniu, gdyż z Bogiem nie wiele poczynał. W tém kiedy tak pocieszali się, powóz zatrzymał się przed gankiem. Chorążyna, uchylając rożek firanki, zawołała zdziwiona:

— Moja córka!.

— Zrobiło się, zrobiło się! — zawołał tryumfująco prawnik — przybycie córeczki nie bez kozery. Vivat, nasza wygrana. Teraz dobrodziczko, pocieszajcie się dzieciątkiem, ja schowam się do mojéj tabakierki— zmówił jednym tchem, jako zaś człek przezorny, usuwając wszelkie poszlaki swojéj obecności, zabrał *kawunię* jak ją zdrobniale nazywał, a przed zamknięciem szafy dodał sentencyonalnie:

— Jeżeli do czego, to do każdej prawnéj sprawy można zastosować te święte słowa «zbawion będzie kto wytrwa do końca»—a domawiając tego, drzwiczki tajemne starannie zaryglował. Chorążyna zaś szeroko otwarła podwoje, a szerzéj jeszcze ramiona, w które wpadła owa *marnotrawna córka*.

Klocia, przez czas krótki przejazdu z jednéj ulicy na drugą do mieszkania matki, opamiętała się iż krok to może był nierozważny, bez uprzedniego przygotowania, narażać się na spotkanie z matką oburzoną i zagniewaną jéj nieposłuszeństwem i samowolném działaniem. Lecz z drugiéj strony po zerwaniu z ojcem a samo przez się i z synem, gdzie się podziéć miała? Rozmyślała zatém jeszcze przez krótką chwilę, czyli nie zatrzymać się w zajeździe (Żytomierz w onym czasie, do cywilizacyi posiadania hotelów jeszcze był nie doszedł) i ztamtąd zgodę z matką negocyować. Wszakże Klocia w swoim rodzaju była mężną niewiastą, a w skutek tego dary jéj przedślubne i

poślubne, w onéj swieżutkiéj karecie ciągnionéj przez cug rasowy, zatrzymały się przed rodzicielskim gankiem. Jakże się zdziwiła, gdy miasto wyrzutów napomnień, gniewu i t. p., uczuła się na macierzyńskiem sercu, od którego jakby przez jedną tylko chwilę była oderwaną. Z obu zaś stron coś tam łez i westchnień z konieczności znalazło się, po ukojeniu których, ozwała się matka:

—Pewna byłam, moja jedyna, że wcześniéj czy późniéj wrócisz do tego serca, które... i t. d. — zręcznie przeciągnęła frazes macierzyński Chorążyna. Po czém wzajemne uściski powtarzały się bez końca, aż Kadziubski w swojéj szafie trzymając wytężone ucho, niecierpliwił się że tak długo ad rem nie przystępują. Zważywszy niecierpliwość zacnego doradzcy, a obawiając się téjże ze strony czytelnika, wspaniałomyślnie zwalniamy go od wysłuchania uczuciowéj części rozmowy, a podchwytujemy ją w chwili, kiedy prawnik bardziéj słuch wytężył, Klocia zaś tak zagaiła:

— Ojciec Mamerta zupełnie zrujnowany, przegrał jakiś wielki proces.

— Aha, to ten graniczny. Głupiec, gdyby moją radą nie gardził, nie tylko nie przegrałby, lecz od strony przeciwnéj miałby piękny grosz na drodze kosztów—wycedził Kadziubski pod nosem, w kształcie a parte i zagiął palec u ręki, przez co jakby punkt piérwszy oznaczył.

— Czy to być może? — krzyknęła Chorążyna.

— Najniezawodniéj — odparła córka—Nawet już ten bogobojny Prezes prawił mi kazanie o nędzy i pracy; a do tego jeszcze na zaspokojenie długów swojego syna wymagał ode mnie jakichś ofiar, poświęceń i t. d. A niech sobie mama wyobrazi—dodała z oburzeniem — zażądali zwrotu brylantów i wszystkiego, co otrzymałam od Mamerta.

— A to hołota! Spodziewam się żeś się temu oparła? — przerwała z gniewem matka.

— Rozumie się — odpowiedziała Klocia — ale za to Prezes oświadczył mi, że Mamert już nie jest moim mężem. Ten zaś ojczulek z miny wygląda na upartego i kutego szlachcica.

Kadziubski, w swojéj kryjówce, zagiął drugi palec a pomyślawszy przez chwilę, przeniósł się ode drzwi do stolika i nagle pisać coś począł — a ponieważ był to człowiek umiejący potroić się nawet w razie potrzeby, więc i uszko zawsze trzymał w pogotowiu. — Na tę ostatnią wieść Chorążyna, zamiast zasmucić się jakby spodziewać się należało, radośnie klasnąwszy w dłonie zawołała:

— Wybornie! Niema złego coby na dobre nie wyszło.

— Nie pojmuję czego się matka cieszy? — powiedziała z pewnym wyrzutem Klocia.

— Dla wspólnéj naszéj pociechy powiem ci, że

matka Ananyasza ciężko chora, a jak zapewniają, tym razem już się nie wykręci; syn jeszcze o tém nie wié i staram się żeby się nie dowiedział, aż będzie już po wszystkiém. Teraz rozumiesz dla czego mówię: niema złego coby na dobre nie wyszło. — Na wspomnienie Gondziorka, Klocia używała całéj siły do powstrzymania, gwałtem wydobywającego się na twarz, rumieńca i spytała z udaną obojętnością:

— Cóż z tego?

— Wiész ty dobrze że Gondziorek za tobą szaleje —odpowiedziała matka, klepiąc ją po zarumienionéj twarzy — A wiész jeszcze lepiej przysłowie: *on revient toujours*....

— Nieszczęśliwy Ananyasz, śmierć dla mnie ma ponieść — smutnie wyszeptała Klocia, nie tając więcéj żywego rumieńca i westchnienia. Matka zaś odrzekła z ironią.

— Moja kochana, nie znasz się jeszcze na ludziach, Ananyaszek to tchórz wierutny, a ręczę że nas wszystkich przeżyje. Powiem ci, że gdybym należała do towarzystwa ubezpieczeń, w téj chwili przyjęłabym assekuracyą jego życia za liche pieniądze.

— Lecz czyliż Ananyasz zechce mię teraz, w tém wątpliwém położeniu ani mężatki, ani...—młoda kobiéta rozpoczętą mowę rumieńcem wstydu zakończyła. Matka zaś, przytuliwszy do piersi piękną zapłonioną twarzyczkę, pocieszała w ten sposób:

— Dziecko jesteś i nie wiész jeszcze o tém, że u mężczyzn wszędzie dobrze gdzie ich niema, a ta kobiéta najpożądańsza, która do innego należy. Bardzo być może iż bez tego, jak zowiesz *wątpliwego*, położenia, Gondziorek nie pomyślałby na seryo o tobie. Co zaś do majątku to trzech takich prezesów, rozumie się przed przegraniem procesu, razem złożonych nie dorównają mu. A chłopczyna hojny i wspaniałomyślny, co raz da pewno nie odbierze.

— Wyznam ci szczerze — ciągnęła po namyśle matka — gdybym mogła przewidziéć że taka zdrowa kobiéta, jaką do niedawna jeszcze zdawała się jego matka, tak prędko... — téj myśli zapewne przez miłość bliźniego nie dokończyła Chorążyna, a potém dodała: — Otoż gdyby to było do przewidzenia, nigdy nie rozpoczynałabym z Mamertem. Chociaż w żadnym razie, na téj aferze nie stracimy.

Tymczasem Kadziubski, kończąc pisanie a jednocześnie słuchając rozmowy, powstał nagle, zebrał zapisane papiery, a zacierając ręce zawołał: Nasza wygrana! — i drzwi tajemnicze uchylił.

Zmieszała się Klocia na widok niespodzianego zjawiska, jakby z ziemi wyrastającego, Chorążyna zaś zachowała całą przytomność; za nadto bowiem znała zręcznego doradzcę i wiedziała że on trafem, a nie traf nim rządził, a miewał go zawsze na zawołanie. Udając z razu pomieszanego, prawnik z pokorą ugiął

kark przeproszenia za to, że zjawił się nie w porę. Następnie Chorążyna przedstawiła go córce, jako gorliwego obrońcę jéj sprawy, przy czém nadmieniła nawiasem, że jako człek prawy i dla tego prześladowany, ukrywać się musi. Jakkolwiek wielaby potrzeba do zadziwienia i oniemienia gadatliwego i przytomnego jurysty, jednak stał on przez chwilę jakby odurzony niezwykłemi wdziękami nowéj klientki, lecz niebawem trzeźwość bystrego umysłu odzyskawszy, tak prawił:

— Wybaczyć mi raczą, szanowna moja dobrodziczka i jéj czcigodna a nadobna córeczka, iż przez niewiadomość, która jak pismo mówi grzechu nie czyni, przerwałem ich serdeczne a parte, lecz chciałem zasięgnąć niektórych pilniejszych nocyj, dotyczących naszego procesiku.

Długo mógłby mówić pan prawnik, gdyż był rzecznikiem nie lada, a jako taki lubował się we własnem słowie; lecz przebiegła jego klientka Chorążyna, bystrym umysłem cały zamiar zbadawszy, w porę przyszła mu w pomoc, a zasuwając drzwi wchodowe ażeby ich natręt jaki nie zeszedł, odezwała się:

— Mój Kadziubsiu — w chwilach uniesienia tak pieszczotliwie tytułowała zacnego doradzcę — udaj się śmiało do mojéj córki, od któréj dalsze powodzenie sprawy zależy, a pewna jestem że jéj tamować nie zechce.

Nie posiadamy słownika zdrobniałych wyrazów, ażebyśmy mogli wypowiedzieć dokładnie całe dyalogowanie zręcznego jurysty, wynikiem którego stało się, że Klocia na prędce przygotowaną przez niego deklaracyą: o gwałcie jéj zadanym, o tem jako dla ochronienia dziewiczego wstydu, na ślub tajemny zgodzić się była przymuszona etc. etc. podpisała—a inaczéj mówiąc, uzbroiła tego rycerza prawnika w miecz do ostatecznego porażenia obwinionych. Kadziubski skoro ujrzał się posiadaczem tego ważnego aktu, wtłoczył go gwałtownie do kieszeni, a nawet zapomniawszy o zwykłych komplementach i ulubionéj zdrobniałéj mowie, nie oglądając się więcéj pędem poleciał do komórki, i jako źwierz drapieżny unosił zdobycz do swojéj nory, a iżby pewniejszym był jéj posiadania, drzwi mocno zaryglował.

— Zrobi się, zrobi się — śpiewał z cicha na wesołą nutę, a pod onę tryumfalną piosenkę jakiś dziwny taneczek podkładał.

Szczęśliwy Kadziubski!

Tegoż jeszcze wieczora Ananyasz, oczarowany wdziękami Kloci i pijany rozkoszą, u nóg najmilszéj złożył solenną przysięgę, że nie zważając na ów srogi pojedynek, *jakoś* żyć będzie.

Szczęśliwy Gondziorek!

Miłość ludzka.

Nieszczęśliwy Prezes, który gromem wymierzonym w pierś ukochanéj siostry, wprzód niespodzianie cisnął na syna jedynaka, prosto z więzienia udał się do wierzycieli Mamerta, którym z wrodzoną prawością ofiarował swój ostatni kęs ziemi, jedyny chleb starości po pracowitém życiu, na znaczną zaś resztę pozostającego długu, zobowiązał się wystawić wexle na swoje imię, a chociażby przyszło wysiedzieć więzienie i swoją zacną osobą cześć syna okupić, na wszystko był przygotowanym. Wierzyciele acz po większéj części lichwiarze, w obec wielkiéj prawości i zacnéj chęci, a z drugiej strony nie widząc wykrętów — tylko niemożność w skutek nieprzewidzianej klęski, z łatwością do układów przystępowali. Tak więc i tę burzę nieszczęśliwy ojciec zażegnać potrafił.

Podczas kiedy Prezes ratował się od kondolencyi sąsiadów ucieczką do siostry, smutna wieść o jego nieszczęściu obiegła zakątek i rozdarła poczciwe serca licznych przyjaciół, którzy przez długi zawód rolniczy Prezesa, nie przestawali doświadczać jego czynnej pomocy i spółczucia. Niech jak chcą moraliści sceptycy sarkają na brak wdzięczności w sercu ludzkiém, przez to jednak my wierzyć chcemy, iż ziarno miłosierdzia i miłości bliźniego, wcześniej lub późniéj, zawsze w plon obfity dojrzewa.

Cały tedy zakątek zawrzał rozpaczą nad okropnym losem swego patryarchy-dobroczyńcy i oburzeniem nad wyrządzoną mu krzywdą. Atoli nie w czczych tylko oznakach żal i ubolewania swoje zawarli, lecz pośpieszyli w czyn je szlachetny zamienić. Poczciwi mieszkańcy zakątka zaburzyli się, jak pszczoły zaniepokojone w ulu. Ruch tam powstał niezwykły, zbierano się tłumnie, podnoszono kapitały, zaciągano pożyczki, spieniężano zapasy zbiorów i t. p. jedném słowem sąsiedzi Prezesa całe mienie starali się zbić w gotówkę; a skoro każdy ile mógł najwięcéj zgromadził, z tym wspaniałym skarbem wielkich serc i pieniędzy, do grodu pośpieszyli. Prezes, gdyby chciał przyjąć wspaniałomyślne ofiary spółbraci, od razu stałby się daleko bogatszym niż był przed onym procesem.

Tymczasem reszta zakątkowych, pozostała w domu, nasiadła na pocesowicza — a ten smagany pogardą i chłostą opinii publicznéj, (na któréj razy jeszcze na ten czas skóra ludzka nie pokryła się jak dziś, twardą a nieprzebitą skorupą) musiał do układów przystąpić, w skutek których Prezes zamiast utracenia wszystkiego, poświęcił zapasy gotówki i nie zbyteczną kwotą każdoroczném opłaty dobra swoje obciążył — a co prawda, procesowicz jeszcze nie stracił. Szał Mamerta dla Kloci, wcielony w cyfry lichwiarskie, na dobréj spoczął hypotece; grom zaś zawisły nad lekkomyślną głową Generałowéj rozwiał się w chmurach. — Tacy o przed laty, byli owi zakątkowi ludzie!

Przerzucenie się Kloci z jednego obozu do drugiego zgubny wpływ na sprawę kryminalną wywarło. Nie daremnie Kadziubski tak łapczywie pochwycił zeznanie nowéj klientki, stawiące sprawę w nowém a wcale niekorzystném świetle dla obwinionych, którzy za wyrokiem sądu na nowo do kozy powrócili. Tu już były nie przelewki — a proces kryminalny porządny sprawił iż strony, coraz łatwiéjsze do układów, szeroko rozwiązywały worki, atoli Kadziubski z głębokości swojej komórki, przez usta adwokacika, wołał: więcéj i więcéj!

Już sami sędziowie pojmować nakoniec zaczęli, że w téj grze kryminalnego procesu, nie tyle figurowały cześć i niewinność obrażona, ile chciwość Chorążyny i żyda; wszakże z poprzedniéj surowości nic ustąpić nie mogli, ponieważ Kadziubski cały ten kłębek zręcznie zaplątał. Jedyną ulgą dla obwinionych było iż sędziowie, wbrew prawu, sprowadzili sprawę kryminalną na drogę dobrowolnych układów, tak zręcznie prowadzonych przez tajemnego doradzcę, iż owocem ugody Chorążyna była w stanie odbudować upadłą fortunę uniżonego męża. Zacny prawnik o sobie nie zapomniał i usłużnego Szmula wynagrodzono za wszystkie nie poniesione straty.

Przypuszczano nie bez zasady, że znaczną część okupu przypadającą na Mamerta, zakątkowi sami złożyli w tajemnicy przed ojcem i synem, który z za krat

więziennych przesiadł się prosto na rodzicielską bryczkę, a pomimo łez i boleści, bez widzenia z najdroższą, do błogosławionego zakątka powrócił. Prezes miał to być szlachcic twardego charakteru.

Biedny Mamert bolał ciężko i długo po stracie Kloci, aż go czas i wytrwały charakter ojca uleczyły. A po latach, we własnym zakątku sięgnąwszy more antiquo— nie przez okno a przez drzwi szerokie, z tradycyjném swataniem, zapowiedziami etc. — po jakąś poczciwą rączkę, błogosławił ją aż do śmierci.

Z owego zaś arkadyjskiego zakątka, niestety, n e c l o c u s!

Reszta obwinionych pośpieszyła do domów swoich łatać dziury, zadane przez tę kawalerską wyprawę. Mostrongowie na zasadzie tego zdania, że i Salomon z próżnego nie naleje, najmniejszy szwank ponieśli, a radzi iż się cało wyrwali, zapomniawszy o srogim pojedynku, pociągnęli do swoich piwnic i kniei.

Salon Generałowej, owa świątynia miłostek, utraciwszy najpiękniejszą ozdobę w Kloci, na dawnych zwolennikach poprzestać musiał. Tryumfujący Kadziubski na inne pole przeniósł swą tajemną praktykę prawa. Jeden więc tylko pozostał nierozerwany obóz zwycięzki, złożony z Chorążyny, Kloci i przyszłego nieboszczyka — rycerskiego Gondziorka.

Śmiertelne śniadanie.

Przedśmiertny miesiąc, u nóg prześlicznej Kloci, zeszedł rozmiłowanemu Gondziorkowi lotem błyskawicy. Jakkolwiek z życiem uroczem przy takiéj czarodziejce trudno było rozstawać się, jednak Ananyasz, pomny na ciężką powinność rycerza, strasznemu warunkowi pojedynku zadość uczynić zamierzał.

Któryż bohatér, chociaż bez trwogi i skazy, skoro już umrzeć mu przychodzi, nie obmyśliłby dla onéj stanowczéj chwili jakiegoś, że tak się wyrażę, effektu nie otoczyłby téj sceny stosownemi kulisami, któreby z czasem posłużyć miały do wdzięcznego, malowanego czy opiewanego, obrazu? Lubo wyznajemy iż nie spodziewaliśmy się, żeby kreślenie tego ostatniego stało się naszym udziałem, lecz gdy tak jest, postaramy się te kirowe barwy w należycie ponurem wystawić świetle.

Na dni parę przed onym fatalnym terminem, Gondziorek rozesłał klapsydry z czarną obwódką, grobowym stylem skreślone, zapraszające zwolenników i licznych znajomych na swoję smierć, którą miało poprzedzić, tak nazwane przez bohatéra, *śmiertelne śniadanie*. Na arenę onego śmiertelnego widowiska, dobrze mu się przydał dom po rozwiązanéj loży masońskiéj, którego ponure urządzenie założeniu odpowiadało. Liczni ciekawi, życzący sobie odtworzyć znane z hi-

storyi igrzyska przedchrześcijańskiego Rzymu, tłumnie pośpieszyli na zaprosiny. Ujrzeli oni dużą salę obitą kirem, obsianym srebrnemi łzami, trupiemi główkami i rozmaitemi innemi symbolami śmierci. Gondziorek w czarnym stroju, przy białym halsztuku, białych rękawiczkach i kamizelce, z olbrzymim bukietem nakształt weselnego, w sinych okularach, które w razach szczególnego nasrożenia używał, jeszcze raz przed śmiercią wynalazł uśmiech spokoju na powitanie łaskawych.

Owa uczta Saturna, nim nią Bachus zawładnął, wesołą być nie mogła; lecz potém zjawiła się podniecona winem ochota i gdyby nie żałobne obicie sali. które w oczach ucztujących zaczęło następnie jaskrawe przybierać kolory, myślałbyś iż to prędzej weselne niż śmiertelne gody—tém bardziej iż co do dań i libacyj, była to prawdziwa uczta Lukullusa.

Ono słodkie omamienie nie długo trwało, ponieważ przy sakramentalnym, popieczystowym toascie Gondziorek udał się do przyległej izby, zkąd po chwili wyszedł wyższy o jakie ćwierć łokcia. Cały zaś był najeżony pistoletami i sztyletami a taki sierdzisty, iż na widok jego wszyscy spółbiesiadnicy mimowolnie zadrzeli. W ręku trzymał dużą spienioną winem czarę, na której znajdowało się charakterystyczne wyobrażenie śmierci z kosą. Stanąwszy na podniesieniu, rzecz miał przedśmiertną arcy przerażającą,

tak że serdeczniejsi rzewnie popłakali się. A zanim przytomniejsi zdołali opamiętać się i przeszkodzić, bohatér ową czarę wychylił z rezygnacyą — jednym haustem, coś nakształt tego jak nieboszczyk Sokrates cykutę; potém wyleciał z impetem na balkon, wystający na opuszczony duży ogród, i drzwi za sobą mocno zaryglował.

Trudno opisać ogólny przestrach. Wyobraźcie sobie młodość, odwagę i wiele innych rycerskich przymiotów, a wszystko to w zimnych objęciach śmierci. Przytomni w ciężkim pogrążeni smutku, przypuszczając że Ananyasz po wychyleniu czary zatrutéj, chciał im oszczędzić widoku okropnego końca, uważali to za akt ostatni dramatu i mieli się ku odwrotowi, a w tém niespodzianie wystrzał dał się słyszéć z bałkonu. Wszyscy hurmem tam rzucili się, jakby ratunek mógł być jeszcze możebnym, atoli drzwi mocne opierały się szturmującym, tymczasem zaś przykuły ich do miejsca kilka nowych wystrzałów, których pono do ośmiu jeden po drugim naliczyli. Przy czem Narwański, sekundant i prawa ręka Gondziorka w towarzystwie, a gotujący się w cichości ducha zająć po nim świetne stanowisko, — kwoli czemu najeżał już włosy na wzór domniemanego nieboszczyka i na palcach podnosił się — uznał za stosowne, żałobnym głosem, dać następujące wyjaśnienie:

—Taka bohatérska dusza, jak naszego Ananyaszka,

nie opuści rycerskiego ciała od kropli trucizny lub jednego lichego wystrzału.

Przez cały ten czas panowała cisza grobowa, chyba tylko kołatanie serc zatrwożonych, zdawało się że słychać na sali. Nakoniec one drzwi fatalne rozwarły się z niemałym łoskotem, a przez nie wpadł Gondziorek z rozrzuconemi włosami, w podziurawionych od razów sztyletowych sukniach, a zawoławszy silnym głosem: — «Biada mi! nie trafiłem siebie!» — ów przybytek śmierci opuścił.

Zwolennicy i goście popatrzali jedni na drugich z pewnem politowaniem, jak widzowie tragedyi opuszczający salę teatru, gdzie po kilka łez zostawili nad losami i zgonem komedyanta, przebranego za bohatéra, i wynieśli się do domów swoich. Ananyasz zawsze w onych szatach, które tak dobrze rolę nieskruszonego pancerza odegrały, okrywszy się płaszczem do Chorążyny pośpieszył. Na widok tego szermierza, noszącego na sobie ślady zaciętéj walki, matka dostała coś w guście spazmów, córka zemdlała — lecz rychło ocuciła się w objęciach cudownie wybawionego bohatéra, który jeszcze razy kilka powtórzył z rozpaczą:

— Biada mi! chybiłem do siebie! —

Koniec dzieło chwali.

A więc na pociechę cierpliwego czytelnika, który aż do tego miejsca dotarł, do onéj chwały pośpieszamy.

Kiedy bohatérski Gondziorek z wielkiém powodzeniem śmierć zwalczył—matka jego, mniéj szczęśliwa w podobnéj walce, uległa przemocy i osierociła drogiego syna. Podczas opowiedzianych ostatnich wypadków, kilku z licznych kozaków jéj dworu, rozesłanych na odszukanie Ananyasza, którego matka przed śmiercią widzieć pragnęła, dotarli do Żytomierza; lecz Szmul, z rekomendacyi Chorążyny pełniący przy nim obowiązek piérwszego powiernika vulgo faktora, umiał zręcznie usunąć tych złowróżbych zwiastunów i do panicza nie dopuścić — aż ostatniego, który o fakcie już spełnionym donosił. To postępowanie ze strony Chorążyny nie było wywołane jakąś tylko fantazyą: raz jako przezorna kobieta, wiedziała iż łatwiéj kuć żelazo póki gorące, a dla tego rozłączenia w téj chwili rozkochanych nie pragnęła; drugi ważniejszy był powód do tego, że obiło się o jéj uszy, jakoby starościna, matka Ananyasza, skoro ją wieść o miłostkach syna z Klocią doleciała, miała odezwać się z wysokości arystokratycznéj, a już samo przez się po francuzku:

— Une Szerepianka femme d'un Warchlak Gondziorek — c'est inouï!

Anoż, pomyślała Chorążyna, ten frazes przez fantazyą umierającéj, wkręci się jako warunek do błogosławieństwa matki, a następnie sąsiedzi, a co gorsza sąsiadki przyczynią się do podniecenia uczuć synowskich. Ludzie zaś coś tam przebąkiwali, że śp. starościna Gondziorkowa liczyła czerwone złote na garce — owoż z tego to powodu i Szmul, zlawszy prawa propinacyi na syna, nie wahał się czynne swoje usługi Ananyaszowi ofiarować.

Skoro ta wieść okropna doszła do osieroconego syna, który umiał równie przystrajać się w rozpacz, jak wdziewać w razie potrzeby lwią skórę, ów nieszczęśliwy rozdzierał nieba głośnemi oznakami żalu; matka zaś z córką, jako serdeczne kobiéty, potrafiły onym jeremiadom wtórować. Ponieważ nie godziło się przyjaciela w nieszczęściu opuszczać, stanęło na tém że Klocia z matką towarzyszyły Gondziorkowi, dla oddania ostatniéj posługi jego rodzicielce; następnie osamotnić go w domu i pozbawić pociechy nie miały odwagi, a więc na dłużéj pozostały. Z drugiej zaś strony, że bytność Kloci w kawalerskim domu należało jakoś upozorować, a rozstać się z przyjaciółkami bohatér nie miał dość siły, zatém w parę miesięcy po śmierci starościny Klocia została panią Ananyaszową. Wprawdzie bacząc na czas żałoby, akt ślubny w cichości bez weselnych godów odbyli. Nikt nie wątpi, że oględna matka poprzedziła to wszystko wy-

ludzeniem przyzwoitego zapisu od szczęśliwego zięcia dla żony; a jak utrzymywano, dla siebie jakąś tam kwartę, z onych garców złotych starościny, uszczknęła Związani po bożemu, jak żyli młodzi Gondziorkowie — może przy łasce bożéj z czasem wam opowiemy.

Ustaliwszy, a według swego rozumienia świetnie, przyszłość najdroższéj córki, jakoś około wielkiejnocy Chorążyna raczyła przypomnieć, iż gdzieś tam znajduje się jéj dom i małżonek. Ten małżonek, w pewien czas po wyjeździe najdroższéj, siłą woli podniósłszy się z łoża boleści, wpadł w ciężki smutek ze zgryzoty sumienia, iż uczynionego za młodu ślubu zagrzebania w murach klasztornych nienawistnego imienia nie dopełnił; co teraz za późno uskuteczniając, w klasztorze kapucynów, w którym ród jego od dziada pradziada zaszczytny tytuł dobrodziejów posiadał, na łaskawym chlebie osiadł — wprzód jednak majątek pod rozbiór wierzycielom dobrowolnie poddał.

Czuła małżonka za powrotem napróżno usiłowała osobiście, a późniéj listownie gdy widzenia unikał, męża do świata wrócić; nie pomogło i to że skarbami, zdobytemi z kryminalnego procesu i z oszczędności starościny Gondziorkowéj, majątek mężowski oczyściła i na dawnéj świetnéj postawiła stopie. Nakoniec widząc nieugiętą wolę małżonka, próżnych usiłowań zaniechała.

Chorąży, acz nie wykonał żadnych ślubów, dobrowolnie z całą ścisłością poddał się regule zakonnéj, nawet nakazane przez nią *silentium* sumiennie obserwował—a jeżeli je niekiedy przerywał to jedynie ciężkiém westchnieniem. Dopiéro po kilku leciech zakonnéj maceracyi, już na łożu śmiertelném pozwolił sobie małego odstępstwa, a w ulubionéj dykcyi przestawiwszy szyk wyrazów, przed skonaniem wyjęczał:

— Sunt odiosa nomina!—

KONIEC.